

Księga Ptaha

Van Vogt A.E.



calibre 0.9.43

A.E VAN VOG

KSIĘGA PTAHA

(Przekład: Jan Kabat)

Powrót Ptaha

Był Ptahem. Nie oznaczało to, że myślał tylko o swoim imieniu. Stanowiło po prostu nieodłączną część jego istoty -jak ciało, ręce i nogi, jak ziemia, po której stapał. Nie, nieprawda. Ta ziemia nie należała do niego. Istniał oczywiście pewien związek, ale nieco zagadkowy. Był Ptahem i stapał po ziemi, zmierzając po długiej nieobecności do Ptah, powracając do miasta Ptah, stolicy imperium Gonwonlane.

Wszystko to wydawało się w miarę jasne i możliwe do zaakceptowania bez głębszej myśli - i ważne. Czuł, że kryje się za tym jakiś przymus, przyspieszył więc kroku, by się przekonać, czy następne zakole rzeki pozwoli mu ruszyć na zachód.

Na zachodzie zaś rozciągała się szeroka połać trawy, drzew i skąpanych w niebieskiej mgiele wzgórz; gdzieś za nimi krył się cel jego wędrówki. Spojrzał poirytowany na rzekę, która zagradzała mu drogę. Wiła się bezustannie i zawracała nurt, musiał więc co jakiś czas podążać z powrotem własnymi śladami. Z początku nie miało to znaczenia, ale teraz było inaczej. Całym sercem, całą mocą zamglonej świadomości pragnął ruszyć czym prędzej ku zachodnim wzgórzom, śmiejąc się i krzycząc z radości -jakby w oczekiwaniu tego, co za nimi znajdzie.

A przecież nie bardzo wiedział, co znajdzie. Był Ptahem, wracał do swojego ludu. Jaki on był? Jak wyglądało Gonwonlane? Nie mógł sobie przypomnieć. Szukał z wysiłkiem odpowiedzi, które zdawały się przebłyskiwać gdzieś poza granicami jego świadomości. Wiedział tylko tyle, że musi przejść rzekę. Dwukrotnie wchodził na płyciznę, tuż przy samym brzegu, i za każdym razem cofał się, przepełniony nagłym poczuciem wyobcowania. Po raz pierwszy od chwili, gdy wynurzył się z ciemności, doznał bólu świadomej, celowej myśli. Zdumiony, obrócił wzrok ku wzgórzom, które przycupnęły na horyzoncie - na południu,

wschodzie i północy. Wyglądały tak jak te na zachodzie, zjedną zasadniczą różnicą: nie budziły jego zainteresowania.

Znów objął spojrzeniem zachodnie wzgórza. Musiał tam dotrzeć, bez względu na rzekę.

Nic nie mogło go powstrzymać. Ów zamiar był niczym wiatr, niczym szalejąca w nim burza.

Za rzeką czekał świat pełen chwały. Wszedł do wody, cofnął się na moment, po czym wtargnął w ciemny, wirujący nurt. Rzeka szarpała go; zdawało się, że jest żywą istotą, jak on sam. Ona też podążała lądem, a mimo to stanowiła odrębny byt

Tok jego myśli urwał się nagle, gdy Ptah wpadł w głęboką dziurę. Woda burzyła się gniewnie wokół jego brody, miała mdły smak i była ciepła. Poczul w piersi ukłucie strasliwego bólu. Walczył, chłoszcząc rękami rzekę, by wydostać się na wyższy grunt Stał teraz zanurzony do piersi i spoglądał gniewnie na wodę, która go zaatakowała. Nie odczuwał strachu, a jedynie niechęć i przekonanie, że został potraktowany nieuczciwie. Chciał dotrzeć do wzgórz, a rzeka próbowała go powstrzymać. Ale nie zamierzał ustąpić, nawet jeśli oznaczało to cierpienie; pogodził się z tym. Ruszył przed siebie.

Tym razem zignorował ból w piersi i brnął śmiało dalej przez wodnistą ciemność, która otaczała go ze wszystkich stron. W końcu, jakby uświadamiając sobie porażkę, ból ustąpił.

Rzeka wciąż napierała na Ptaha, ciągnęła za nogi, by pozbawić go oparcia w miękkim, błotnistym dnie, ale ilekroć wynurzał głowę, widział, że posuwa się naprzód.

Gdy wkroczył wreszcie na płyciznę, znów poczuł ten straszny ucisk w piersi Z ust tryskały mu strumyczki wody. Kaszlał i krztusił się, łyzy zamgliły mu wzrok; leżał przez chwilę na trawiastym brzegu, zwinięty w kłębek. Gdy paroksyzm bólu przeminął, dźwignął się na nogi, a potem stał długą chwilę, wpatrując się w mroczny, rozpędzony nurt. Kiedy się odwrócił, był zupełnie pewny jednej rzeczy: nie lubił wody.

Droga, do której dotarł, zadziwiła go. Ciągnęła się niemal prostą linią ku zachodniemu

horyzontowi; ten zupełny brak zakrętów nadawał jej specyficzny charakter. Nie ulegało wątpliwości, że podobnie jak on, miała jakiś cel, lecz tak naprawdę wiodła donikąd. Starał się myśleć o niej jak o rzece, która nie płynie, lecz nie doznawał przy tym poprzedniego poczucia obcości i niechęci; gdy na nią wkroczył, nie zanurzył się w niej jak w wodzie.

Z zadumy wyrwał go jakiś dźwięk. Dochodził od północy, gdzie też widać było drogę, wypełzającą zza porośniętego drzewami wzgórza. Z początku nic nie dostrzegł, lecz po chwili pojawiła się jakaś istota, częściowo przynajmniej podobna do niego. Miała ręce, nogi, korpus i głowę, niemal identyczne jak on. Twarz istoty była biała, ale reszta ciemna. Na tym wszakże kończyło się podobieństwo. Pod dziwaczną postacią znajdowało się drewniane urządzenie na kołach; a przed tym wszystkim -jakieś lśniące, szkarłatne, czteronogie stworzenie ze sterczącym na środku głowy rogiem.

Ptah z szeroko otwartymi oczami ruszył wprost na tę bestię, chłonąc wszelkie szczegóły widzianego obrazu. Usłyszał, że górna część istoty krzyknęła na niego, a po chwili nos stworzenia z rogiem uderzył go w pierś. Zwierzę przystanęło.

Ptah podniósł się rozgniewany ze żwirowej drogi. Ludzka część istoty wciąż na niego krzyczała; nie chodziło o to, czy ją rozumiał, czy nie. Rzecz w tym, że stanęła na nogi, wymachując rękami. Istota nie była przytwierdzona do swojej dolnej części. Podobnie jak on, była odrębna. Usłyszał jej słowa:

- Co się z tobą dzieje? Dlaczego włączysz wprost na mojego jednoroźca? Chory jesteś? I

co to za pomysł, żeby paradować nago? Chcesz, żeby cię zobaczyli żołnierze bogini?

Było w tym wszystkim zbyt wiele piętrzących się słów. Gniew Ptaha ustąpił pod wpływem ogromnego wysiłku, by poukładać je wszystkie w sensowną całość.

- Dzieje? - powtórzył wreszcie. - Chory? Mężczyzna przyglądał mu się ciekawie.

- Posłuchaj, jesteś chory - powiedział powoli. - Lepiej włącz na wóz i siadaj koło mnie,

zabiorę cię do świątyni w Linn. To tylko pięć kanbów stąd; dadzą ci tam jeść i opatrzą. No dobrze, zejść z wozu i pomogę ci. - Gdy koń ruszył, mężczyzna spytał: - Co się stało z twoim ubraniem?

- Z ubraniem? - powtórzył zaciekawiony Ptah.

- Właśnie. - Mężczyzna wpatrywał się w niego. - Na Zardę z Akkadistranu, chcesz powiedzieć, że nie zdajesz sobie sprawy ze swojej nagości? Coś mi się zdaje, że masz zanik pamięci.

Ptah poruszył się niespokojnie. Dosłyszał w głosie tego człowieka ton, który mu się nie spodobał, jakby sugestią, że z nim, Ptahem, jest coś nie tak. Spojrzał gniewnie i powiedział głośno:

- Nagi! Ubranie!

- Nie gorączkuj się! - Człowiek wydawał się lekko przestraszony. Po chwili dodał pośpiesznie: - Spójrz, ubranie, takie jak to!

Pomacał swój płaszcz i odchylił jego połą. Ptah poczuł, jak powoli opuszcza go złość.

Wpatrywał się w mężczyznę, uświadamiając sobie, że jego rozmówca nie jest wcale ciemny, że ciemny kolor w jakiś sposób go pokrywa. Chwycił za płaszcz i przyciągnął do siebie, by dokładniej mu się przyjrzeć. Rozległ się trzask rozdieranego materiału, a jego kawałek pozostał w dłoni Ptaha.

- Hej, co u diabła... - wyrwało się mężczyźnie.

Ptah obrócił na niego zdziwione spojrzenie. Uznał, że ta istota, która robi tyle hałasu, nie chce, by oglądano jej płaszcz. Zniecierpliwiony, zwrócił oderwany kawałek. Ale było to najwyraźniej za mało. Mężczyzna, mrużąc oczy i wykrzywiając usta, zauważył:

- Rozerwałeś materiał, jakby to był papier. Nie jesteś chory. Jesteś...

Pod wpływem nagłej decyzji stwardniał mu wzrok. Wyrzucił gwałtownym ruchem ręce

i przesunął się ostro w bok. Działął z zaskoczenia, więc nie napotkał żadnego oporu i po chwili było już po wszystkim. Ptań rąbnął o ziemię, zbyt rozgniewany, by odczuwać ból. Zerwał się z jękiem na równe nogi i zobaczył, że wóz oddala się drogą na zachód. Jednorożec galopował, sadząc wielkimi krokami. Mężczyzna stał wyprostowany na koźle i smagał zwierzę lejcami. Ptań powlókł się przed siebie, rozmyślając o zwierzaku i wozie. Byłoby wygodnie dojechać na nim do Ptań.

Po długim czasie w dali pojawiły się wielkie bestie. Przyglądał im się, a gdy na ich grzbietach dostrzegł ludzi, ogarnęło go nagłe zainteresowanie. Wiedział już, że sztuczka polega na tym, by zbliżyć się do któregoś z jeźdźców, zepchnąć go szybko na ziemię i odjechać czym prędzej drogą. Czekał, drżąc z niecierpliwości. Zdumienie ogarnęło go dopiero wtedy, gdy cztery bestie podbiegły bliżej.

Były większe niż sądził. Przewyższały go dwukrotnie i wydawały się potężnie zbudowane. Miały długie szyje, podtrzymujące niewielkie głowy o groźnym wyglądzie, uzbrojone w trzy rogi. Jasnożółty kolor karków kontrastował z zielenią ciał i niebieskawym fioletem długich, zwężających się ogonów. Przygalopowały szybko i zatrzymały się w tumanie kurzu.

- To na pewno on - odezwał się jeden z jeźdźców. - Ten wieśniak opisał go dość dokładnie.

- Nieźle wygląda - zauważył drugi. - Jak sobie z nim poradzimy?

Trzeci zmarszczył brwi.

- Gdzieś już go widziałem. Jestem pewien. Tylko nie wiem gdzie.

Przyjechali po niego, bo ktoś im go opisał. Człowiek z jednorożcem, oczywiście, jego wróg. Ptań nie pojmował tego wszystkiego, ale to tylko pogłębiło jego determinację. Długi, opadający ogon, myślał, to najlepsza droga, by wspiąć się na grzbiet zwierzęcia... tyle, że

jeździec zorientowałby się w jego zamiarach. Najlepiej zmodyfikować nieco podstęp, jakiego użył przeciwko niemu tamten człowiek.

- Pomożecie mi dosiąść zwierzęcia? - spytał. - Do Lian pozostało pięć kanbów, a w świątyni dadzą mi jeść i opatrzą mnie. Zeskoczcicie na ziemię i pomóżcie mi. Jestem chory i nie mam odzienia.

Brzmiało to według Ptaha przekonująco. Czekał, obserwując, ich reakcję, czujny na każde słowo i gest, by zapamiętać sobie na przyszłość ich wypowiedzi, zdecydowany osiągnąć cel. Mężczyźni spojrzeli po sobie, by po chwili wybuchnąć śmiechem. W końcu jeden z nich przyznał łaskawie:

- Pewnie, człowieku, podwieziemy cię. Po to tu jesteście.

- Trochę ci się pomyliły odległości, obcokrajowcu- dodał drugi. - Linn znajduje się trzy kanby stąd, nie pięć - roześmiał się. - Masz szczęście, że jesteś nieszkodliwy. Sądziliśmy, że to jakiś podstęp rebeliantów. Rzuć mu to odzienie, które wieziemy, Dallird.

W trawie na poboczu drogi wylądowało zawiniątko. Ptaħ grzebał w nim zaciekawiony, rozkładał każdy element ubioru na zielonej murawie, przyglądając się kątem oka, jak są ubrani jeźdźcy. Znalazł w tobołku kilka dziwnych rzeczy, które zbadał dokładnie i odrzucił w końcu jako zbędne. Zauważył, że mężczyźni patrzą na niego, szczerząc w rozbawieniu zęby.

- Ty głupcze, nic nie wiesz o ubraniu! - rzucił w końcu jeden z nich. - Spójrz, to bielizna.

Nosi się ją pod spodem. Od tego musisz zacząć.

Umysł Ptaha pracował teraz szybciej. Dysponował już znacznym zasobem taktów.

Chwytał w mgnieniu oka zasłyszane informacje i po dwóch minutach był już odziany.

- Wsiąść - powiedział. - Pomóż mi wsiąść. Plan, jaki mu przyszedł nagle do głowy, wydawał się równie prosty co skuteczny. Jeździec wyciągnął rękę i powiedział:

- Chwyć się mojej dłoni i złap za siodło.

Było to łatwe. Bardzo łatwe. Ptaħ podciągnął się zupełnie bez wysiłku, a jednocześnie szarpnął za dłoń mężczyzny. Dallird wrzasnął przeraźliwie, wylatując z siodła. Upadł na kolana, jęcząc i przeklinając, podczas gdy Ptaħ sadowił się w siodle. Chwyciwszy wodze obrócił zwierzę ku zachodowi, chłoszcząc je jednocześnie, tak jak zaobserwował to u człowieka na wozie.

Szybka jazda zafascynowała go. Nie odczuwał żadnego szarpania czy kołysania. Wóz tamtego człowieka podskakiwał, zaś bestia poruszała się płynnym, jakby sennym rytmem. Nie miał żadnych wątpliwości, że właśnie w taki sposób pokona resztę drogi.

Obserwując tylne nogi swojego wierzchowca w galopie i ciężki ogon, który unosił się w powietrzu za wielkim zwierzakiem, uchwycił katem oka fragment drogi w oddali. Dostrzegł trzy pozostałe stworzenia. Na grzbiecie jednego z nich siedziało dwóch ludzi.

Wszystko to stanowiło ciekawy, barwny obraz - grupa w pełnym galopie. Patrzył zafascynowany, jak podjeżdżają, coraz bliżej i bliżej. Nie odczuwał niepokoju, nie miał w ogóle wrażenia, że coś tu dotyczy jego osoby. Dopiero gdy ujrzał, jak usta mężczyzn otwierają się i zamykają, na jego czole pojawiła się nieznaczna bruzda. Dźwięk ich krzyków docierał do niego ponad stukotem kopyt bestii, i to go przeraziło. Ścigali go, a to nie było w porządku. On nie ścigał tamtego człowieka na wozie. Zaświtało mu, że popełnił błąd.

Obserwował z rosnącą niechęcią, jak tamci go wyprzedzają. Chłostał swojego wierzchowca, ale nic to nie dało. Był powolniejszy od pozostałych, albo też ci ludzie znali jakiś tajemny sposób, by zmusić swoje zwierzaki do szybszego biegu. Dwa z nich napierały długimi szyjami na łeb jego wierzchowca. Ten zwolnił, potem zaczął przysiadać na zadzie, w końcu się zatrzymał.

Ptaħ siedział w siodle zły i zupełnie zbity z tropu. Sytuacja była dla niego zupełnie nowa, inna i dziwna. Zrozumiał, że jeśli nie zdoła wymyślić skutecznego wybiegu, ci ludzie

mogą strącić go z wierzchowca.

Jeden z mężczyzn przemówił:

- No dobra, mamy go. Co teraz?

- Przebiję go włócznią- warknął Dallird. - Zostanie tylko krwawa miazga z tej jego przystojnej twarzy.

Ptaha patrzył gniewnie na owego człowieka. Nie był pewien, co wypowiedziane przezeń słowa oznaczają, ale wyczuł kryjący się za nimi zamiar. Mięśnie szyi naprężyły mu się z wściekłości. Pewien plan, ukryty dotychczas gdzieś w zakamarkach jego umysłu, objawił się teraz w całej pełni. Miał wrażenie, że znalazł proste i zadowalające rozwiązanie.

Zamierzał strącić wszystkich tych mężczyzn z ich wierzchowców, a następnie popędzić zwierzęta przed sobą. W ten sposób zapobiegłby pościgowi i wysłaniu w ślad za nim innych ludzi.

Dostrzegł, że jeden z jeźdźców wyciąga z pochwy przytroczonej do boku bestii jakiś długi, ostro zakończony przedmiot, który błysnął w słońcu.

- Złaź! - wrzasnął człowiek. - Złaź na ziemię, albo dam ci moją włócznią po głowie!

- A dlaczego go nie przebić? - nalegał Dallird. - Trzeba dać mu nauczkę, żeby nie zaczynał z żołnierzami świątyni.

Umysł Ptaha ogarnął gniew i zawziętość, by dopiąć swego. Dostrzegał pewien sposób, który mógł wykorzystać przeciwko Dallirdowi i człowiekowi siedzącemu razem z nim na wierzchowcu. Ich zwierzę było poza zasięgiem jego ramion, mógł jednak chwycić za siodło, przerzucić przez nie lewą nogę i sięgnąć szybko...

To jednak naraziłoby go na atak człowieka z włócznią i tego, który dosiadał trzeciej bestii; było jasne, że musi przeprowadzić swój plan etapami. Zwinnym ruchem, niczym wąż, rzucił się na obu mężczyzn. Na jego twarzy wylądowała pięść. Zapiękło go, ale to nie ból, tylko

zupełnie nieznany charakter tego doznania kazał mu odpowiedzieć w ten sam sposób.

Wpakował kłykcie w twarz człowieka siedzącego obok Dallirda. Rozległ się trzask kości, chlusnęła krew. Mężczyzna runął z krzykiem do tyłu i zwiśł bezwładnie z siodła. Okazało się to tak skuteczną metodą, że Ptaħ zaatakował Dallirda. Ten cofnął się gwałtownie, po czym powoli osunął się na ziemię. Stał w miejscu, krzycząc przeraźliwie:

- Przebij go, Bir, przebij! Zabił Sana! Ptaħ wyprostował się gwałtownym ruchem w siodle. Spodziewał się, że poczuje ból w plecach, ale nic się nie stało. Człowiek z włócznią oddalał się drogą, znikając za grzbietem wzgórza. Ptaħ zmarszczył czoło i ponaglił swego wierzchowca. Zamierzał dogonić tego osobnika, lecz gdy dotarł do końca rozległej doliny, którą wiła się droga, dostrzegł, że dystans między nimi powiększa się coraz bardziej. W końcu tamten zniknął w odległym zagajniku.

Droga biegła zakolami, kierując się w prawo. Minęła łukiem ludzi pracujących na ciemnym, nagim polu i obok drewnianych i kamiennych kopców o zagadkowym wyglądzie, które stały w głębi, między drzewami. Ptaħ galopował w głąb doliny. Kiedy w końcu dotarł do lasku, w którym zniknął Bir, droga rozwidliła się zgrabnie.

Ptaħ, zaskoczony, wstrzymał wierzchowca. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że to najzwyczajniejsza droga, tyle że rozchodząca się w dwóch kierunkach. Przestał odczuwać napięcie, gdy uświadomił sobie tę prostą rzecz. Miał przed sobą dwie drogi. Jeden trakt biegł w prawo, a drugi skręcał na zachód ku rozległej równinie - ku odległemu miastu Ptaħ.

Podążał już od dłuższego czasu zachodnim szlakiem, gdy z nieba doleciał jakiś dźwięk.

Tuż nad głową przemknął mu latający stwór. Jego wielkie, niebieskoszare skrzydła łopotały ogłuszająco, trójkątna głowa była skierowana w dół, a złe, ogniste ślepia wpatrywały się w Ptaħa. Dopiero gdy stwór runął na niego, Ptaħ dostrzegł, że na latającym potworze siedzi

dwóch ludzi, a jednym z nich jest osobnik o imieniu Bir. Ptaħ zesztyniał. Więć wykorzystali owego stwora, by nadal go niepokoić. Tak uparta pogoń stawała się nie do zniesienia. Ptaħ pogroził ptakowi pięścią i krzyknął, podobnie jak uczynili to wobec niego jeźdźcy na długoszych bestiach. Latająca bestia zatoczyła nad nim jeszcze jedno koło, po czym odfrunęła przed siebie, oddalając się szybko. Po chwili stała się kropką na niebie, aby w końcu zniknąć w niebieskiej mgiełce zachodu.

Ptaħ jechał dalej. Nagle uświadomił sobie, że słońce, które ledwie dostrzegął, gdy stało wysoko nad jego głową, pojawiło się tuż nad zachodnim horyzontem, dokładnie nad rosnącą chmurą kurzu. Chmura ta przybliżała się, by w końcu przybrać postać długiej kawalkady bestii, takich jak ta, której sam dosiadał, z jeźdźcami na grzbietach. W górze zaś unosił się rój niebieskoszarych latających stworów.

To wielkie stado zmierzało wprost ku niemu; w jednej chwili otoczyło go mnóstwo istot. Potem coś długiego i cienkiego, niczym monstrualne lejce, skrępowało mu w oka mgnieniu ramiona i cisnęło na ziemię. Ptaħ upadł na kolana i dłonie; przez chwilę był całkowicie dezorientowany. Tłoczyły się wokół niego różne stworzenia. Zewsząd dobiegały krzyki, tworząc hałas, który nie pozwalał myśleć. W końcu, niemal na ślepo, Ptaħ dźwignął się na nogi. Złapał arkan i jednym szarpnięciem odrzucił na bok. Uwolniony z więzów, uświadomił sobie, że oto znów wysadzono go z siodła i że mozolny proces chwytania wierzchowca trzeba zaczynać od nowa.

Oczy mu się zwężyły; skierował wzrok na twarze otaczających go jeźdźców, szukając Bira. Nie było go; uznał to za dobry omen. Oznaczało to, że nie zorientują się w jego podstępnie. Przez chwilę zastanawiał się gorączkowo, jakich słów użyć w tej sytuacji. Wreszcie powiedział:

- Niech ktoś zsiądzie i pomoże mi. Do Linn pozostały tylko trzy kanby, a w tamtejszej

świętyni dadzą mi jeść i opatrzą mnie. Ja...

Umilkł, gdyż jego wzrok padł na postać, która z całą pewnością nie była mężczyzną.

Istota owa przypominała innych, ale zamiast krótkiego odzienia miała na sobie długą, ciemną szatę i nie siedziała w siodle długoszyjej bestii, tylko jechała pod daszkiem w skrzyni, przytroczonej do grzbietu ogromnego zwierza. Kobieta przemówiła głębokim kontraltem:

- Mój Panie, to najdziwniejsza przemowa, jaką kiedykolwiek słyszałam. Czy ten człowiek jest obłąkany?

Wysoki mężczyzna o stalowoszarych włosach odparł:

- Obawiam się, że tak. Zapomniałem cię uprzedzić, córko, że jeździec na ptaku, wiedząc, iż podążamy do domu, przyleciał ostrzec nas przed tym osobnikiem. Wydaje się, że zdążył on już popełnić zbrodnię. Kapitanie, podaj księżniczce szczegóły.

Ptah słuchał z zainteresowaniem. Padło kilka zagadkowych stwierdzeń, sporo słów, które nie układały się w obrazy, ale zrozumiał dostatecznie dużo, by owa poprzekręcana wersja wydarzeń wzbudziła w nim gniew. Nie przyszło mu jednak do głowy, by skorygować fakty, nie przypuszczał też, że cokolwiek jeszcze z tego wszystkiego wyniknie.

Wyglądało na to, że począwszy od człowieka z wozem napotykał co chwila na przeszkody, uniemożliwiające mu jazdę. Było to irytujące, lecz tak oczywiste, że postanowił, na razie przynajmniej, zaakceptować sytuację. Pójdzie dalej piechotą. Podjąwszy decyzję, odwrócił się, przeszedł schylony pod zielonym brzuchem jakiejś bestii i ruszył wzdłuż drogi.

Wiał delikatny, chłodny wietrzyk. Muskał policzki Ptaha, przynosząc ze sobą mocny, raczej przyjemny zapach zwierzęcego potu, lekką woń trawy, drzew, zaoranych pól i zboża, którego niskie kłosa zieleniły się bujnie; wszystko to tworzyło bogatą, odurzającą mieszalinę, która pobudzała zmysły. Ten błogi spokój zakłócił nagle krzyk, który przeciął powietrze.

Zwierzęta poruszyły się niespokojnie, tłocząc się i tratując ziemię. Po chwili wszyscy znów go

otoczyli. Kobieta powiedziała cicho:

- Nawet jak na szaleńca, zachowuje się dziwnie. Co zamierzasz z nim uczynić, Mój Panie? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Każę go oczywiście zgładzić. Morderstwo to morderstwo. -Skinął na kapitana. -

Każcie sześciu ludziom zejść z wierzchowców. Zaprowadźcie go na to zaorane pole, zabijcie i zakopcie. Wystarczy grób głęboki na metr.

Ptah przyglądał się z zainteresowaniem, jak jeźdźcy zeskakują na ziemię. Słowa wypowiedziane przez człowieka zwanego „Moim Panem” niosły ze sobą jakieś znaczenie, ale były tak nowe, że jego umysł nie zdołał przywołać żadnych obrazów. A spokojny, pełen powagi ton, jakim zostały wypowiedziane, tylko zaciemniał sytuację, która z każdą chwilą stawała się bardziej zagadkowa.

Poczucie rzeczywistości powróciło nagle, gdy dwaj ludzie podeszli do niego z nienacka od tyłu i chwycili go za łokcie. To działanie było tak niespodziewane, że odepchnął ich gwałtownie. Mężczyźni wyładowali na ziemi. Ptaח odwrócił się poirytowany, gdy nagle trzeci człowiek rzucił się, zamierzając chwycić go za kolana. Ptaח zachwiał się, uderzony ramieniem tamtego, po czym wymierzył przeciwnikowi silny cios w głowę. Ten runął na ziemię i znie-ruchomiał.

Ptaח odsunął się od leżącego, ale natychmiast wczepili mu się w ramiona dwaj inni, a trzeci chwycił go za nogi. Napastnicy unieśli go z ziemi, a to było już nie do zniesienia. Kopnął w twarz człowieka, który trzymał go za nogi. W tej samej sekundzie, znów stojąc mocno na ziemi, Ptaח skoczył ku dwóm pozostałym, pochwycił ich, potrzywał przez chwilę w górze - wijące się, odporne ciało w każdej dłoni - po czym odrzucił gniewnie na bok.

Popatrzył na człowieka zwanego „Moim Panem”, potem na kobietę, potem znów na mężczyznę. Po raz pierwszy obarczył go winą za ową niezrozumiałą napaść. Wpatrywał się w

niego płonącymi oczami, jednym spojrzeniem oceniając odległość między nimi. Gdyby zdołał uciszyć go tak jak tamtych, ten absurd mógłby się skończyć. Uświadomił sobie, że kobieta coś mówi.

- Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałam. Jak masz na imię, obcy przybyszu?

Pytanie zatrzymało go w miejscu. Imię? Ptaħ, oczywiście. Ptaħ z Gonwolane. Po trzykroć wielki Ptaħ. Był zdumiony, że takie pytanie w ogóle padło. Potrząsnął głową, zniecierpliwiony krzykami, które niemal zagłuszyły jego odpowiedź. „Mój Pan” wrzeszczał coś o strzałach; jednocześnie pierś Ptaħa przeszył rozdzierający ból. Spuścił wzrok i zobaczył ze zdumieniem, że z jego lewej piersi sterczy jakiś cienki kawałek drewna. Przyglądał mu się przez chwilę tępym wzrokiem, po czym wyszarpnął go z ciała i rzucił na ziemię. Ból zniknął. Druga strzała przygwoździła mu rękę do boku. Tę również wyrwał; teraz odwrócił się do człowieka, który naraził go na te wszystkie kłopoty. Posłyszał, jak kobieta woła:

- Mój Panie, powstrzymaj ich, powstrzymaj! Czy nie słyszałeś, co powiedział? Czy nie widzisz?

- He?

Mężczyzna obrócił się ku niej. Ptaħ, zmagając się wściekle z trzecią strzałą, dosłyszał w jego głosie zastanowienie.

- Czy nie widzisz? - powtórzyła kobieta. - „Ten, którego moc nie zna granic, który nie doświadcza zmęczenia i nie wie, co to strach...”

- Cóż za nedorzecznosci opowiadasz- przeciął powietrze głos mężczyzny. - To mit, który podtrzymujemy ze względu na ciemny lud. Tysiąc razy już ustalaliśmy, że Bogini bieżnia posługuje się nim jedynie w celach propagandowych, - Umilkł, a po chwili rzucił gniewnie: - Przecież to niemożliwe.

- Powstrzymaj ich! - krzyknęła. - Powrócił po wiekach spędzonych pośród rodzaju

ludzkiego. Przypatrz się dobrze! Jego twarz! Jak oblicze figury w świątyni.

- Albo Księcia Ineznio, kochanka bogini - odparł mężczyzna. - Ale mniejsza z tym.

Pozwól, że się nim zajmę. Twarz kobiety uspokoiła się; przymrużyła oczy.

- Nie tutaj - powiedziała pospiesznie. - Zabierz go do świątyni.

„Mój Pan” przemówił do swoich ludzi, po czym zwrócił się cicho do Ptaha:

- Pojedziesz z nami do świątyni w Linn. Nakarmimy cię i opatrzymy, a potem damy ci skriera, który zanieś cię, dokąd tylko zechcesz.

Niepojęta napaść skończyła się w mgnieniu oka.

Bogini w kajdanach

Ukryta w lochach wielkiej cytadeli miasta Ptah, piękna, ciemnowłosa kobieta westchnęła z wysiłkiem. Kamienna podłoga, na której leżała skulona, była wilgotna i zimna. Przez całe wieki uwięzienia nie zdołała nigdy rozproszyć chłodu płynącego z metalowych łańcuchów, które skuwały ją cały czas. Widziała ze swojego miejsca tron, na którym siedziała złotowłosa kobieta. Słyszała też jej triumfalny śmiech, który urwał się nagle. Złotowłosa kobieta odezwała się głębokim, czystym głosem:

- Czy nadal we mnie wątpisz, kochana L'onee? Oto znów powtórzyła się stara historia.

Pamiętasz ten czas, gdy nie chciałaś wierzyć, że mogę cię uwięzić? A jednak tu jesteś. Kiedy po raz pierwszy się tu zjawiłam, by ci powiedzieć, że zamierzam zniszczyć potężnego Ptaha, ty przypomniłaś mi, że tylko my obie możemy sprowadzić go z powrotem; że musiałabym posłużyć się tobą jako biegunem mocy, co wymagałoby twojej zgody. A jednak on tu jest I teraz już wiesz, że posłużyłam się tobą bez twojej zgody. Może zaczniesz sobie w końcu uświadamiać, że gdy ty czekałaś pełna wiary, aż twój Ptah przeżyje niezliczone ludzkie byty, ja nauczyłam się, że boska moc, którą on powierzył naszej pieczy, jest nieograniczona.

Ciemnowłosa kobieta drgnęła. Jej zimne wargi rozchyliły się. Odparła znużonym, a jednak twardym i pogardliwym głosem:

- Jesteś zdrajczynią, Ineznio.

Na ustach złotowłosej Inezni igrał uśmiech.

- Jakże jesteś naiwna - powiedziała cicho. - A mimo to każde twoje słowo jasno dowodzi, że nie mogę przegrać. Te złośliwe uwagi wydadzą się doprawdy daremne, gdy Ptah będzie już martwy... i gdy ty będziesz martwa. I to na wieki.

Ciemnowłosa kobieta usiadła. Żar w jej głosie zdradzał moc ducha.

- Nie jesteśmy jeszcze martwi. Żadne z nas nie jest martwe. Czy teraz, gdy ujrzałaś go w

działaniu, nie czujesz się nieco zaniepokojona, Ineznio? Choć więziłaś Ptaha w Gonwonlane, nim nastał jego czas, choć przybył tu odarty ze swojej mocy, sama siła jego osobowości - w głosie L'onee pojawiła się nuta ironii - z pewnością budzi w tobie niepokój. I nie zapominaj, droga Ineznio, nie zapominaj o zaklęciach, które wypowiedział dawno temu, by uchronić się przed niebezpieczeństwem. Teraz ty stanowisz niebezpieczeństwo. Siedem zaklęć, Ineznio, dokładnie siedem. Lecz tylko on jeden umie się nimi posługiwać bez szkody dla siebie. - Po chwili dodała szyderczo: - Już widzę w wyobraźni, jak próbujesz nagiąć nieskrępowany charakter potężnego i upartego Ptaha do swojej woli. Ptaha, który z każdą chwilą staje się bardziej przebiegły, którego umysł z każdą godziną zyskuje coraz większą moc. Czas ucieka, Ineznio, cenny, niezastąpiony czas.

Gdy umilkła, w ciasnym, kamiennym lochu dźwięczał jeszcze przez chwilę jej szyderczy śmiech, ale szybko umilkł. Uświadomiwszy sobie, że marnotrawi siły, L'onee znów przyjęła leżącą pozycję.

Dostrzegła też, że jej słowa nie zrobiły wielkiego wrażenia.

Na ślicznej, młodziutkiej twarzy bogini Inezni pojawił się wyraz zadowolenia;

przypominała dzikie zwierzę, które zdołało wzbudzić daremny opór bezradnej ofiary.

- Jakie to dziwne, że pomyślałaś o tych wszystkich rzeczach, których rozwiązanie znam

już od dawna - mruknęła. - Naprawdę igrałabym z ogniem, gdybym pozwoliła Planowi rosnąć w siłę i z-dobywać wiedzę pod jego własną postacią. Może zapomniałaś, że miał wiele ludzkich osobowości. Przywołałam ostatnie z nich, by dominowały, mąciły i same ulegały zmąceniu. Co się zaś tyczy tych zaklęć, o których wspomniałaś - z jakąż łatwością będzie można je zniszczyć!

Najważniejszy, jak wiesz, jest Tron Boga w pałacu Nushira w Nushirvanie. By go osiągnąć, Ptah musiałby podbić Nushirvan. Pozostawię to jego ludzkiej przemyślności, a także mocy wielkich armii, które oddam do jego dyspozycji. Prawdę powiedziawszy, dysponuję kilkoma

alternatywnymi planami. Dopóki ów tron istnieje, nie mogę posługiwać się całą mocą
Gonwonlane. To symbol jego dominacji. Muszę nakłonić... albo zmusić... by przebył rzekę
wrzącego błota, która przez te wszystkie lata zagrażała mi dostęp do owego tronu. Nie muszę
dodawać, że kiedy już do niego dotrę, będę potrzebowała jedynie paru godzin, by go zniszczyć.
Pozostałe zaklęcia wplotę w treść tego najważniejszego. Musi kochać się ze mną, by
potwierdzić moją boskość. Musi doświadczyć potężnego strumienia modlitewnej łaski,
podpisać twój wyrok śmierci, wyruszyć ze mną w podróż umysłów, przejść świadomie przez
królestwo ciemności i, jak już mówiłam, przebyć rzekę wrzącego błota. Lecz teraz, kochana
L'onee, opuszczam cię. Orszak eskortujący Ptaha zbliża się do świątyni W Linn; muszę jeszcze
zawładnąć umysłem tamtejszej księżniczki I BYĆ TAM obecna, by nadzorować i kształtować
wydarzenia...

Ciemnowłosa kobieta patrzyła, jak Ineznia prostuje się na tronie i zamyka oczy. Napór
jej obecności przygasł; loch pogrążył się z wolna w mroku. Dwie postacie - milcząca, zakuta w
łańcuchy L'onee i śmiertelnie nieruchoma Ineznia na swoim tronie - wydawały się cieniami
płynącymi z najgłębszych ciemności.

Mijały dni.

Człowiek z roku 1944

Świątynia była miejscem ciemnego, nisko wiszącego nieba i dusznych horyzontów.

Niespokojny, świadomy tych bliskich ścian i przygniatającego sklepienia, Ptań wpatrywał się w jadło na stole.

Unosiła się nad nim ciepła mgiełka, a przede wszystkim kusząca woń, która drażniła mu przyjemnie nozdrza. Z węższego końca stołu głos „Mojego Pana” zaproponował mu, by usiadł. Ptań, zaskoczony, uczynił to.

Niczego nie przeoczył w drodze do świątyni Linn. Jego zmysły, wyostrzone przeżyтыми trudami, ożywione nowymi doznaniem, wchłaniały wszystko wokół: koliste miasto, samą świątynię, która wyrastała, biała i wysoka, z niewielkiego lasu, otaczające ją budynki. Tę właśnie świątynię, która tak zadziwiająco utraciła swoją biel, gdy do niej wkroczył.

Spostrzegł, że inni też siadają. Był wśród nich „Mój Pan” i księżniczka, ciemnowłosa i władcza, o włosach połyskujących w mroku, o oczach lśniących jak woda w tamtej rzece, która zadała mu ból. Różnica polegała na tym, że nie odczuwał do niej niechęci. Ledwie dostrzegał kilku mężczyzn w ciemnych szatach. Byli bezimiennymi osobnikami, którzy prawie bezszelestnie wśliznęli się do sali. Ich twarze niczego nie wyrażały, a oczy świeciły jednakową czernią.

- Wszystko dobrze - to mówiła kobieta; jej głos brzmiał w tej ciszy jak syk. - Nigdy przedtem nie widział jada.

Ptań spojrzał na nią. Sposób, w jaki to powiedziała, nie spodobał mu się. Na wargach kobiety zagościł przelotny uśmiech. Wyglądała tak olśniewająco, że z miejsca zapomniał o irytacji.

- Ostrożnie - odezwał się „Mój Pan”. - Jedźmy i przekonajmy się, czy pójdzie za naszym

przykładem.

- Jestem pewna, że nie musimy zważać na słowa-odparła po chwili kobieta. - Powrócił tu pozbawiony rozumu. Nic nie wie. Popatrzcie na niego.

Wystarczyło pierwsze doznanie smaku. Ptań połykał bez myśli, nie zwracając już uwagi na pozostałych. Jadło było ciepłe i dobre, każdy kęs pozostawiał na języku miłe wrażenie. Nie zauważył nawet przyborów leżących obok talerza. Nie wiadomo dlaczego, jedzenie stawało się z każdą chwilą mniej smaczne. Odsunął w końcu talerz, krzywiąc się.

- Gdzie jest skrier? - spytał rzeczowo. - Teraz polecę do Ptań. Kobieta podniosła się z uśmiechem.

- Tędy- odparła.

„Mój Pan” uniósł się nieco, gdy przechodziła obok jego krzesła i położył jej dłoń na ramieniu.

- Jesteś pewna... - zaczął niespokojnie.

- Rzykujemy tylko życie - odpowiedziała kobieta. - Jeśli zaś zwyciężymy, naszą nagrodą może być świątynne królestwo, miejskie imperium. Zapewniam cię, ojczy, że wiem, co robię.

Księżniczka uśmiechnęła się do Ptań, który przysłuchiwał się tej rozmowie, częściowo tylko rozumiejąc, o co chodzi.

- Tędy! - powtórzyła; jej głos był mocny i pewny, rozwiewał wszelkie wątpliwości. - Skrier czeka u podnóża tych schodów.

Jej uśmiech go pociągał. Z niejasnych powodów podobała mu się. Podążył za nią. Czuł niemal, jak unosi się w powietrzu, tak samo jak unosił się nad nim tamten człowiek, Bir, albo skriery w drodze do Linn. Było to podniecające uczucie.

Schody były dłuższe niż zapamiętał, kiedy wchodził na górę. Lecz w pewnym

momencie wędrówka w dół skończyła się. Pojawiła się płaszczyzna twardej posadzki. Wzdłuż szerokiego korytarza, w równych odstępach, tkwiły jarzące się laski. Było też wiele zamkniętych drzwi. Kobieta przystanęła przed tymi, które stały otworem.

- Tędy - powiedziała jeszcze raz i uśmiechnęła się. Uniosła ramię i musnęła jego rękę płynnym mchem dłoni. Dotyk jej ciała był miękki i ciepły. Całą istotą poczuł do niej sympatię.

Ptah przekroczył próg i znalazł się w niewielkiej izbie o bardzo niskim sklepieniu. Z sufitu pustego pomieszczenia zwieszał się pojedynczy świecący patyk. Z tyłu rozległ się trzask. Ptaħ odwrócił się i zobaczył, że drzwi się zamknęły. Stał przez chwilę nieruchomo, gdy otwarło się z cichym brzękiem małe okienko. Ukazała się w nim twarz kobiety.

- Nie obawiaj się, Ptaħu - rzekła. - Zmieniliśmy zdanie, nie damy ci skriera. Posyłamy do miasta Ptaħ po twoją żonę, piękną Ineznię. Przyjedzie tu i zabierze cię z powrotem do wielkiego miasta. Pozostaniesz w tej izbie, dopóki ona się nie zjawi.

- Na Akkadistran! - rozległ się na korytarzu głos „Mojego Pana”. - Nie spodziewasz się chyba, że będzie spokojnie czekał...

Okienko zatrzaśnięto gwałtownie. Głos, nagle przerwany, zamilkł. W tej samej chwili zgasło światło. Zapadła cisza. I ciemność.

Ptaħ stał w tej nieprzeniknionej czerni, nie bardzo wiedząc, co robić. Spodziewał się w każdej chwili, że drzwi się otworzą i usłyszy, że piękna Ineznia - takie imię wymieniła księżniczka ze świątyni, zapamiętał wymowę każdej sylaby-przybyła, by zabrać go do Ptaħ. Czas płynął. Narastała w nim niecierpliwość i przekonanie, że dawno już dotarłby do miasta, nawet gdyby musiał iść pieszo. Myśl o chodzeniu podsunęła mu pomysł, żeby usiąść. Podłoga była twarda i zimna, ale siadł i czekał. Czekał.

Przez umysł przepływały, niczym kłęby dymu, jakieś rojenia. Pojawiały się zaczątki myśli - pozbawione znaczenia, dziwne, niepełne, a jednocześnie z nimi niezbite przekonanie: to

wszystko wydawało się obłąkane. Coś było nie tak. Zrozumiał, że musi podjąć jakieś działanie.

Minęło dużo, dużo czasu, nim zdecydował, co to ma być. W końcu dźwignął się na nogi. Czuł, że w jego umyśle żarzy się płomienny gniew. Naparł na drzwi, wykorzystując całą swoją straszliwą siłę. Ale nie ustąpiły, nie drgnęły nawet pod ciężarem jego ciała.

Po chwili stwierdził ze zdumieniem, że znów siedzi na podłodze - nie przypominał sobie zupełnie, by w sposób świadomy przyjął taką pozycję. Czas upływał. Ciemność i cisza były jak odrębne, wyczuwalne siły, które zakłócały równomierny strumień żywotnych prądów w jego ciele, przerywały tak pożądaną ciągłość woli i przynosiły jakieś nieprawdopodobne myśli.

„Trzymaj czołg na chodzie. Pilnuj silnika... jesteśmy już blisko... blisko... uważaj... bombowiec nurkujący... uważaj... dostał nas...”

Czerń.

Przez niezliczone wieki ciało Holroyda zmagало się z ciemnością. Nie było w niej przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości, jedynie zimna twardość wilgotnych kamieni, które gniotły mu kości i napierały ze ślełą, śmiertelną siłą na jego ciało. Z wolna, lecz nieubłaganie ten bezlitosny chłód pozbawiał go ciepłej żywotności.

Holroyd odzyskał świadomość z nagłym wstrząsem. Miał wrażenie, że wynurza się z niespokojnego, koszmarnego snu, żaden sen jednak nie kończył się takim przebudzeniem.

Przesuwał palcami po zimnej kamiennej podłodze, której nie widział, bo w pomieszczeniu panowała gęsta ciemność.

Próbował wstać. Ponieważ nie przyszło mu do głowy, że to niemożliwe i w dodatku jego umysł nie odbierał panującej wokół czerni jako czegoś realnego, a tych wilgotnych kamieni jako łoża -przyjął pozycję siedzącą, nim zdążyła go ugodzić fala oszołomienia.

Siedział otępiąły, wstrząsany straszliwymi nudnościami. Napierająca zewsząd noc wirowała

obłądnie, a chłód kamieni przypominał wiatr, który wysysa mu szpik z kości. I wtedy napłynął gniew. Płonąca filia śmiertelnego gniewu, zwrócona jakimś cudem w odpowiednim kierunku, mająca źródło w zrozumieniu, dlaczego on, Holroyd, się tu znajduje.

- Niech będzie przeklęta! - zawołał. - Och, niech będzie przeklęta ta księżniczka ze świątyni!

Przedziwny sens słów powtórzonych przez ogłuszające echo wystraszył go. Gniew przeminął; po długiej chwili zastąpiło go dziecięce zdumienie.

- Księżniczka ze świątyni! - powtórzył głośno i przekrzywił głowę, starając się za wszelką cenę przeniknąć obcą mu treść tych słów. Lecz przez długą, martwą jak kamień chwilę ta bolesna koncentracja nie dawała żadnych rezultatów. Jego umysł włączył się z wolna w ten niejasny ciąg myśli.

- Księżniczka ze świątyni - powiedział znowu, lecz tym razem niemal bezgłośnie; słowa nie były niczym więcej jak tylko chrapliwym szmerem w czarnej ciszy. Niekłamanie zdumienie przyniosło ze sobą falę mocy. Zawołał:

- Do diabła, nie ma niczego takiego w Ameryce! Ani w tej części Niemiec, gdzie walczyliśmy! Może w Pomocnej Afryce... Nie!

To był obłąd, fantastyczny obłąd, który uderzał niczym młot w jego skronie. Osunął się na ziemię, po trosze świadomie, po trosze bezwiednie, oszołomiony wysiłkiem myśli i ciała. Leżał jakiś czas na plecach, a jego mózg balansował na krawędzi mrocznej otchłani, napełniając się leniwie niewyraźnymi, ostrożnymi zaczątkami myśli, łagodnym szmerem niezmiernie i bolesnej pamięci, w której zawierało się mgliste i straszliwe przekonanie, że pomijając nazwy miejsc, wypowiedział te słowa w języku jednocześnie obcym i znanym, języku o tak cudownie harmonijnym brzmieniu, że owe nazwy - Ameryka, Niemcy, Pomocna Afryka - przypominały w nim dysharmoniczne uderzenia młota w czasie koncertu -ostre,

kakofoniczne, barbarzyńskie dźwięki.

- Posłuchaj, ty, który zwiesz się Ptahem! - odezwał się męski głos, głęboki i melodyjny, gdzieś z niedalekiej ciemności.

Było to bez wątpienia skierowane do niego. Holroyd spróbował przekręcić się na bok, ale przenikał go do szpiku kości chłód, jakby był zamknięty w bryle lodu. Poddał się i leżał nieruchomo, lecz jego umysł przywarł, niczym pijawka, do słowa będącego imieniem. Poruszył wargami i wymamrotał:

- Holroyd Ptah! Nie, to me tak. Musi być Ptah Holroyd. Nie, Holroyd jest w Ameryce.

Peter Holroyd, kapitan, dwieście dziewięćdziesiąta brygada czołgów i... ale kto to jest Ptah?

Pytanie przypominało klucz do zamkniętych drzwi. Powróciła pamięć. Powiedział głośno, z nagłym zdumieniem:

- Jestem... szalony!

Ptah, bóg Gonwonlane, którego ostatnie ludzkie wcielenie - Peter Holroyd, kapitan korpusu pancernego - wynurzyło się pod wpływem wyniszczającego stresu z mrocznych głębi umysłu, usiadł.

- Przekleństwo! - stwierdził. - Jestem Holroyd. A ten drugi to...

Holroyd urwał, przejęty nagłym dreszczem mglistego przerażenia, falą strachu, bolesną i dojmującą świadomością tej drugiej, niemal pozbawionej rozumu osobowości.

To obłądne, myślał. Obłądne!

Jednakże po minucie wszystko znów było jak przedtem: ciemne pomieszczenie, drugi umysł, świadomość, że żyje, pamięć o tym, kto siedział w czołgu, gdy trafiła weń niemiecka bomba. I pojawiło się znienacka coś jeszcze - wspomnienie głosu, który do niego przemówił, głosu, który nazwał go - Ptahem.

Nie, niezupełnie tak. Głos nie nazwał go Ptahem. Głos powiedział: „Ty, który zwiesz

się Ptahem!". Istniała pewna subtelna różnica w znaczeniu, która sprawiła, że Holroyd zmarszczył czoło. Leżał nieruchomo, rozmyślając o wszystkim, co Ptah zobaczył na drodze i w świątyni. Całą jego istotę przeniknął dreszcz bezmiernego zdumienia. Umysł pulsował przerażeniem. Mijające sekundy przyniosły rozwiązanie - świadomość podwójnej osobowości, która w nim zamieszkiwała.

Cokolwiek to było, nie mogło zranić go fizycznie. Stanowiło jego część. Albo raczej on był tego częścią, ale z jakiegoś powodu dominował - jego myśli, osobowość, jego jaźń. Poczul się lepiej. Rozluźnił mięśnie. Całą jego istotę ogarnęło odprężenie.

Ciszę ciemności, która go otaczała, zakłócił chrapliwy szmer ciężkiego oddechu. Po chwili usłyszał ciche przekleństwo:

- Gdzie u licha jest pochodnia? Powinna znajdować się w tym narożniku... ach!

Zamigotał blady płomień, wydobywając z mroku wszystko to, co Holroyd zdążył już sobie przypomnieć: małe, puste, betonowe pomieszczenie o solidnej, kamiennej podłodze. No, nie całkiem solidnej. Jedna z płyt, w narożniku przy drzwiach, została wyrwana i odłożona na bok. Teraz w tym miejscu widniało wejście do tunelu, które Holroyd ze swojej leżącej pozycji z trudem dostrzegł.

Powoli, z wysiłkiem, obrócił głowę w stronę światła. Pod płonąca głównią stał niewysoki mężczyzna i wpatrywał się w niego. Miał na sobie krótkie spodnie i koszulę. Z okrągłej, wesołej twarzy, najwyraźniej zdziwionej, spoglądały błyszczące oczy.

- Nie wyglądasz najlepiej - zauważył przybysz. - Powinienem chyba przyjść wcześniej, ale nie wiedziałem, do której celi cię wsadzili, poza tym chciałem zaczekać, aż podadzą ci jedzenie. - Wykrzywił w zamyśleniu usta. - Zabawne, ale nie zrobili tego. Mniejsza z tym. Mam w tunelu trochę zupy, powinna być niezła. - Ruszył w stronę dziury. - Zaraz ci ją przyniosę. Zupa była ciepła i pożywna. Wywoływała w ustach przyjemne wrażenie i spływała w

głęb ciała jak łagodny ogień. Koła i łagodziła straszliwy chłód, przynosząc obietnicę lepszego samopoczucia. Holroyd popijał ją z wolna i przysłuchiwał się słowom, jakimi zalewał go mały człowieczek:

- Nazywam się Tar, reprezentuję więźniów ze świątyni w Linn i witam cię w naszych szeregach. Tutejsza organizacja powiązana jest, ma się rozumieć, z rebeliantami, więc zdrada oznacza śmierć.

Tyle powinieneś wiedzieć. My natomiast wiemy o tobie absolutnie wszystko, ma się rozumieć - terkotał mężczyzna. - Twierdzisz, że jesteś Ptahem. Niezła taktyka. Nowa. Nikt na to dotychczas nie wpadł. Może rebelianci zechcieliby cię wykorzystać, gdybyś był gotów kontynuować tę grę. Ale wieśniak, który cię podwiózł, twierdzi, że cierpisz na zanik pamięci. Holroyd walczył z pokusą, by połknąć od razu całą zupę, a związany z tym wysiłek utrudniał koncentrację. Przez ten czas wydawał się niezdolny do niczego z wyjątkiem słuchania. Lecz nagle Holroyd uświadomił sobie dziwną i straszną rzecz. Coś w nim samym - coś - odbierało jego własnym umysłem każde słowo, jakie Tar wypowiadał. Odbierało z uwagą, wyłapując z niezachwianą świadomością sens tego, co było mówione. Minęła długa chwila pustki, nim zdał sobie sprawę, że owo coś - to był on sarn.

Holroyd wyczuwał chłód betonu, o który się opierał, ale palce grzał mu wąski pojemnik z zupą. Wokół siebie, tak blisko, wyczuwał wilgotny i przerażający loch. Świadomość otoczenia była teraz bardziej dojmująca niż kiedykolwiek; mimo to przyćmiewał ją ponury fakt istnienia tej drugiej, silniejszej osobowości, która w jakiś zagadkowy i nieprzyjemny sposób zintegrowała się wewnętrznie z jego własną. Obydwie stanowiły jedność, a mimo to istniały każda osobno. Holroyd jęknął w duchu: a więc tak wygląda amnezja - gdy pamięta się tę drugą jaźń. Siedział załamany tym faktem, wstrząśnięty istnieniem tożsamości i wspomnieniem rzeczy, jakie kiedyś czyniła.

Księżniczka ze świątyni powiedziała, że posyła po kogoś zwanego boginią bieżnią. Aż do tej chwili imię to kryło się gdzieś w zakamarkach umysłu, stanowiło po prostu część wspomnień. Ale teraz miał wrażenie, że jego mózg zatrzymuje się na tym zagadnieniu. Po kogo posłała?

Zupa zniknęła. Nie wypuszczał jednak naczynia z rąk, bo wciąż kryło w sobie ciepło.

Jedynie ciepło, jakiego doświadczał. Jego mózg przypominał bryłę lodu tkwiącą w czaszce.

Bogini Ineznia! - huczało mu w głowie. Kiwał się w przód i w tył, a przez umysł prześlizgiwał się zagadkowy, niewyraźny cień. W końcu pojawił się kształt myśli, myśli o tak ostrych konturach, że zdawała się przesywać jego istotę niczym wbity całą siłą nóż. Musi się stąd wydostać. Bez względu na to, kim był Ptah, Peter Holroyd nie potrafił poradzić sobie z tą sytuacją. Musi się wydostać - chyba że jest już za późno.

Uświadomiwszy sobie taką możliwość, otworzył szeroko oczy. Poczul przejmujący lęk.

Spoglądał gniewnie na małego człowieczka, czując napięcie w każdym mięśniu.

- Jak długo tu jestem? - spytał, a jego własny głos zabrzmiał mu w uszach jak krakanie.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że przerwał Tarowi, który ani na chwilę nie przestał trajkotać. Gość umilkł, marszcząc brwi.

- Właśnie ci o tym mówię. Podania o tobie powiadają, że byłeś silny jak grimb; a jednak po siedmiu dniach bez jedzenia i picia znalazłem cię w takim stanie. Prawie martwego...

Mężczyzna mówił dalej, ale Holroyd nie słuchał. Siedem dni, zastanawiał się. Przez siedem dni bóg Ptah leżał w tym lochu, z wolna popadając w obłąd, i w końcu stres spowodował, że ów osobnik wskoczył na powrót w swoje ostatnie wcielenie. Zdenerwowało go to, ponieważ... tak poważny spadek sił w ciągu zaledwie siedmiu dni? Niemożliwe.

Chodziło raczej o siedem lat, a może nawet o siedemset Ptah, który nie znał pojęcia czasu, leżąc nieskończenie długo w ciemności, mógł odbierać go szybciej niż otoczenie. Było

to jedynym możliwym wytłumaczeniem tak przerażającego rezultatu. I znów myśl Holroyda urwała się pod wpływem nagłego wstrząsu. Siedział tępo, zdumiony samym sobą, tym, że mógł wpaść na coś takiego. Cóż to za obłąd go ogarnął? Siedemset lat w siedem dni! Oblizął suche wargi, zapanował nad umysłem i skupił się na owych siedmiu dniach.

- Jak długo leciałby... - jego dwudziestowieczny umysł zawahał się przed użyciem tego słowa, w końcu jednak Holroyd wymówił je z wysiłkiem - ...skrier stąd do Ptah i z powrotem? Jasne oczy Tara przypatrywały mu się z dziwnym wyrazem.

- Zabawny osobnik z ciebie - stwierdził w końcu. - Mówiono, że zmierzasz do Ptah. Ale to tylko dowodzi, w jak złym musiałeś być stanie, zanim cię tu wsadzili.

Potrząsnął głową, a Holroyd odniósł nagle wrażenie, że Tar droczy się z nim celowo. W pierwszym odruchu chciał rzucić się na tego człowieka i wydusić z niego odpowiedź siłą.

Ogarnął go dziki gniew. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że ta niezwykła furia nie pasuje do Holroyda. Zapanował nad sobą i spytał roztrzęsionym głosem:

- Ale jak długo., jak długo by to trwało?

- Nie rozumiesz - odparł mężczyzna. - Twoje pytanie jest pozbawione sensu. Żaden skrier jak dotąd nie poleciał z Linn wprost do Ptah. To za daleko. Kiedy księżniczka wyruszyła w podróż, poleciała najpierw na północ, do nadmorskiego miasta Tamardee, następnie do Lapisar i wspaniałego Ghay, i tak wzdłuż całego wybrzeża. Cała podróż zabrała dwa miesiące. Musisz jednak wiedzieć - ciągnął Tar - że istnieje rzekomo gatunek naprawdę szybkich ptaków. Powiadają, że niektórzy spośród posłańców bogini, lecąc na specjalnie wyszkolonych zwierzakach, mogą przelecieć z jednego końca Gonwonlane na drugi w niewiele więcej niż osiem dni bez lądowania. To oznacza sześć dni stąd do Ptah. A teraz posłuchaj...

Holroyd westchnął. Sześć dni tam, sześć z powrotem. Bogini wiedziała, i to od dwudziestu czterech godzin. Jeszcze pięć dni i będzie tutaj.

Miał pięć dni na ucieczkę z lochu świątyni.

200 000 000 lat w przyszłość

Świadomość, jak niewiele Czasu mu pozostało, nie była z początku przygnębiająca.

Holroyd nie czuł specjalnej chęci, by wstać czy nawet pomyśleć, czekając, aż Tar przyniesie więcej zupy. Zastanawiał się raczej, skąd ją bierze, a także inne jadlo, które obiecał przynieść, zanim zniknął w tunelu. Jednak, gdy w końcu sobie uświadomił czas, a raczej jego brak, przeraził się.

Jakąś częścią swojej istoty nie martwił się zbyt. Ta część czekała na przybycie bogini, czekała zimna i spokojna, jak niepowstrzymana siła nieświadoma ograniczeń, akceptująca wiedzę, jaką dysponował mózg Holroyda, w taki sam sposób, w jaki wcześniej akceptowała własną tożsamość, własny cel.

Uczucie było silne i jednoznaczne. Holroyd nie miał żadnych wątpliwości. Ptaħ, podobny do dziecka bóg Gonwonlane, i Peter Holroyd, kapitan brygady pancernej, zamieszkiwali to samo ciało, a bóg uważał Holroyda za nieodłączną część swojej istoty. I tak było. Holroyd zadrżał, a po chwili doznał napadu dzikiej furii.

- Ty idioto - wrzasnął. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, w co nas wpakowałeś, kiedy dałeś się zwabić do lochu tej dziewczynie o ładnej, uśmiechniętej twarzy? Największemu głupcowi wystarczyłoby jedno spojrzenie na tyrańską strukturę - księżę świątyni, król świątyni, cesarz świątyni, a gdzieś na szczycie tej hierarchii bogini - by wiedzieć, że twoje przybycie to istny dynamit. Nie możesz...

Zamilkł. Jeszcze przez chwile jego głos odbijał się echem w tym małym pomieszczeniu.

W ciszy, jaka nastąpiła, Holroyd pomyślał z pełnym ironii znużeniem: „Cóż to za bezsensowny wybuch -wariat strofuje samego siebie". Ale czuł się teraz lepiej, przekonany, że panuje nad własnym ciałem, że jego umysł pracuje, kontrolując struny głosowe.

A że odznaczał się typową dla Ptaha, boską pewnością siebie... nie przeszkadzało mu to specjalnie. Dobrze było mieć w trudnej chwili świadomość, że jakaś część jego istoty nie zna strachu i nie wątpi o swoich umiejętnościach, żyjąc z przeświadczeniem, iż ma prawo czynić wszystko. Nie przeszkadzało mu poczucie, że jest niezniszczalny.

Za drugim razem Tar przyniósł więcej zupy i duży, zielony owoc. Był zadziwiająco soczysty i słodki, a smak miał cudowny, niepodobny do niczego, czego Holroyd kiedykolwiek skosztował. Właśnie ów smak, niezaprzeczalny fakt niezwykłości owocu, nasunął mu pytanie, które jak dotąd nie wynurzyło się z wcześniejszych, abstrakcyjnych rozważań i prześladowających go wspomnień. Gdzie było Gonwonlane? Gdzie znajdowała się kraina z miastami zwanymi Ptaħ, Tamardee, Lapisar i Ghay? Wspaniałe Ghay, jak powiedział Tar. Holroyd próbował odmalować sobie w myślach ową wspaniałość... i nie mógł. Przywołał jedynie mglisty obraz kilku miast, jakie widział na ziemi roku 1944 - slumsy, ponure ulice, przygnębiający rytuał codziennego życia. Wypowiedział głośno nazwy: Gonwonlane, Ptaħ - był w nich rytm i dziwna słodycz brzmienia, przypominająca muzykę.

Głód wiedzy nasilił się. Gdzie było Gonwonlane? Ożywiony podnieceniem zwrócił się do Tara i ujrzał, że jest sam. Kamienny blok tkwił na swoim miejscu.

Holroyd leżał nieruchomo przez nie wiadomo jak długą chwilę; wreszcie kamień drgnął, a w otworze ukazał się Tar. Przyniósł więcej owoców i trochę chleba - miękkiego, białego, świeżo upieczonego. Holroyd chwycił czym prędzej tę cenną, tak dobrze mu znaną strawę i poczuł, że łzy zamazują mu wzrok. Był zaskoczony głębią swojej reakcji, przez krótką chwilę nawet zawstydzony. Lecz wstyd niebawem zniknął. Dobrze było wiedzieć, że gdziekolwiek Gonwonlane się znajdowało, łączył je z dwudziestym wiekiem odwieczny chleb. Ujrzał tysiące kilometrów i lat chleba, sięgających przeszłości i przyszłości, od niepamiętnych czasów podstawowego pożywienia znacznej części ludzkości zamieszkującej ziemię.

Rozchylił usta, ale to Tar odezwał się pierwszy.

- Zastanawiałem się nad tą historią z zanikiem pamięci -stwierdził rzeczowym tonem mały człowieczek. - W sensie fizycznym posuwasz się do przodu błyskawicznie, ale co z twoim umysłem? Gdybyś umiał czytać, byłby to najszybszy sposób rozwiązania problemu.

- Czytać? - powtórzył jak echo Holroyd. Ogarnęło go zdziwienie. Ani razu nie pomyślał o książkach w Gonwonlane.

- Pewnie, Spójrz! - Tar wyszarpnął z kieszeni koszuli kawałek złożonego papieru i rozpostarł go. Holroyd wziął do ręki gładką jak jedwab, choć sztywną kartkę i zaczął się wpatrywać w słowa, które krzyczały do niego niczym z jakiegoś komunistycznego manifestu:

DLACZEGO NALEŻY ZAATAKOWAĆ AKKADISTRAN

Podstępne działanie Zardy z Akkadistranu, polegające na posługiwaniu się przestępcami z Nushirvanu w celu porywania obywateli Gonwonlane, wymaga akcji odwetowej w postaci wojny. Należy zmusić rząd Bogini Inezni do przeprowadzenia ataku na owego wroga.

Nasze wysiłki należy skupić na przekonaniu jak największej liczby ludzi, by zmienili adresata swoich modlitw, tych modlitw, które kreują boską moc Bogini. Ludzie muszą...

- W porządku, umiesz czytać - człowieczek wyrwał kartkę z rąk Holroyda. -Widzę to po ruchu twoich warg. Mam kilka książek w tunelu.

Opuścił się do dziury; przez moment był tylko głową i ramionami, które zanurkowały w przepastnych głębiach. Powrócił niemal natychmiast z dwiema książkami.

- Wróć JJQ nie przed śniadaniem, postaraj się więc przeczytać jak najwięcej, zanim zaśniesz. To prawda, dotąd nie przynieśli ci jedzenia, ale nie możemy ryzykować. Daj mi te łupiny owoców.

W chwilę później Holroyd ujął w drżące palce pierwszy z dwóch tomów. Najpierw tylko kartkował pospiesznie. Odczuwał tak palącą chęć, by obejrzeć wszystko od razu, że z

początku dostrzegając tylko przelotnie kuszące ilustracje i kolejne strony druku. Gdyż był to druk

- wyraźny, czarny tusz odcisnięty na białym tle.

Stronice z papieru sztywnego, ale niezbyt błyszczącego, złączono czymś, co wyglądało jak klej.

Ilustracje były kolorowymi fotografiami - a może rysunkami? - wykonanymi z tak drobiazgową dbałością o szczegóły, że złudzenie realizmu było absolutne. Trwało nadal, w miarę jak przewracał kartki. Czasem tylko zatrzymywał się nad czymś dłużej, pełen podniecenia.

Księga była zatytułowana *Historia Gonwonlane od najdawniejszych czasów*. Holroyd wrócił w końcu do pierwszej strony tekstu i przeczytał: „Na początku był Promienisty, Ptaħ, bóg ziemi, morza i przestrzeni, któremu niech będzie najwyższa chwała; do niego kierowane są niezliczone modlitwy, by powrócił do swoich wybranych po milionach lat, które spędził złączony z rodzajem ludzkim, co było szlachetną ofiarą dokonaną na chwałę jego ludu i dla dobra jego ducha. O Diyanie, o Kolio i boski Radzie!”

Holroyd zamrugał z niedowierzaniem, po czym zmarszczył czoło i przeczytał te słowa jeszcze raz, zwracając szczególną uwagę na wzmiankę o milionach lat. W końcu na jego ustach pojawił się uśmiech. Autor nieco przesadził, za dużo tu było patosu. Drugi rozdział potwierdził pierwsze wrażenie, gdyż zaczynał się bez specjalnych wstępów: „Ziemia jest bardzo starą planetą, od dawna zamieszkaną przez istoty ludzkie. Kontynenty i morza ulegały wielu gruntownym zmianom; przykładem może być stopniowe zniknięcie starodawnego Gondwonlandu i równie stopniowe pojawienie się z powrotem owego najpotężniejszego z masywów lądowych”.

Holroyd przeczytał cały tom od początku do końca, ani na chwilę nie przerywając lektury, po czym z niesłabnącym zainteresowaniem i podnieceniem wziął do ręki drugą

książkę.

Tytuł głosił: *Historia świata ukazana na mapach wraz z objaśnieniami*. Kartografowie przedstawiali ziemię od najdawniejszych czasów, lecz wykonane z talentem, szczegółowe rysunki pradawnych kontynentów wyglądały tak nierealnie, że Holroyd nie był w stanie się na nich skoncentrować. W końcu liczył się tylko współczesny Gonwonlane. Ten długi i szeroki pas lądu obejmował ponad połowę półkuli południowej, wybrzuszał się potężnie ku pomocy i kończył się w punkcie leżącym na wschód od czegoś, co według tekstu było przed ponad milionem lat „starożytną Asdralią”.

Gonwonlane miało długość jedenastu tysięcy kanbów, w najszerszym miejscu liczyło pięć tysięcy kanbów, a od pomocnego zachodu graniczyło z górzystym, szerokim na tysiąc kanbów przylądkiem Nushirvan.

Holroyd niemal automatycznie obliczył w myśli, że kanb odpowiada dwóm kilometrom. Powrócił do lektury, teraz już nie odrywał wzroku od stronicy.

Ląd na północ od przylądka Nushirvan, gdzie niegdyś znajdowała się starożytna

Ameriga Większa i kontynent Bretanii, był oznaczony jako Akkadistran. Tam, gdzie niegdyś

rozciągał się Ocean Atlantycki, widniały liczne duże jeziora. Obszar wodny między

Akkadistranem i Gonwonlane zwał się Morzem Tethsa. Ludność Gonwonlane liczyła

pięćdziesiąt cztery miliardy, Akkadistranu dziewiętnaście miliardów, a państwa Nushirvan pięć

miliardów. Geologicznie Nushirvan był najmłodszym lądem na planecie - wynurzył się z głę-

bin morskich zaledwie przed trzydziestoma milionami lat.

Świątynne miasto Linn zlokalizował Holroyd na wschodnim krańcu wielkiego

południowego masywu lądowego. Ptah z kolei, znajdowało się osiem tysięcy trzysta kanbów na

północny zachód od Linn, w linii prostej -jakby leciał skrierem. Potężne Ptah leżało nad zatoką

Wielkiego Klifu Morza Tethsa, około tysiąca dwustu kanbów od najbliższego półwyspu

Nushirvanu.

Jego zdumienie rosło z każdą chwilą. Holroyd dźwignął się na nogi, po czym zaczął przemierzać celę z księgą w dłoni, drżąc z przejęcia. Ponownie przeczytał obszerne fragmenty dotyczące historii, wraz z opisem rządzanego przez boginię imperium, tak potężnego, że jego umysł na przemian to odrzucał, to chłonał ów obraz. Lecz z wolna zaczęło rodzić się w nim przekonanie... uporczywa myśl... podniecająca pewność, że nie istnieje żaden żołnierz z czasów inwazji na Niemcy w 1944 roku, który mógłby być zaszokowany taką sytuacją. Był martwy. Jeśli pominąć odrodzenie w ciele boga, leżał w rdzewiejącym czołgu na jakimś polu bitewnym, od tak dawna zapomnianym, że samo miejsce, sama pamięć, sama myślenie o rym wydawała się Czymś dziwnym i nieprawdopodobnym.'

Jakiś dźwięk zakłócił nieodpartą jasność jego myśli. Poruszył się kamień zasłaniający wejście do tunelu. Holroyd podszedł szybkim, zwinnym krokiem, schylił się i bez większego wysiłku podniósł blok do góry. Jego chłodny umysł pracował bez zakłóceń. Miał już plan, równie prosty jak skuteczny.

W kwadratowym otworze ukazała się głowa Tara.

- Dzięki - sapnął. - To ciągłe odsuwanie kamienia wykańcza mnie. Mam dla ciebie śniadanie.

- Co masz dla mnie? - spytał zdumiony Holroyd. Ważność jego celu, chęć skupienia się tylko na planie zaćmiła mu umysł. W ogóle nie spał. Spędził na lekturze całą noc, ani razu nie myśląc o śnie. Westchnął głęboko. Powód był oczywisty- bogowie nie śpią. A przynajmniej nie muszą spać. Może zdołałby się zdrzemnąć, gdyby spróbował. Zauważył, że Tar przygląda mu się zdziwionym wzrokiem.

- O co chodzi? - spytał mały człowieczek. Holroyd potrząsnął głową i skłamał:

- O nic. Nie zdawałem sobie sprawy, że spałem tak długo. Tar wyszczerzył w uśmiechu

zęby.

- To dobry znak. Wyglądasz znacznie lepiej. Zaraz przyniosę ci śniadanie. Potem chciałbym z tobą pogadać.

- A ja z tobą-odparł Holroyd.

Tar zaczął już znikać w tunelu, kiedy nagle się wyprostował. Przyjrzał się Holroydowi spod zmrużonych powiek i zauważył:

- Jak na człowieka, który jeszcze wczoraj był jedną nogą w grobie, dość szybko zacząłeś przejawiać zainteresowanie życiem. Jak to możliwe?

- Powiem ci, jak zjem - odparł Holroyd ostrożnie. - Ma to związek z czymś, o czym wspominałeś.

- Wspominałem tylko o jednym - stwierdził Tar zaskakująco chłodno. - O czymś, co powinno zainteresować człowieka w twoim położeniu; powiedziałem mianowicie, że rebelianci mogą uznać cię za użytecznego, ponieważ twierdzisz, że jesteś Ptahem. Tylko tyle, prawda?

Holroyd milczał. Nie posądzał tego pulchnego, zwinnego człowieczka o taką bystrość, ale najbardziej zaskoczyła go jego twardość. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, za co Tar trafił do więzienia. Pomyślał, że lepiej zachować ostrożność. Tar stanowił jego jedyny łącznik ze światem zewnętrznym.

- No i co z tego? - spytał. Tar wzruszył ramionami.

- Przykro mi, że w ogóle o tym wspominałem, bo to już nieaktualne. Nie są zainteresowani. Nie bardzo wiedzą, jak można by to wykorzystać w praktyce, poza tym zbyt łatwo mógłbyś zniknąć gdzieś w dali. Jak widzisz, jestem z tobą szczery.

- Ale zdołaliby mnie uwolnić?

Mały człowieczek zeszywniał, jakby dostrzegł determinację kryjącą się za tymi

słowami, wypowiedzianymi cichym głosem. Przyglądał się badawczo Holroydowi, w końcu przytaknął z niechęcią.

- Dobrze - stwierdził Holroyd. - Powiedz im, żeby przyszli dziś wieczorem i wyciągnęli mnie stąd.

Tar wybuchnął śmiechem, który urwał się nagle, jakby automatycznie. Wygrzebał się z otworu i spojrzał groźnie na Holroyda. Oczy przypominały wąskie szparki, usta tworzyły cienką jak ostrze noża linię. Stojąc nieruchomo, wyglądał jak dzikie zwierzątko o ludzkich cechach, prężące się do skoku. Zauważył w końcu z niechęcią:

- Zabawnie brzmi to w ustach osobnika, któremu nasza organizacja uratowała właśnie życie.

Słuszność tych słów kłuła jak ostrze. Ale Holroyd wiedział, że kryjący się za nimi sens moralny nie przyda się na nic. Ta wszystko było inne. Ptah, po trzykroć wielki Ptah, wykraczał poza granice tak wąsko pojmowanej etyki. Powiedział szczerze:

- Posłuchaj, przywódcy rebeliantów zdecydowali na ślepo, nie biorąc pod uwagę mojej osoby. Jest to zatem decyzja błędna, krótkowzroczna, bezwartościowa. - Wziął głęboki oddech i perorował dalej: - Powiedz im, że jestem gotów grać rolę Ptaha wobec wszystkich; że jeśli są dostatecznie silni, by zdobyć tę świątynię, jestem gotów uczynić z niej moją kwaterę główną. Powiedz im, że żadna armia nie zbierze rekrutów szybciej niżli ta, która skupi się wokół mojej osoby. Żołnierze, którzy ruszą do ataku, staną się moimi zwolennikami. Wiem dostatecznie dużo, by oszukać każdego, nie wyłączając... - urwał. Chciał powiedzieć: nie wyłączając bogini. Ale tak śmiałe twierdzenie byłoby zbyt ryzykowne. Dokończył: -...nie wyłączając najmądrzejszych.

- Dużo gadasz, jak na człowieka siedzącego w lochu - zauważył zimno Tar,

- Byłem chory - wyjaśnił Holroyd. - Bardzo chory. Tar zmarszczył czoło.

- Skontaktuję się z nimi, ale może to potrwać nawet tydzień.

Holroyd potrząsnął głową. Perspektywa jawnej wrogości ze strony Tara nie cieszyła go specjalnie, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by nie wykorzystać sytuacji. Choć miał jeszcze kilka dni spokoju, byłoby szaleństwem marnotrawić czas, jaki dzielił go od przybycia bogini.

Wiedział, że przybędzie. Był tego pewien. Przybędzie najszybszym dostępnym środkiem transportu.

- Dziś wieczór - stwierdził beznamiętnie. - To musi się odbyć dzisiejszego wieczoru. -

Jego spojrzenie zatrzymało się na wejściu do tunelu. - A nie mógłbym uciec tamtędy?

Nie otrzymał odpowiedzi. Tar wchodził już do dziury. Kiedy zniknął, Holroyd nachylił się, zbadał kamień od spodu i wyprostował się z ponurym uśmiechem. Chwilę później Tar podał mu jakieś owoce, kubek płynu i trochę chleba.

- Pomóż mi opuścić głąz - powiedział cicho. - Zobaczę, co się da dla ciebie zrobić.

Holroyd stłumił uśmiech.

- Przykro mi, ale zauważyłem, że na kamieniu są wgłębienia, dzięki którym można go umocować od dołu - zauważył cicho. - Będę czuł się bezpieczniej, jeśli głąz nie wróci na swoje miejsce.

I rym razem nie doczekał się odpowiedzi. Tar posłał mu długie, gniewne spojrzenie i zniknął. Ale powrócił; było to zdumiewające, ale ciągle powracał -z obiadem, z kolacją. Jednak ignorował wszelkie namowy więźnia z wystudiowanym milczeniem, które nie pozostawiło Holroydowi wyboru. Musiał działać sam.

Sekrety świątyni

Wąski tunel składał się z mroku i światła. Pod sklepieniem tak niskim, że Holroyd musiał zgiąć się niemal wpół, wystawały krótkie pochodnie. Dostrzegał boczne odnogi - ciemne otwory na tyle duże, by pomieścić człowieka. Holroyd nie zwracał na nie uwagi. Nie byłoby dobrze zgubić drogę w labiryncie korytarzy. Postanowił trzymać się głównego traktu. Obejrzał z zaciekawieniem pierwszą z brzegu pochodnię. Tak jak pozostałe, była zrobiona z drewna. Nie parzyła, a kiedy przyciągnął ją bliżej, zgasła, jakby przekręcił kontakt. Była przytwierdzona do sklepienia drewnianym zawiasem, ale zapłonęła powtórnie dopiero wtedy, gdy zetknęła się z kamiennym sufitem. Zasilanie musiało zatem płynąć z ziemi. Holroyd miał już ruszyć dalej, kiedy zauważył karteczkę zwisającą z zawiasu. Było na niej napisane: „Cela 17. Mieszkaniec: przypadek amnezji. Uwagi: brak”.

Karteczka przy drugiej pochodni głosiła: „Cela 16. Nazwisko: Nrad. Popełnił błąd, oddając cios żołnierzowi świątyni”. Holroyd popatrzył na tę lakoniczną informację z aprobatą. Błąd Nrada budził jego podziw.

Tam, gdzie kończyła się linia światła, w ciemności, za celą numer jeden, biegły strome, wąskie schody. Holroyd wspinał się po nich, mijając słabo oświetlone korytarze, ale niepokoiła go nagła wizja: obraz jego własnej postaci w tym podziemnym świecie świątyni, która nad ziemią wystrzelała w ciemnoniebieskie niebo, postarzała od chwili jego narodzin o dwieście milionów lat. Czas, jaki upłynął, był nicością, jeszcze bardziej niż śmierć. Zabawne, jak przeszłość straciła na znaczeniu. Istniała tylko ta wspinaczka sekretnymi schodami w półmroku, wspinaczka - przez dziesięć, jedenaście, dwanaście kondygnacji.

Dotarł do dwunastego, ostatniego poziomu i zaczął szukać jakiegoś wyjścia, którym mógłby dotrzeć na dach. Nie znalazł żadnego, ruszył więc ostrożnie korytarzem przed siebie.

Sklepienie było na tyle wysokie, że mógł się wyprostować. Ale i tutaj, podobnie jak w podziemiach, znajdowały się boczne wejścia, które zignorował według tego samego założenia, że podążając wzdłuż linii prostej nie można się zgubić. Także tutaj przy każdej pochodni wisiały karteczki. Na pierwszej przeczytał: „Sadra, pomoc kuchenna, popiera rebeliantów. Jeden z jej kochanków to gadatliwy sierżant Gan. Wizjer, ale brak dostępu”.

Okazało się, że jest to typowa informacja. Każdą celę zamieszkiwała jakaś służąca; większość miała kochanków i większość popierała rebeliantów - i każda, na którą Holroyd popatrzył przez wizjer, była pogrążona w głębokim śnie.

Jedenasty poziom zamieszkiwali wyłącznie służący płci męskiej. Wszyscy spali.

Holroyd zstępował bezgłośnie po wąskich schodach. Ósmy poziom zajmowali zwyczajni mieszkańcy, tak samo jak siódmy. Zdradzały ich jednak ciemne szaty przerzucone przez oparcia krzeseł: kapłani! Kapłanki! Na czwartym poziomie znajdował się apartament księcia świątyni. A także, jak głosiła karteczka, „...jego córki, Giyi, księżniczki świątynnej”.

Ambitna Giya, pomyślał ze złością Holroyd, przebiegła, podstępna, bystra, spragniona władzy Giya. Zaciskając zęby zajrzał przez wizjer umieszczony w tej części apartamentu.

Trwało chwilę, nim objął wzrokiem cały obraz. Zobaczył duży, wyłożony grubym dywanem pokój, umeblowany sofami, krzesłami i stołami. Na drugim końcu dostrzegł otwarte drzwi prowadzące do sypialni; to miejsce obudziło w nim prawdziwe zainteresowanie.

Widać było brzeg łoża i długi, wąski stół o blacie lśniącym jak lustro. Na krześle obok stołu, na prawo od drzwi, siedziała księżniczka świątyni. Poruszała wargami, więc Holroyd przycisnął ucho do wizjera. Przypląnęły do niego bezkształtne słowa, niezrozumiałe, choć melodyjny strumień dźwięków. Po kilku minutach Holroyd odsunął się od drzwi. To, z kim Giya rozmawiała, nie miało znaczenia; ważniejsze było znalezienie zagrody dla skrierów, chęć ucieczki do mrocznego świata zachodniego Gonwonlane.

Skradał się teraz bocznymi korytarzami, uważając, by nie zapuszczać się zbyt daleko.

Chyba w dwie godziny później znowu trafił na poziom czwarty - a księżniczka wciąż mówiła.

Wiedziony ciekawością, Holroyd ruszył po omacku bocznym korytarzem, biegnącym w kierunku jej sypialni. Spojrzał zdumiony: księżniczka była sama. Jej usta poruszały się, artykułując dźwięki; głos przez maleńką szczelinę przyplłynął do niego mocny i czysty:

„...Niechaj jego minuty będą dniami, jego godziny latami, dni wiekami. Niechaj pozna nieskończony czas, leżąc w ciemności... Niechaj jego minuty będą dniami... jego godziny... latami...”. Intonowała, te słowa wciąż na nowo; z początku Holroyd sądził, że to modlitwa, powtarzana w nieskończoność bezsensowna mantra, której celem jest urobienie umysłu wedle określonego wzorca.

Ale to pierwsze wrażenie zniknęło i Holroyd doznał nagle wstrząsu: oszołomiony pojął, co słyszy, a było to oczywiste i groźne jak stal miecza. Co ona mówiła? Co mówiła? „Niechaj jego dni będą wiekami”. Tym właśnie były - dla Ptaha.

Holroyd zbyt późno sobie uświadomił, że krótkotrwały paraliż władz umysłowych pozbawił go na moment władzy nad ciałem, którą sprawował nie znający strachu ani wątpliwości mózg. Zdał sobie sprawę, że jego dłonie manipulują przy sekretnych drzwiach do komnaty, ale już było za późno; zdradził swoją obecność. Wchodząc do środka musiał narobić trochę hałasu, bo kobieta odwróciła się szybkim i gwałtownym ruchem, jak tygrysyca.

Zabawnie wygląda, pomyślał Holroyd. Spoglądając przedtem przez wizjer, nie zwracał uwagi na powierzchowność księżniczki. Mimo wszystko niczego nie podejrzewał. Nie potrafił określić, kiedy dokonała się ta transformacja. Musiała być owocem myśli, rozpoznania przez księżniczkę boga Ptaha. Ten raptowny przebłysk wiedzy dotarł przez osiem tysięcy kanbów do odległego miasta Ptah i sprawił, że bogini w mgnieniu oka przejęła postać księżniczki. Jak się to dokonało, stanowiło w tej chwili tajemnicę.

Nie miało to zresztą znaczenia; zdradził przecież Tara i sekret tajemnych korytarzy.

Poczuł gniew wobec owej niepowstrzymanej, wewnętrznej siły, która wykorzystywała jego umysł i wiedzę z tak absolutnym lekceważeniem konsekwencji. Gniew zapłonął krótkim, daremnym płomieniem.

Była tylko bogini Ineznia.

Oglądała teraz inaczej niż obraz utrwalony w pamięci Ptaha. Holroyd pomyślał, że zwykły bóg uległby uwodzicielskim urokom pierwszej kobiety, jaka się do niego uśmiechnęła.

Wiedział jednak, że Ptah nie poddałby się tak łatwo czarowi istoty ludzkiej.

Kobieta tryskała życiem. Nic dziwnego, że księżę ze świątyni przyglądał się swojej odmienionej córce ze zdumieniem. Wzrok miała płomienny i przenikliwy; jej ciało otaczała aura gorąca jak łuna pożaru. Ale głos księżniczki brzmiał miękko, mimo iż była w nim ukryta zawziętość, pasja i duma.

- Peter Holroyd - rzekła rozpromieniona. - Och, Ptahu, to wielka chwila w naszym życiu. Nie bądź zaniepokojony tym, że cię rozpoznałam. Musisz wiedzieć, że zasmakowaliśmy zwycięstwa. Wygraliśmy pierwszą, choć nie najniebezpieczniejszą bitwę w wojnie wywołanej przez boginię Ineznię, wojnie, której celem jest zniszczenie ciebie. To ona sprowadziła cię do Gonwonlane z równoległego czasu, wcześniej niż miało to nastąpić. Pozbawiony wiedzy, odarty z władzy, miałeś zmaterializować się w pałacu--cytadeli, a potem zostać zniszczony. Poczekaj! Nic nie mów! -Jej głos nabrał nagle mocy i zabrzmiał niczym wibrująca stal. Holroyd, który już rozchyłał usta, by wyrazić swoje zdumienie, zacisnął je na powrót. To nie bogini, pomyślał; to na pewno nie bogini. Kobieta nie ustępowała, przemawiając niecierpliwie: - Wszystkie jej plany unieściełam. Wykorzystując ostatki dawnej boskiej mocy, o której ona nic nie wiedziała, umieściłam cię w tym odległym zakątku Gonwonlane, przejęłam ciało księżniczki świątynnej i poddałam twój umysł bezustannej presji, której celem było wydobyć

z głębi osobowości twojego ostatniego wcielenia. Dokonałam tego z powodzeniem. A zatem, Peterze Holroyd - mówiła dalej spiszonym głosem - zaczyna się twoja walka o życie. Działaj tak, jakbyś działał na wrogim terytorium. Zachowaj wyjątkową czujność, lecz zawsze trwaj do końca przy tym, co postanowisz. W trudnych chwilach ufaj swojemu nieśmiertelnemu ciału. Oto, czego masz dokonać: musisz podbić Nushirvan wszelkimi dostępnymi środkami. Pomyśl o tym, gdy dziś w nocy będziesz leciał do Ptah. Upłynie trochę czasu, zanim twój umysł pojmie w pełni znaczenie owego ataku. Na razie - posłała mu dziwny uśmiech - to wszystko, co mogę ci powiedzieć. Co się tyczy reszty, na moich wargach spoczywa pieczęć tego samego zaklęcia, za sprawą którego moje ciało spędziło w lochu cytadeli tyle wieków, że nie potrafię ich zliczyć. Posłuchaj, Ptahu... Peterze Holroyd... twoja druga żona, dawno zapomniana L'onee, będzie się starała uczynić dla ciebie więcej, gdy nadarzy się okazja. Tymczasem pospieszmy się, wyjdźmy na balkon, a stamtąd na dół, na dziedziniec, do zagrody dla skrierów...

Urwała nagle. Jej oczy rozszerzyły się, dostrzegając coś ponad ramieniem Holroyda.

Holroyd już się niemal odwracał, gdy strzała z łuku Tara śmignęła mu koło ucha i zagłębiła się w lewej piersi kobiety. Przez chwilę księżniczka stała nieruchomo, potem uśmiechnęła się do Holroyda miękkim, czułym uśmiechem. Peter złapał ją, gdy osuwała się na ziemię. Zdążył jeszcze usłyszeć jej szept:

- Nie szkodzi, że to ciało umiera. Pamiętało zbyt wiele. Powodzenia!

Zza pleców Holroyda dobiegł krzyk Tara:

- Prędeej, człowieku, zakładaj to ubranie. Wynosimy się stąd!

Z oddali dobiegły inne krzyki; dodało mu to skrzydeł.

Kiedy biegł, w jego pamięci trwał obraz leżącej nieruchomo na dywanie młodej kobiety, w której zgasł płomień życia. Owo wspomnienie zachowało całą wyrazistość, dopóki nie został wciągnięty przez jeźdźca, którego nawet nie rozpoznał, na grzbiet latającego stwora.

Potężne uderzenia wielkich skrzydeł przypominających śmigi wiatraka, łoskot towarzyszący wzbijaniu się wielkiego ptaka w chmurne, nocne niebo, wyparły ten obraz z jego myśli. I wtedy...

Rozległ się jęk jeźdźca:

- Trafili mnie! - zawołał. Przeleciał przez grzbiet zwierzęcia i już go nie było. Kiedy

Holroyd sięgnął w ciemność, by go dotknąć, natrafił tylko na siodło. Z rozciągającej się w dole nocy napłynął słaby krzyk.

Był sam w dziwnym, fantastycznym świecie, siedząc na grzbiecie skriera, którym nikt nie kierował.

Lot przez noc

Zza chmury wynurzył się księżyc, największy, jaki Holroyd kiedykolwiek widział.

Widniał tuż obok, jakby ziemia i jej srebrna, świetlista córka przybliżyły się do siebie od czasów dawno zapomnianego dwudziestego wieku. Groźna kula napełniała noc promienistą jasnością. W jej świetle Holroyd dojrzał po raz ostatni miasto Lina

Świątynna metropolia połyskiwała niewyraźnie w blasku księżyca. Sama świątynia górowała nad miastem, biała i nieskalana, niczym obelisk skąpany w promieniach własnego światła. Wokół niej rozpościerały się drzewa parku, ciemne i dziwne. Tuż za parkiem zaczynał się pierwszy krąg budynków, które ginęły stopniowo w oddali. Miasto stało się zamgloną plamą na rozległej płaszczyźnie. Taki właśnie obraz trwał przed oczyma Holroyda - nikłość miasta, ogrom lądu.

Z jego umysłu zniknęła wizja Linn. Symbolizowało przeszłość, więc przestał się nad nim zastanawiać, podobnie jak wcześniej przestał myśleć o kobiecie. Holroyd poczuł wielki smutek. Uświadomił sobie, że przez cały czas starał się wyrzucić z pamięci obraz spadającego w nocną ciemność ludzkiego ciała. Był bardziej zaszokowany, niż chciał to przyznać. Wiele razy widział śmierć przyjaciół i wrogów, jednak w przypadku przyjaciół zawsze towarzyszyła mu świadomość, że nie ponosi za to osobistej odpowiedzialności. Jeśli zaś chodziło o wrogów, to do diabła z nimi.

Lecz to był przyjaciel, choć nigdy przedtem go nie widział. Więcej niż przyjaciel, wybawca, który oddał za niego życie. Jeszcze jeden, myślał ponuro Holroyd. Jeszcze jedno roztrzaskane ciało, poszukujące odwiecznego związku z ziemską powłoką. Iluż to ludzi spadało bezwładnie z wysokości, wbrew swej woli, by stopić się z lądem? Ilu w ciągu dwustu milionów lat?

Myśl ustąpiła przed szalejącym wiatrem, łopotem potężnych skrzydeł, nocą, która

zdawała sienie mieć końca. Ciemność wzbudzała gniew.

Do diabła, Ptah, co próbujesz zrobić - zrównoważyć siedemset lat w ciągu jednej nocy?

Niedługo powinno pojawić się słońce, myślał Holroyd ponuro. Przecież gdy uciekał, mieszkańcy świątyni spali już od wielu godzin, on zaś leciał na tym ogromnym ptaku-samolocie przez kolejne godziny. Ale noc trwała nadal. Działo się coś złego, coś zdecydowanie złego, co miało związek z tym niewiarygodnym lotem przez nie kończącą się ciemność.

Holroyd, otoczony przez wielki mrok, poruszył się niespokojnie w swoim siodle.

L'onee, kimkolwiek byki, powiedziała, że znów mu pomoże.

Czyżby chodziło teraz o jakiś rodzaj owej pomocy? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, skoro powiedziała mu również, by udał się na front nushirwański i zaatakował, a następnie zniszczył agresywne państwo. Umysł Holroyda skupił się z ponurą determinacją na tym zagadnieniu. Dlaczego właśnie on musi zaatakować liczący pięć miliardów ludzi Nushinran, gdzie wznoszą się góry bez końca i gdzie żyją przebiegli wojownicy? Parsknął chrapliwym śmiechem, który zniknął natychmiast z jego warg, porwany przez zawodzący wiatr i ciśnięty w bezkres nocy. Lecz myśl pozostała; po chwili już wiedział, o co chodziło tej kobiecie i dlaczego było to możliwe.

Od wieków nieliczni tylko ludzie O żelaznej woli i niezwyklej osobowości rządzą i podejmowali decyzje kształtujące życie mas. Teraz także bóg Holroyd-Ptah musi udać się na front nushirwański, przejąć kontrolę nad tamtejszymi armiami i pokonać Nushirvan, zanim bogini Ineznia zorientuje się w sytuacji.

Holroyd zaczerpnął głęboki oddech. Musiałby, oczywiście, skontaktować się z grupami rebeliantów i dowiedzieć się, co oznaczało stwierdzenie zawarte w pamflecie, który dostał od Tara, że modlitwy są źródłem boskiej mocy bogini. Jeśli była to prawda, to skąd w takim razie

czerpał swoją potęgę Ptah?

Nagle uświadomił sobie skalę wszystkiego, co się tu działo. Zalała go fala podniecenia.

Umysł z 1944 roku, pomyślał wstrząśnięty, dominuje nad ciałem boga z Gonwonlane.

Świadomość Holroyda wzniosła się nagle, by objąć niezwykłość tej idei; całą jego istotę rozpalały oszałamiające myśli. A dziwna i długa noc trwała nadal.

Świt pojawił się z tropikalną szybkością. Zza horyzontu, z tyłu wynurzyło się słońce i skąpało w świetle wioski, zagrody i lasy, przypominające na pierwszy rzut oka dżunglę. Była to zielona, żyzna kraina.

Gdzieś na północy połyskiwało ciemne morze, a z przodu widać było miasto. Leżało bardzo daleko, co chwila znikało we mgle horyzontu. Wydawało się, że widać także potężny klif. Klif? Holroyd zmarszczył brwi. Ptah było miastem nad Wielkim Klifem, ale żaden skrier nie mógł pokonać w jedną noc trasy, której przebycie zabierało siedem dni. Lecz gdy tylko Holroyd to sobie uzmysłowił, już wiedział. Pojął, co oznaczała nieskończoność nocy. Ktoś pchał go w stronę Ptah. Czy była to L'onee?

Nagle zrozumiał, że nie wolno mu ryzykować. Musi skłonić bestię, by wylądowała.

Tutaj. Teraz. W tej minucie. Poczul, jak leci w dół. Chwilę później, niczym ogromny jastrząb spragniony łupu, skrier runął ku odległej dżungli.

Ziemia w dole wydawała się z początku nie zamieszкана. W ostatnim momencie

Holroyd dostrzegł niewielki domek kryty czerwoną dachówką, ukryty pośród zielonych palm o pierzastych liściach; po chwili wielki ptak przemknął tuż nad Unią dżungli. Wylądował na polanie, a potem pobiegł z ogromną szybkością, uderzając szaleńczo skrzydłami. Gdy zatrzymał się gwałtownie, Holroyd ujrzał po raz pierwszy pęk piór na żebrowanym, zrogowaciałym karku. Poruszony tym widokiem zaczął się zastanawiać nad dwudziesto-wiecznym przodkiem skriera. Jednak ewolucja ciała i szkieletu zaszła już zbyt daleko;

sprawdzenie tego wymagałoby zapewne drobiazgowych badań naukowych. Holroyd umiał rozpoznać po wyglądzie niespełna tuzin ptaków. Z zamyślenia wyrwał go dźwięczny głos, który odezwał się za jego plecami:

- Postąpiłbyś mądrze, Peterze Holroydzie- Ptahu, gdybyś zszedł na ziemię.

Holroyd obrócił się w siodle. Jakieś osiem metrów dalej, na wąskiej ścieżce, stała dziewczyna. Ciemne oczy były pogodne i szczerze, a oliwkowa twarz, choć smutna, nosiła znamię silnej osobowości.

- Pospiesz się! - odezwała się ta nowa L'onee. - Latający skrier nie tkwi zbyt długo w jednym miejscu, jeśli się go nie pilnuje. Pamiętaj, by nie przechodzić przed nim. Dziobnie cię bez wahania. Poza tym została nam, Ptahu, tylko jedna krótka godzina -dodała pośpiesznie. - Nie mamy czasu do stracenia.

Holroyd zsunął się na ziemię. Ogarnęło go zakłopotanie. Trudno mu było z początku zidentyfikować jego źródło, ale po chwili uświadomił sobie, skąd się bierze. Dziewczyna akceptowała go jako Ptaha, bez względu na obcą osobowość Holroyda, która już od paru godzin dominowała nad ciałem boga. Owa dominacja była tak całkowita, że nie odczuwał żadnej różnicy. Ptah był Holroydem. Tyle tylko, że Holroyd przyjmował otaczającą go rzeczywistość zbyt bezkrytycznie; ten sam Holroyd, dla którego podróż do Gonwonlane równałaby się wyprawie do domu obłąkanych, gdyby przebywał w swoim własnym ciele. Pomijając to, połączenie boga z człowiekiem w ludzkiej postaci było tak absolutne, że nawet pamięć tego pierwszego kryła się za mgłą- To dominacja jego wewnętrznej tożsamości sprawiała, że słowa kobiety wprowadziły go w zakłopotanie, gdy zmierzał powoli w jej stronę. Nie ruszyła się ze swojego miejsca. Oczy miała ciemne i promienne. Czarne włosy spływały na jej ramiona wzburzoną kaskadą, a twarz odznaczała się urodą zdrowej wiejskiej dziewczyny. Miała zgrabną, młodzieńczą sylwetkę. Holroyd dostrzegł, że kobieta jest

świadoma jego ciekawskiego wzroku; na jej wargach błąkał się nieznaczny uśmiech.

- Nie przywiązuj wagi do tej postaci, Holroyd - rzekła w końcu. - To wiejska dziewczyna o imieniu Moora, która mieszka z ojcem i matką ćwierć kanba stąd.

Łatwo było jej mówić. Promieniowała życiem. Kiedy odwróciła się i ruszyła ścieżką, jej ruchy miały w sobie tyle młodzieńczej sprężystości, tyle niewymuszonego wdzięku, że Holroyd przystanął zafascynowany. Czym prędzej ją jednak dogonił i ruszył wąską ścieżką. Milczał kilka minut, w końcu jednak spytał:

- Dokąd idziemy? I co ze skrierem? Nie odpowiedziała. Zagłębili się w las. Z drzew zwieszały się długie pnącza, a listowie nad ich głowami było tak gęste, że ukośne promienie porannego słońca nie mogły przebić leśnego mroku. Był to milczący świat skąpany w półświetle.

- Jak to się stało, że dotarłem do miasta Ptah w ciągu jednej nocy? - chciał wiedzieć Holroyd.

- Wstrzymaj się z pytaniami - padła odpowiedź. - Co się zaś tyczy skriera, to nie będziesz go już potrzebował.

Szli dalej. Holroydowi zdawało się, że noc, która dopiero co minęła, trwa bez końca.

Poczucie niebezpieczeństwa narastało; świadomość, że każda mijająca minuta może przynieść całkowite zaskoczenie, była coraz silniejsza. Dlaczego, skoro zwabiono go do lochu, podążał teraz bez słowa za kobietą, która go tam zwabiła?

- Posłuchaj...- zaczął i urwał. Ścieżka, tak wąska dotychczas, teraz się rozszerzyła.

Oczom Holroyda ukazała się polana, a na niej z prawej strony niewielki domek, ten sam, który widział wcześniej z góry. Nie dostrzegł w nim oznak życia.

Był to ładny, jednopiętrowy budynek, wzniesiony z umiejętnie obrobionego drewna. Sprawiał schludne wrażenie, jakby zamieszkiwali go mili, zdrowi ludzie.

Zamieszkiwali... niegdyś. Wrażenie pustki złagodził widok dywanika w holu. Stojąc na progu, Holroyd widział alkowę, która znajdowała się po prawej stronie, a za nią najpewniej salon; wreszcie spojrzął z ukosa na dziewczynę.

- Cieszę się, że jesteś ostrożny - odezwała się do niego. - Trzeba było zwabić do świątynnego lochu Ptaha, by mógł się ponownie narodzić Holroyd. Możesz być pewien, że wszędzie będę wchodzić przed tobą.

To prawda, że przestał się obawiać, kiedy już ona weszła do środka, mówił sobie Holroyd, ale dlaczego się tu w ogóle znalazł? Potrząsnął niepewnie głową, po czym skupił uwagę na otoczeniu.

Salon był skromnie urządzone. Surowe krzesła, chodnik, komoda, stół, drewniany świecznik zwisający z sufitu; w rogu, na podwyższeniu, sterczał lśniący, stalowy pręt, świecący bladym, liliowym blaskiem. Holroyd dostrzegł, że oczy dziewczyny podążyły za jego spojrzeniem.

- Laska modlitewna - wyjaśniła.

Laska modlitewna! A zatem to było źródłem boskiej mocy bogini Inezni. Holroyd zbliżył się do podwyższenia. W jaki sposób ta laska działa? Odwrócił się z ciekawością ku dziewczynie i usłyszał jej słowa:

- Rodzice Moory są daleko stąd, więc jesteśmy sami, Ptahu, ty i ja, sami po raz pierwszy od... od... - zawahała się, potem westchnęła. - Czas nie ma znaczenia - ciągnęła znużona. - Było to tak dawno, że milion razy umierałam, pragnąc ciebie. - Jej głos brzmiał coraz bardziej namiętnie: - Jeszcze raz będę dla ciebie uosabiać wszystkie kobiety. Dziś możesz uznać mnie za wiejską dziewczynę o imieniu Moora, jutro będę piękną niewiastą ze srebrnego miasta Trinano, którą ujrzysz przypadkiem na ulicy, dzień później w twych ramionach spocznie jakaś wyśniona dama dworu, a potem to będę znów ja, twoja szczęśliwa żona. Tak to było z nami w

dawnych dniach i tak będzie teraz. Oczywiście, najważniejszy jest w tej chwili problem bogini Inezni.

Holroyd ledwie usłyszał ostatnie zdanie. Poprzednie słowa wibrowały w jego mózgu, a każda sylaba odcinała się wyraźnie jak druk w książce. Przyszła mu do głowy harda myśl, że żaden żołnierz z 1944 roku nie powinien odczuwać w takiej sytuacji zagubienia.

- Posłuchaj - usłyszał własny głos. - Czy ty naprawdę potrafisz przybierać postaci innych kobiet, tak że...

Nie był w stanie mówić dalej. Zobaczył, że dziewczyna mu się przypatruje z grymasem rozczarowania.

- Och, Ptahu - odparła karcąco. - Jeśli uważasz za niewłaściwe to, co dawniej robiliśmy, to bardzo się zmieniłeś. Przecież byłeś kobieciarzem, a ja jedynie ulegałam twojemu pragnieniu... i zawsze będę ulegała.

Nic już nie mógł powiedzieć. Jej wyznanie, zdradzające uległość charakteru, osłabiło ostrze reprimendy. Kobieta, która spełniała każdą odmianę mężowskiej żądz. L'onee, pomyślał Holroyd, L'onee, jakże jesteś słaba. Nic dziwnego, że twoje prawdziwe ciało leży skute łańcuchami w pałacowym lochu, więzione przez kogoś, kto myśli nie tylko o przyjemnościach.

- Posłuchaj, nie sprowadziłaś mnie tu jedynie po to, by się ze mną kochać. Chcę wiedzieć, jak tego dokonałaś. Jakim cudem skrier zdołał bezbłędnie dolecieć do owej polany w dżungli, gdzie czekałaś jako wiejska dziewczyna? I jeszcze jedno - ciągnął nieustępliwie. - Ten wypadek z jeźdźcem, który spadł z ptaka... czy to naprawdę był wypadek? Poczekaj! - Jego głos miał wibrującą moc.

Pomachał gwałtownie w stronę podwyższenia. - Laska modlitewna! Jak ona działa?

Wydaje się zrobiona z metalu, wygląda wręcz na stalową. A najzabawniejsze, że kiedy się nad

tym dłużej zastanowić, jest to pierwszy metal, jaki widzę od chwili przybycia do Gonwonlane.

Więc? - zakończył przemowę pytaniem.

Na jej twarzy malował się spokój, w oczach zaś pojawił się uśmiech, by zniknąć po chwili. Lecz Holroyd dostrzegł ten cień rozbawienia. Lepiej uważaj - ostrzegł sam siebie.

Charakter tej kobiety był bez wątpienia niezmiernie skomplikowany. Minęła chwila, a ona wciąż nie odpowiadała. Stała tylko, przypatrując mu się badawczo, zagadkowo intensywnym spojrzeniem. Jakby próbowała przewidzieć jego reakcję na coś, co nadal ukrywała w swoim umyśle. Nagle zbliżyła się do podwyższenia, z którego wyrastała laska modlitewna. Pokiwała na Holroyda, a gdy się odezwała, w jej głosie słychać było rozkazujący ton:

- Weź mnie za rękę, a ja ci pokażę, jak modli się prosty lud. Powinieneś się tego nauczyć, gdyż to z miliardów takich lasek pochodzi moc boga.

Holroyd potrząsnął głową. Nie odczuwał potrzeby podejmowania nagłej decyzji. Jego wola, jego świadomość odgrywały coraz większą rolę. Wiedział już, że nie zamierza z nikim współpracować ani też akceptować czyichkolwiek poleceń. Popędzono go dotychczas z oślepiającą szybkością, ale to się już skończyło. Ponad wszystko inne potrzebował kilku dni, by odzyskać orientację i zaplanować przyszłe działania. Zaczął sobie uświadamiać, że L'onee domyśla się powodów jego niechęci. Podeszła do niego.

- Nie bądź głupcem - rzekła poważnie. - Nie ma czasu do stracenia. Zwłoka może mieć fatalne skutki.

Nie było sensu odpowiadać. Niebezpieczeństwo bez wątpienia istniało, ale nie miało to znaczenia. Po prostu nie leżało w naturze Holroyda brnąć bez zastanowienia w nieznaną.

Dziewczyna wzięła jego milczenie za wahanie. Chwyciła go niecierpliwie za rękę i pociągnęła.

i - Chodź - ponagliła. - Nieważne, co chcesz zrobić, musisz się tego dowiedzieć.

Jej siła była zadziwiająca, ale Holroyd uwolnił się ze spokojną stanowczością.

- Sądzę, że zanim uczynię cokolwiek innego, powinienem złożyć wizytę w mieście

Ptah.

Odwrócił się i bez słowa, nie czekając na to, co ona powie, wyszedł do holu, a potem na zewnątrz. Dwa razy obejrzał się za siebie, dopóki niewielki domek był widoczny. Ale nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnego śladu życia. Milczący niczym siedlisko zła, stał w świetle wczesnego poranka, a gdy Holroyd zanurzył się w gęste zarośla, zniknął mu z oczu.

Królestwo ciemności

Dżungla była ciepła i wilgotna, i laby się z niej wydostać, należało przez jakąś godzinę podążać równym krokiem na zachód. Holroyd przystanął gwałtownie. Wyszedł na odkryte zbocze, przed sobą miał długą linię wzgórz, które zasłaniały widok miasta Ptah. Na północy rozciągało się ciemne, połyskujące morze, ale on ledwie je dostrzegął.

Jego uwagę przykuwała głównie dolina. Mieścił się tu obóz wojskowy. Roił się od ludzi i zwierząt. Holroyd zauważył też liczne budynki i wiele kobiet. Ich obecność zastanowiła go, ale po chwili zdumienie minęło. Oczywiście! Była to stała warownia z pomieszczeniami dla żonatych mężczyzn.

Miał wrażenie, że odbywają się jakieś manewry czy ćwiczenia. Obserwował przez chwilę obce mu działania. Wszystko tu przebiegało dość leniwym rytmem. Kawaleria dosiadająca grimbów galopowała niespiesznie, jeźdźcy dzierżyli długie, drewniane lance. Napotykając grupkę kobiet, niektórzy wyłamywali się z szyku, rozmawiali z nimi przez chwilę, po czym ruszali czym prędzej za swoim oddziałem. Z daleka wyglądało to żałośnie, choć takie zachowanie musiało mieć jakiś powód.

Jak dolina długa i szeroka, Holroyd widział wszędzie żołnierzy i ich kwatery, lśniące w słońcu bielą. Gdyby porzucił zachłanną taktykę Ptaha, powinien przejść nie zauważony. Obliczył dystans na jakieś osiem kilometrów - półtorej godziny marszu.

Pokonał już trzecią część drogi, mijając spokojnie grupkę mężczyzn i kobiet, gdy rozległ się grzmot ciężkich kopyt. Tuż obok przegalopował hałaśliwie długi szereg grimbów. Większość jeźdźców przyglądała mu się ciekawie, ale jeden człowiek - wysoki, dziwnie ubrany osobnik w alpejskim kapeluszu z kolorowymi piórami - popatrzył na niego z niekłamanym zdumieniem, po czym wstrzymał wielkiego rumaka, wyłamując się z szeregu. Pochylił się

nisko w siodle.

- Książę Ineznio! - zawołał. - Twoja niespodziewana wizyta ucieszy armię. Natychmiast powiadomię marszałka.

Zawrócił wierzchowca ku pobliskiej grupie mężczyzn i kobiet, Holroyd zaś przypomniał sobie, co mu na drodze powiedział książę- że Ptah przypomina wyglądem nie tylko posąg ze świątyni, ale i żywego człowieka zwanego Księciem Ineznio. Dopięto teraz te mgliście zapamiętane słowa zabrzmiały groźnie.

Holroyd wodził po otoczeniu zmrużonymi oczami. Dolina była pełna głosów ludzi i zwierząt. Z wszystkich stron otaczali go żołnierze, a w jego kierunku zmierzał tłum oficerów i kobiet.

Nie było wyjścia, nie pozostało mu nic innego jak trwać w tej fałszywej tożsamości.

Gdyby ci ludzie zaakceptowali go jako bieżnia, mógłby poznać dzięki nim szczegóły dotyczące armii, a potem ruszyć na front nushirwański. Poczul nagle niecierpliwość wywołaną lękiem i gorącym podnieceniem. Szczegóły nowego wcielenia nie były istotne. Pewność, że jego głos nie przypomina głosu Ineznia, nie miała żadnego znaczenia. Był Ptahem, po trzykroć wielkim Ptahem, Ptahem z Gonwonlane.

Zakodował sobie w mózgu swoją nową tożsamość, a potem patrzył z bezwzględną pewnością siebie, jak zbliżają się do niego oficerowie i ich damy, potem przystają, kłaniają się nisko i czekają na oficjalne powitanie.

Holroyd odezwał się twardo:

- Jestem tu, by obejrzeć manewry i niektóre elementy szkolenia. Niech żołnierze ćwiczą dalej.

Powitanie wypadło znakomicie, tyle że była to zasługa Ptaha, nie Holroyda. Nie, nawet nie Ptaha, ściśle mówiąc. To myśl o tożsamości Ptaha, z każdą chwilą cenniejszej, coraz

bardziej zintegrowanej, pozwoliła na wygłoszenie tak aroganckiego zdania. Dostrzegł, że w grupie zapanowało odprężenie.

Kobiety były w większości młode i przystojne; przyglądały mu się ze szczerym zainteresowaniem. Kilku oficerów, w tym jeden w średnim wieku, z którego kapelusza sterczało dziesięć białych i pięć czerwonych piór, podeszło bliżej. Ten w kapeluszu miał surowe oblicze.

- Jesteśmy zaszczyceni, panie - rzekł cichym głosem. - Nie przypominasz sobie zapewne naszego spotkania w pałacu, kiedy zostałem ci przedstawiony. Jestem marszałek Nand, dowodzący dziewięć tysięcy czterysta trzydziestym korpusem, który niebawem wyruszy na front nushirwański.

Marszałek mówił dalej, ale Holroyd, pomimo przemożnej chęci, nie był w stanie się skupić. Tożsamość Ptaha zaczęła gasnąć. Jego umysł, jednocześnie oszołomiony i zaabsorbowany, był jak korek tańczący na wzburzonych wodach. Dziewięć tysięcy czterysta trzydziesty korpus armii. Za jego czasów każdy korpus armii liczył z grubsza od czterdziestu do dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi. Miał wrażenie, że w tej zielonej, bujnej dolinie widział ich znacznie więcej, ale zakładał, że chodzi o mniejszą liczbę. Czterdzieści tysięcy ludzi w jednym z dziewięciu tysięcy czterystu trzydziestu korpusów oznaczało z grubsza dziewięćdziesiąt cztery miliony razy cztery - prawie czterysta milionów ludzi.

Szok mijał z wolna. Szczerze powiedziawszy, była to skromna armia jak na kraj liczący pięćdziesiąt cztery miliardy mieszkańców. Sam Nushirvan ze swoją pięćmiliardową populacją powinien wysłać na pole walki miliard ludzi. Holroyd odetchnął głęboko. Ogarnęła go radosna fascynacja żołnierza, fascynacja potencjałem militarnym ogromnych, przerażających armii. Można by ich nauczyć, pomyślał, taktyki błyskawicznego ataku przy wykorzystaniu skrierów jako samolotów, a grimbów jako czołgów.

Z każdą minutą ogrom tego niezmiernego ładu stawał się coraz bardziej oczywisty - a także chęć, by nie dać się zabić i żyć tu, naprawdę żyć. Holroyd-Ptah, boski władca Gonwonlane...

- Jeśli zechcesz udać się tędy, Wasza Wysokość - mówił marszałek - rozkażę podstawowym jednostkom ćwiczyć, byś mógł to zobaczyć. Z trzystu pięćdziesięciu tysięcy oficerów i żołnierzy mojego korpusu...

Ilu? - zdumiał się Holroyd, ale nie wyrzekł tego na głos. Uświadomił sobie, że zrównał się z generałem i że idą teraz noga w nogę, umysł zaś znów zaczyna pracować na wysokich obrotach. A zatem początkowe obliczenia należy powiększyć dziewięciokrotnie. Trzydzieści sześć miliardów ludzi, nie wliczając tych z jednostek powyżej dziewięć tysięcy czterysta trzydziestego korpusu. Było to niemal dziesięć razy tyle, co wszystkich ludzi na ziemi w 1944 - największa armia na największym łądzie, jaki kiedykolwiek istniał. Jego armia, jego łąd, gdyby tylko mógł je osiąść, gdyby zdołał pokrzyżować knowania bogini, pokonać jej ambicję i wziąć to, co należało do niego.

Tuż obok odezwał się cicho kobiecy głos:

- Jestem tutaj, Ptahu, w nowym ciele, by służyć ci pomocą... i radą.

Słowa kobiety odniosły dziwny skutek. Wywołały odrazę, obudziły poczucie niestosowności, wiążące się z poprzednimi myślami. Peter Holroyd, Amerykanin, chce osiąść świat - cholerny, niedemokratyczny nonsens! Ale czy mógł mieć nadzieję, że uda mu się pokonać w sobie samym silną cząstkę Ptaha, która żywiła takie aspiracje? Poczucie zwątpienia sprawiło, że zapalał zimnym gniewem, odwracając się, by zerknąć na nowe ciało L'onee. Uspokajał się powoli. Przyjęła teraz postać pulchnej kobiety w średnim wieku; ten wybór wzbudził jego zainteresowanie. Zanim zdołał przemówić, L'onee znów wyszeptwała:

- Jestem żoną marszałka Nanda. Jego kochanka stoi tam, po twojej lewej ręce.

Posłuchaj, Ptahu, armia musi zostać poddana reformie i reorganizacji. Widzisz, kobiety nie miały wstępu do obozów szkoleniowych aż do chwili, gdy kilka lat temu Ineznia postanowiła cię zniszczyć. Chciała się upewnić, że armia nie jest w stanie przeprowadzić ataku, jakiego dokonałbyś na Nushirvan, gdybyś kiedykolwiek miał po temu okazję. Ale zbuntowani oficerowie przeciwstawili się osłabieniu armii, więc jej stan jest lepszy niż myślisz.

- Moja droga - odezwał się głos marszałka stojącego po drugiej stronie Holroyda - nie wolno ci szeptać do Jego Wysokości.

- Mówiłam mu coś ważnego - wydeła wargi. - Czyż me, księżę Ineznio?

Holroyd przytaknął z uśmiechem. Poczul się nagle znacznie lepiej. Gładka odpowiedź kobiety ucieszyła go. Odkrywał wokół siebie życie, z każdą chwilą bogatsze. Charakter L'onee nie podobał mu się pod wieloma względami, ale przecież próbowała mu pomóc. Starał się uświadomić sobie wszystko, co miało jakieś znaczenie. Powiedziała, że jej prawdziwe ciało jest uwięzione w lochu... Było mu dziwnie trudno wyobrazić sobie taką sytuację. Pomyślał, że oczywiście musi ją uratować. Ale jak i kiedy? Było to równie niejasne jak szczegóły ataku na Nushirvan. Nie wiedział nawet, gdzie jest uwięziona, a ona nie mogła mu powiedzieć.

Prawdę mówiąc, atak na Nushirvan nadal był dość odległy, chociaż niegdyś wydawał się absolutnie niemożliwy. Teraz jednak otwierała się jakaś droga, w bliżej nieokreślonej przyszłości. Być może podobna okazja zdarzy się, jeśli chodzi o ciało L'onee.

- Ptahu! - To znów ona. - Nie wolno ci tu dłużej pozostawać. Widziałeś już wszystko, co ważne. Znasz zasadnicze wady armii, zobaczyłeś też brak dyscypliny wynikający głównie z obecności kochanek w żołnierskich kwaterach - sytuacja zaaranżowana celowo przez boginię, która pragnie za wszelką cenę cię zniszczyć. Teraz, kiedy już poznałeś tę istotną prawdę, nie możesz marnować więcej czasu na oglądanie jednej dwudziestotysięcznej armii, którą należy zmienić. Przysięgam, że liczy się każda godzina, każda minuta. Pamiętaj, Ptahu, moje ciało

leży w lochu ciemniejszym niż ten, w którym tak krótko przebywałaś. Gdyby bogini zorientowała się przypadkiem, że nie ma mnie we własnym ciele, zniszczyłaby je, i to bezzwłocznie. Wówczas tylko ty, dysponując pełnią swojej siły, mógłbyś sprawić, bym na nowo stała się biegunem mocy. Ptahu, dla mojego i twojego dobra chcę zapoznać cię z następną porcją wiedzy, jaką musisz osiąść, by ocalić swoje i moje życie. Pozwól, Ptahu, że zabiorę cię stąd i przeprowadzę przez królestwo ciemności.

Holroyd słuchał jej dotąd niespokojnie, prawie niechętnie, a jednak przyznawał jej rację, że zdążył już się zapoznać z najważniejszymi bolączkami armii i że nie ma sensu zagłębiać się w szczegóły. Teraz popatrzył na nią zdumiony.

- Królestwo ciemności?- powtórzył jak echo. Skinęła niecierpliwie.

- W ten sposób wydostaniemy się z doliny, O tym, co tu odkryłeś, i tak bym ci opowiedziała, nim dzień dobiegłby końca. Posłuchaj, Ptahu, ranek dopiero się rozpoczął, a już znaczną jego część zmarnowałaś na ustalenie dwóch faktów: że armia ma wady i że Ineznio jest rzeczywistą osobą, którą wiernie przypominasz, nawet brzmieniem głosu. O tym wszystkim mogłam powiedzieć ci sama w ciągu dwóch minut Spędź ten poranek ze mną, Ptahu, słuchając tego, co mówię. Ucz się rzeczy, które mam ci przekazać. A potem ruszaj ku swojemu przeznaczeniu na swój własny sposób. Powiedz, Ptahu, że przejdiesz przez królestwo ciemności.

Musisz się zgodzić! Jestem zbyt słaba, by zabrać cię tam siłą; w przeciwnym razie uczyniłabym to natychmiast.

Holroyd zawahał się, poruszony jakby wbrew sobie. Miała rację. Jego największym problemem od chwili przybycia do Gonwonlane był brak informacji. A niechęć do podróżowania z przewodnikiem nie powinna obejmować poranka spędzonego na zadawaniu pytań i wysłuchiwanie odpowiedzi. Być może wcześniej, w dżungli, opuścił L'onee zbyt

pospiesznie. Tuż obok odezwał się marszałek Nand:

- Proszę, książę, zechciej wymienić pododdział, jaki pragniesz ujrzeć w akcji.

Wymienić pododdział! Holroyd uśmiechnął się ponuro. Tak, śmiało, wymień go. Podaj fachową nazwę, by każdy mógł się od razu zorientować, jaki z ciebie specjalista. Obrócił się do kobiety i wyszeptał pospiesznie:

- Przejdę przez królestwo ciemności. Co teraz?

Odpowiedzią była rzeczywistość.

Z początku istniała tylko ciemność- Intensywna, nieprzenikniona. A jednak po chwili już wiedział, że L'onee jest tuż obok. Jego świadomość wyostrzyła się. Cienie, pomyślał. On i kobieta byli jak cienie migoczące nocą.

, Jak daleko?"

Słowa dotarły do jego mózgu, choć były bezdźwięczne i przeznaczone nie dla niego.

Nie potrafił tego zrozumieć, tak jak nie potrafił zrozumieć, jakim cudem wychwycił jej myśl.

Jednak wszystko to było całkiem jasne. Jego umysł odznaczał się nadludzką wrażliwością; teraz, pełen napięcia, czekał na odpowiedź.

A odpowiedź nadeszła z oddali. Wszelka przestrzeń i czas wydały westchnienie, odpowiadając myślą; echa wypełniały bez reszty nieskończenie czarny wir, rozprzestrzeniając się we wszystkich kierunkach szybciej niż podobny cieniowi kształt mężczyzny i kobiety.

„Dalej, niewolniku!"

, Ale już upłynęły długie lata."

„3ędajeszczce dłuższe! Dalej! Dalej!"

Noc czasu pogłębiła się. Wieki rozplynęły się w ciemności i Holroyda ogarnęło straszne uczucie, że wieczność jest tak blisko jak ta otaczająca wszystko noc. Zorientował się, że jakaś część umysłu kobiety ogarnia coraz większe przerażenie. Jego pierwszą myślą było, że jej

świadomość dzieli się na dwie odrębne części. Jedna, ogarnięta daremną furją, starała się wspomóc ciało, by mogło wykonać stojące przed nim zadanie; druga zaś część była niewolnikiem, pozbawionym woli oporu, zależnym od centralnego mózgu gdzieś w dalekiej przestrzeni. Bezświelnymi szlakami wszechświata wstrząsały lęki, które płonęły w zniewolonej części jej umysłu: że wszystko stracone, że sama nadzieja musi umrzeć w tej czarnej nicości. Jej myśl napłynęła silniej, wyraźniej:

„Jak daleko?”

„Dalej, głupcze!”

„Lecz przebyliśmy już sto milionów lat.”

„Dalej, och, znacznie dalej.”

Po chwili ten zniewolony kobiecy umysł stał się spokojniejszy, pewniejszy. I długa noc dobiegła końca.

Było to dziwne, ten sen o nocy. Holroyd trwał na zacienionej krawędzi świadomości, zdumiony dziwnym, wewnętrznym przekonaniem. Co się stało? Starał się odepchnąć od siebie niepokojące poczucie dziwności i odepchnąć tę noc, która go otaczała. Wreszcie otworzył oczy.

Nie leżał na ziemi, jak mu się zdawało. Jego stopy stały twardo na gruncie; ze swojego miejsca widział wiejską dziewczynę Mooreę, odwróconą do niego twarzą. Powędrował spojrzeniem obok niej, potem wokół niej, chłonąc znajomą scenę - salon w domku pośród dżungli, który opuścił kilka godzin wcześniej. Umysł Holroyda poruszyły wspomnienia. Z powrotem tutaj. Przywiodła go z powrotem - przez królestwo ciemności. Ale jak?

- Czy ja śniłem?- spytał tępo.

- To była pamięć - odparła dziewczyna.

Zdawało się to w ogóle nie mieć sensu. Holroyd przyglądał się jej badawczo, ale

dziewczęca twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Jednak po chwili dodała:

- To pamięć o tym, jak Ptaħ po raz pierwszy został przywieziony do Gonwonlane.

Tylko za twym pozwoleniem i podczas tej podróży mogłam ci pokazać, co się stało. Przyznasz, że warto było tego doświadczyć.

Holroyd wciąż stał nieruchomo, odtwarzając co chwila ten obraz... to wspomnienie w swoim umyśle.

- Ale ty tam byłaś! - rzekł w końcu i przez chwilę był przekonany, że znalazł jakąś fatalną skazę w całej tej historii. - Prawdę mówiąc, to ty mnie prowadziłaś.

Zamilkł, przypominając sobie, jak część jej umysłu została zniewolona, a druga buntowała się gniewnie przeciwko rozkazom odległego głosu władcy. Usłyszał cichy głos dziewczyny:

- Tak, byłam tam, ale nie z własnej woli. Być może masz teraz pojęcie o mocy, która ci się opiera.

Holroyd skinął głową i poczuł, jak pełźnie mu po ciele powolny, nieprzyjemny dreszcz.

Jej wyjaśnienie pasowało do tego, czego właśnie doświadczył, ale nie mógł go zaakceptować.

Kobieta, owa istota z przestrzeni, która rozkazywała. Bogini Ineznia! Nie pozbył się jej.

Już nie była tylko imieniem, była rzeczywistością. Po raz pierwszy Holroyd zdał sobie sprawę, że walczy o życie.

Zbliżył się ostrożnie do podwyższenia, z którego wystawała laska modlitewna. Sięgając po nią, spojrział pytającym wzrokiem na dziewczynę, po czym wyciągnął dłoń. Skinęła głową i podeszła bliżej. Jej szybka reakcja sprawiła, że Holroyd uśmiechnął się zażenowany. Chyba powinien przeprosić za to, że tak nagle uciekł -akurat wtedy, gdy pragnęła, za sprawą tejże laski, pokazać mu źródło boskiej mocy. Postanowił jednak, że nie przeprosi, gdyż postąpił słusznie. Biorąc pod uwagę okoliczności, niewiedzę, niezwykłość otoczenia, było rzeczą

rozumiała, że nie chciał zaufać nieznajomej. Ryzyko wciąż istniało, ale teraz wydawało się bardziej odległe, bo zachowanie dziewczyny jakby potwierdzało jej dobrą wolę. Stojąc u jego boku, powiedziała:

- Laska modlitewna jest ważna, ale najpierw chciałabym ci przedstawić pokrótce skomplikowane zadania, które są nieodzownym warunkiem twojego istnienia w Gonwonlane. Zastanawiałeś się pewnie, dlaczego podbój Nushirvanu jest tak ważny. Chodzi o Tron Władzy. Znajdował się początkowo w pałacu-cytadeli, ale -zapamiętaj to dobrze - został przeniesiony, a to dlatego, że w chwili, gdy na nim zasiądziesz, odzyskasz całą władzę. Przeniosła go bogini Ineznia na kapitel Nushira z Nushirvanu, za pozwoleniem samego Nushira. Ona wierzy, że potrafi cię zniszczyć, zanim zdołasz do niego dotrzeć. Posłuchaj, Ptahu, jestem absolutnie przekonana, że tylko dzięki inwazji, wykorzystując największą, najpotężniejszą armię, jaką kiedykolwiek zgromadzono, masz szansę dotrzeć do tego tajemniczego, nie nazwanego kapitelu Nushira i zdobyć boski tron Ptaha. - Dziewczyna zamilkła, jakby chciała przydać

swoim

słowom

mocy,

po

czym

ciągnęła

z

najwyższą

powagą:

-Nadszedł zatem czas na najniebezpieczniejsze działanie. Za wszelką cenę musimy przejąć inicjatywę; jak tylko objaśnię ci znaczenie laski modlitewnej, powiem, co według mnie

powinieniś uczynić w następnej kolejności. A teraz weź mnie za rękę.

Holroyd ujął ostrożnie jej dłoń. Była ciepła, niemal boleśnie żywa, jakby kryjąca się w niej siła witalna rozpalala płomień, elektryczny, wibrujący płomień. Pojawiła się myśl: jak niezwykłym doznaniem byłby pocałunek z taką kobietą! Spojrzał przenikliwym wzrokiem na dziewczynę. Czyżby ta ulotna sugestia spłynęła z jej umysłu do ręki, której dotykał?

Zdecydował, że nie. Sam był bez wątpienia zdolny do takiej myśli. Obserwował z powagą, jak dziewczyna sięga drugą dłonią po laskę modlitewną. W chwili gdy jej palce już, już miały dotknąć laski, wstrzymała się i odwróciła.

- Chciałabym ci jeszcze raz dobitnie uświadomić, że przypominasz Księcia bieżnio nawet brzmieniem głosu.

- A co to ma wspólnego z... - spytał Holroyd i urwał. W tej chwili palce dziewczyny ścisnęły mocno fioletowo zabarwiony metal. Pierwsza fala musiała natychmiast popłynąć przez drugą dłoń, trzymającą jego rękę. Zdawało mu się, że dotyka przewodu pod napięciem. Zwijał się w milczącej agonii, próbując się uwolnić. Ale jego wysiłki pozbawione były mocy.

Miał dość czasu, by uświadomić sobie, że znów padł ofiarą podstępu.

Wspinaczka na Klifie

Z podłogi pałacowego lochu, gdzie leżała skulona, L'onee wciąż widziała boginię mężnie. Pograżona w półcieniu, usadowiona na wielkim tronie, który specjalnie kazała przynieść tu przed wieloma dniami, niewielka, kształtna postać Inezni trwała w bezruchu. Złote włosy, przypominające koronę, połyskiwały lekko. Tkwiła tak z opuszczoną głową, z bezwładnie zwisającymi ramionami -jej esencja z pewnością przebywała daleko od ciała. Gdy L'onee obserwowała tę nieruchomą postać, poczuła wzrastające napięcie, jakby z niezmiernie nocy napłynął powiew obdarzonego mądrością wichru. Było coraz silniejsze. Pomieszczenie wypełniło się mocą. Płomienie, dotychczas nikłe, rozbłysły silniej, oświetlając męskie ciało, które spadło z cichym plaśnięciem na kamienną posadzkę. W tym samym momencie złotowłosa bogini na tronie drgnęła. Otworzyła oczy i wybuchnęła śmiechem. Śmiech był dźwięczny, niczym muzyka. Ineznia zsunęła się z tronu i stanęła nad ciemnowłosą kobietą. Jej głos płonął triumfem.

- Och, słodka L'onee, mój plan działa. On sądzi, że jestem tobą, i już dał się przeprowadzić przez królestwo ciemności, Tym samym najniebezpieczniejsze z pomniejszych zaklęć - konieczność pokazania mu, jak Ptaħ został przeniesiony ze świata Holroyda do Gonwonlane - zostało unieważnione. Poczł też strumień mocy z laski modlitewnej, nie tak jak Ptaħ początkowo zakładał, bezpośrednio, ale przez moje ciało, pozbawiony dwóch elementów energii, których celem było poruszenie jego pamięci. - Znów zabrzmiał jej melodyjny śmiech, by przygasnąć po chwili, gdy zaczęła mówić: - Zamierzam utrzymać go w tym umysłowym pomieszaniu przynajmniej do chwili, gdy trzy kolejne zaklęcia zostaną unieważnione. Potem już będzie to bez znaczenia. Istnieje kilka sposobów, by zmusić go do anulowania szóstego zaklęcia, pomijając atak na Nushirvan. Co się tyczy siódmego, jeśli uda mi się kiedykolwiek położyć ręce na tronie, nie sądzę, by Ptaħ zdołał na nim zasiąść. Prawie zapomniałam, droga

L'onee - dodała na koniec. - Dołączyłam twoje imię do długiej listy ludzi przeznaczonych na egzekucję, którą to listę Ptah ma podpisać. Nie spodziewam się, by to uczynił. Lista ma inny cel - dostarczyć jeszcze jednego powodu, dla którego uzna atak na Nushirvan za niezbędny.

L'onee przyglądała się swojej prześladowczyni z ciekawością. Dziecięcą twarz Inezni wykrzywił grymas triumfu. Oczy były szeroko otwarte, wargi lekko rozchylone, jednak na twarzy malowała się czujność, siła i sprawność. Dwa zaklęcia zniknęły, pomyślała L'onee ze znużeniem. Dwa z siedmiu unieważnione. Mogła sobie wyobrazić, jak umiejętnie zostało to zrobione. Ineznia, występująca jako L'onee, zdobywająca zaufanie Ptaha, przełamuje jedno po drugim zaklęcia, które chronią go przed śmiercią. Starła się zabarwić głos typową dla niej nutą ironii:

- A więc udawałaś mnie. Biedna Ineznia! Jak trudna musiała być dla ciebie ta rola! Czy kochał się już z tobą, droga Ineznio? Czy przełamowałaś i to zaklęcie Ptaha?

Złotowłosa kobieta potrząsnęła przeczącą głową.

- Nie muszę ukrywać przed tobą chwilowego niepowodzenia. Ten głupiec jest głęboko moralny.

- Ale taki zawsze był Ptah, pamiętasz? - Głos L'onee był teraz zabarwiony nutką złości. - Nie zamierzał akceptować twojego zwyczaju wkradania się w ciała innych kobiet.

Dostrzegła, że udało jej się rozpaść w przeciwnicze ogień gniewu. Ineznia dyszała ciężko. Oczy połyskiwały niebieskim płomieniem. Po chwili wybuchnęła śmiechem, jasnym, zimnym śmiechem.

- Chyba czegoś nie rozumiesz, L'onee - sprowadziłam Ptaha tutaj, do Gonwonlane, o całe wieki wcześniej, niż powinien się zjawić. Co więcej, rządzi nim ludzki umysł, umysł bez wątplenia silny, który jednak nie zdoła dostosować się do Gonwonlane na tyle szybko, by

zakłócić moje plany. Ptah obudzi się jutro, sądząc, że uważam go za swojego kochanka, Księcia Ineznio, i że nie kto inny jak ty dokonałaś owego podstawienia, by ukazać mu nieodzowność ataku na Nushirvan. Niezbyt długo będzie opierał się siłom psychicznym, jakie przeciwko niemu uruchomię. Co się tyczy drugiego zaklęcia, konieczności uznania moich praw poprzez akt miłosny ze mną... - urwała. Rozległ się znów jej wibrujący, zarozumiały śmiech, pełen żarliwej determinacji. - Czy sądzisz, że zdoła mi się oprzeć, kiedy będziemy sami w mojej komnacie? Uzna, że podczas pobytu w pałacu jego jedyną nadzieją jest udawanie Księcia Ineznio. Zaczynasz może wreszcie rozumieć, dlaczego przez te wszystkie lata rozpieszczałam tego głupca Ineznio, posuwając się nawet do tego, że zezwoliłam mu na posługiwanie się męską odmianą mojego imienia. Jego podobieństwo do wiecznie odradzającego się ciała Ptaha dowodzi, że warto było tak uczynić. Muszę teraz odejść, L'onee. Zabieram go do komnaty Księcia Ineznio, gdzie jutro rano odzyska świadomość. Chciałam, by nastąpiło to wcześniej, lecz naruszyłam strukturę czasu i teraz muszę przywrócić równowagę.

Gdy się odwróciła, otwarły się kamienne drzwi i do lochu weszło czterech ludzi.

Uklękli i podnieśli ciało Holroyda. Bogini ruszyła za nimi do wyjścia, ale przystanęła i odwróciła się.

- Chcę cię ostrzec - rzekła cicho. - Musiałam posłużyć się tobą jako biegunem mocy, a zatem dlatego, po raz pierwszy od wieków, dysponujesz pewnym jej zasobem. Nie opuszczaj swojego ciała. Będę tu wracać od czasu do czasu i jeśli zauważę, że jesteś nieobecna, zniszczę twoją doczesną powłokę. Nie muszę ci mówić, jak fatalne miałyby to dla ciebie skutki. Byłabyś wówczas zależna od tej resztki mocy, jaka ci pozostała, a ta zanikałaby stopniowo. W końcu nie miałabyś dość siły, by opuścić ciało, w które zdołałaś wejść, i umarłabyś wraz z nim po długim okresie bolesnej agonii. Wiedz również, że od razu się zorientuję, gdy tylko wejdziesz w ciało jakiegokolwiek osoby w pałacu - a zatem postępuj rozsądnie. I jeszcze jedno! - Uśmiech na

twarży Inezni był zastanawiające szczery. - Wiem, iż żywisz nieśmiałą nadzieję, że Ptaħ tak obmyślił swoje zaklęcia, by zastawić na mnie pułapkę. Jeśli odkryję przez ten czas choć jedną - a zapewniam, że dokonam tego bez trudu - natychmiast zniszczę obecne ciało Ptaħa i spróbuję dokonać wszystkiego od nowa w jego następnym wcieleniu. Lecz nie przegram. Będę jedyną i wieczną władczynią Gonwonlane. Pozostawiam cię teraz z tą miłą myślą.

Tym razem zniknęła w drzwiach. Loch pogrążył się natychmiast w ciemności.

Ciemnowłosa kobieta długo leżała w otępieniu, świadoma jedynie wilgotnej posadzki i lodowatego ciężaru łańcuchów. W końcu pojawiła się myśl: bieżnia, chełpliwa i głupia kobieta! A zatem Ptaħ jest teraz w komnacie Księcia bieżnio. Tak, masz rację, Inezni. Mam w końcu tę odrobinę mocy. Dostatecznie dużo, by go zabić, a tym samym umożliwić mu ponowne narodziny.

Było jej trudno opuścić ciało, trudniej niż się spodziewała. Wysilek, by utrzymać tę ludzką postać przy życiu, był niemal zbyt wielki jak na skromne zasoby jej mocy. W lochu panował chłód. Trzeba było walczyć o każdą minutę życia, o każdą cząstkę ciepła. Ale oto była na zewnątrz, świadoma tego ciała, leżącego pod nią w nieprzeniknionej czerni. Albowiem nie istniały w tym bezcielesnym stanie normalne zmysły, nie było wzroku, słuchu, dotyku, a jedynie owa doskonała, nieruchoma, lecz elastyczna siła, która stanowiła sam rdzeń jej esencji. Był czas, dawno temu, gdy mogła kontrolować swoje ciało ze znacznej odległości, kiedy w nim nie przebywała. Lecz siła, która to umożliwiała, opuściła ją przed wiekami.

Przeniknięcie przez ściany było dość łatwe. Znała sposób. Jakże często, w dalekiej przeszłości, szybowała w dół owego urwiska, ku dalekiej wodzie i wirowi, który ciskał samobójców i nieszczęsnych topielców, niczym szczątki drewna, na skaliste wybrzeże, by w czasie przyływu znów wynieść je w morze.

Teraz powoli! Wyczuwała wodę blisko j mocno. Zbyt mocno. Musiała zapuścić się za

daleko. W końcu dotarła do linii brzegu -z jednej strony napierała na nią woda, z drugiej spokojniejszy ląd. Dwukrotnie pojawiło się poczucie czegoś odmiennego, ale za każdym razem tak słabe, że musiało nie mieć znaczenia.

I wtedy znalazła swoje ciało.. Trudno było powiedzieć, od jak dawna dziewczyna jest martwa, lecz aura życia ulatniająca się z jej komórek była wciąż silna, niemal twarda w porównaniu z łagodnym ciśnieniem morza i lądu. L'onee unosiła się, niewidoczna, a po chwili była już wewnątrz, jej esencja rozprzestrzeniała się po martwych nerwach. Ciało jakby owijało się wokół niej, opierając się życiu całą siłą bezwładnego mechanizmu. Przypominało to poruszanie się w lotnych piaskach. Śmierć dla ludzkich istot była czymś tak ostatecznym, tak skończonym.

Jak długo leżała w tej beczasowej nocy - nie umiała powiedzieć. Nie było czasu, nie było niczego, tylko to biedne, zniszczone ciało i niepokój śmierci.

Świadomość życia pojawiła się najpierw w cichym pulsowaniu wody, uderzającej mrukliwie o skaliste wybrzeże. Potem dało o sobie znać lekkie łaskotanie, które mogło być bólem; nie dopuszczała go jednak do swoich zmysłów i czekała. Z wolna zaczęła odczuwać na nowym ciele dotyk żwiru, kamieni i piasku. Potem przyszła kolej na ruch; nogi poddały się długotrwałemu naciskowi mięśni, ramiona zgięły się, bezruch śmierci zniknął pod naporem normalnych funkcji ciała.

Na koniec wydała westchnienie. Ujrzała noc, zniekształcony fragment zachmurzonego nieba i wyniosłe urwisko. Jej ciało spoczywało na występie skalnym, między klifem a falującą otchłanią morza, po drugiej zaś stronie zatoki widniało miasto pełne świateł. Stłumiła w sobie nostalgię, jaką wywołał ten widok, i zmusiła swoje odporne kończyny do działania. Stała przez chwilę na chwiejnych nogach, przygarbiona, pod urwiskiem, które majaczyło nad nią przyniatająco. Pojawiła się myśl, że ludzkie mięśnie nie zdołają pokonać tak niezmiernie stromeego

zbocza.

Lecz nie można było się cofnąć. Musiała zabić, by ocalić. Znalazła broń, którą schowała podczas tych sporadycznych, melancholijnych wypraw, kiedy to zmęczona pobyt w lochu spacerowała wzdłuż tego skalistego wybrzeża, gdzie tak wielu utopionych ludzi zatrzymywało się na bezsensowny wypoczynek, nim na zawsze porwało ich odwieczne morze. Jakże odległy wydawał jej się teraz tamten ostatni spacer!

Wzięła broń i zaczęła się wspinać. Noc wlokła się mozolnie. Chmury sunęły nad morzem ku północnemu zachodowi. Przez moment, gdy zmagła się z gigantycznym urwiskiem, świeciły na nią z góry gwiazdy. Zawirował szaleńczo nagły wiatr. Napłynęły w pędzie chmury, teraz czarniejsze, jakby udały się wcześniej do źródeł deszczu tylko w jednym celu - by powrócić i dręczyć L'onee. Spadła rześista ulewa. Obmywała jej twarz, dotykała odrażająco mokrymi, lodowatymi mackami rąk i ciała. Kiedy wreszcie deszcz ustał, świt, który wynurzył się zza zasłony chmur, trwał już od dłuższego czasu.

Słońce weszło w płomieniu czerwieni nad mglistym horyzontem. Rozciągała się teraz pod nią rozległa przestrzeń, ale w górze wciąż widać było niewyobrażalnie wysokie zbocze, nie do zdobycia, wymagające jeszcze więcej siły, jeszcze więcej uporu od jej zmęczonego ciała. Śmierć człowieka - jej jedyna nadzieja - wydawała się naprawdę odległa.

Pałac- cytadela

Holroyd nie miał poczucia upływającego czasu. W jednej chwili zmagął się z energią, która przepływała z przerażającą gwałtownością przez jego ciało wprost z rąk dziewczyny; w sekundę później uświadomił sobie, że leży na podłodze dziwnego, oświetlonego słonecznymi promieniami pokoju.

Był długi na co najmniej siedemdziesiąt metrów, a szeroki na trzydzieści, lecz po chwili Holroyd przestał zauważać jego rozmiary. Pozostało jedynie ogólne wrażenie wspaniałości i splendoru. Emanowały nim również umieszczone w rozległym łuku sklepienia okna, przez które sączył się blask słońca.

Meble, rzucające wokół blask, wykonane były z palisandru, a kształtem przypominały płomienie - krzesła, skórzane kanapy i sofy o pięknie tkanym, starannie dobranym obiciu.

Wyłożone kasetonami ściany połyskiwały miękkim błękitem jakiegoś zdumiewająco cennego drewna. Na drugim końcu niezwykłego pokoju widniał szereg drzwi, niczym klejnoty wkomponowanych w układ witraży. Sączył się przez nie blask słoneczny, a za szybami ukazywała się oczom patrzącego iluzja drzew - iluzja, gdyż przy takiej odległości nawet najbardziej przezroczyste fragmenty szkła nie pozwalały zobaczyć dokładnie, co się za nimi znajduje.

Zafascynowany Holroyd najpierw usiadł, po czym z wolna odchylił się do tyłu, oszołomiony widokiem, jaki wraz ze zmianą pozycji pojawił się w jego polu widzenia. Zbliżała się do niego najdoskonalsza postać - złotowłosa, młoda kobieta. Podobnie jak wcześniej nie miał czasu obejrzeć dokładnie pokoju, tak i teraz tylko przelotnie uchwycił obraz jej intensywnie niebieskich oczu i zgrabnego ciała w obcisłej, śnieżnobiałej szacie; po chwili dotarł do niego głos, słodki, żarliwy i niespokojny:

- Ineznio! Co się stało? Upadłeś jak ogłuszony will.

Przystanąła, a Holroyd zyskał chwilą, by skupić umysł na jednej rzeczy z całej serii ostatnich wydarzeń. Ineznio! Przywarł myślą do tego imienia. Pomyślał z bólem: „Umieściła mnie w pałacu, podstawiała zamiast Księcia Ineznio”.

Powróciło wspomnienie słów L'onee - nadszedł czas na niebezpieczne działanie. Gdy tylko to pojął, buchnął w nim płomień odwagi. Czuł się jeszcze przez chwilę nieco oszołomiony, ale zaraz powróciła pewność siebie.

- Potknąłem się. Przepraszam - odparł.

Wstał. Pomogły mu miękkie, białe dłonie młodej kobiety. Była silna. Niczym tygryska, pomyślał Holroyd, patrząc jak oddala się w stronę drzwi, lecz nie tych szklanych, tylko nieprzezroczystych, normalnych. Stała w progu, na tle marmurowego holu za plecami, po czym rzekła:

- Dziś rano Benar przyniesie ci listę przeznaczonych do egzekucji. Mam nadzieję, że jesteś już gotów ją podpisać. - Jej niebieskie oczy płonęły. - Jest moją wolą, byśmy położyli kres działaniu tych tak zwanych patriotów, którym przyświeca tylko jeden cel: zmusić Gonwonlane do wojny z Nushirvanem, a później z Akkadistranem. Wrócę tu, by jeszcze o tym podyskutować.

Odeszła. Kiedy drzwi się zamknęły, Holroyd uniósł dłoń, jakby mógł tym gestem przywołać ją z powrotem albo wyczarować sens wypowiedzianych przez nią słów - „lista przeznaczonych do egzekucji”. Upłynęła długa chwila, a w jego umyśle nadal panowała pustka. L'onee ulokowała go w pałacu, podstawiała w najbardziej niebezpieczny sposób na miejsce Księcia Ineznio. Dlaczego? By zapobiec egzekucjom? Albo żeby przekonał się po prostu, jak istotne są sprawy życia i śmierci, umieszczone na szalach wagi? Tylko jedno wydawało się jasne. Tu, w pałacu, był zdany wyłącznie na samego siebie.

Holroyd przemierzał tam i z powrotem wyłożoną dywanem podłogę. W końcu pojął z całą wyrazistością, że należy wszystko pozornie akceptować. Musi dowiedzieć się jak najwięcej o sytuacji, zanim opracuje plan dalszego działania. Zawędrował pod drzwi na końcu pokoju i popatrzył przez nie. Różnobarwne szkło łagodziło mocny blask słońca, zalewający barwny od kwiatów taras, a dalej drzewa, trawę i krzewy. Jeszcze dalej widniał mglisty zarys miasta.

Holroyd otworzył drzwi na oścież i wyszedł na zewnątrz. Taras owiewała bryza; muskała mu policzki i niosła ze sobą zapach kwitnącego ogrodu. Wyczuwało się również silną woń słonej wody. Ale to głównie miasto przyciągało jego wzrok. Fragment, który miał przed oczami, przylegał do wybrzeża błękitnozielonego oceanu; cały obraz migotał, jak scena oglądana przez ruchomy, zawity deseń, niczym elementy układanki przebłykujące zza zielonego listowia drzew. Nie wahał się ani chwili dłużej; pokonał w pośpiechu taras i zbiegł szerokimi schodami na trawnik, po czym ruszył porośniętym mchem brzegiem strumyka, który wypływał spod ziemi i płynął szybkim nurtem pod sklepieniem drzew.

Holroyd stwierdził nagle, że strumień się skończył, przystanął więc gwałtownie. Woda po prostu zaszemrała, przebiegła nad skalnym występem i zniknęła. Ruszył ostrożnie przed siebie, brnąc przez gęste poszycie. Natrafił na ogrodową ścieżkę, wyłożoną tymi samymi płytami co taras, potem na kamienny murek wysokości około metra i wreszcie przepaść.

Zaczynała się tuż za owym murkiem i biegła w dół, w dół, w dół. Holroyd widział strugę wody, spadającą kaskadami w tę zdumiewającą otchłań, liczącą co najmniej osiemset metrów. Trudno było sobie wyobrazić bardziej odpowiednią nazwę dla takiej przepaści - Wielki Klif. Na samym jej dnie majaczył postrzępiony przez skały język morza. Owa zatoka nigdy nie mogłaby pełnić roli portu; nawet z tak dużej odległości docierał do niego ogłuszający grzmot wściekłej kipieli. Woda pędziła od strony oceanu spienionymi masami i wciskając się

między dwa skalne przylądki tworzyła zatokę, szeroką na półtora kilometra, dalej na trzy, na pięć, a na przeciwległym brzegu zaczynało się miasto.

Morze i urwisko obejmujące jego spienioną furię zajmowały już swoje miejsce w zawiłym deseni wrażeń, który począł formować się w jego umyśle. Jednak przez chwilę istniało tylko miasto. Było białe, niebieskie, zielone, czerwone, żółte i nieskończenie wielobarwne. Świeciło niczym klejnot rozszczepiający promienie słońca, tyle że w niczym nie przypominało niewielkiego kamienia. Stanowiło rozległą panoramę kopulek, kopuł i wież, rysujących się niewyraźnie na tle odległego horyzontu. Wyginało się wzdłuż błękitnego, potężnego rozlewiska, którego maleńką namiastką była nieujarzmiona zatoka. Dalej widać było zarys lasu; gdzieś tam musiała stać owa chatka w dżungli, z której Holroyd został wyniesiony w przestrzeń. Roześmiał się cicho. Będzie musiał uważać na tę kobietę, L'onee. Już dwukrotnie zwabiła go w niebezpieczne miejsca.

W kamień, tuż obok niego, uderzyła strzała. Utrzymała się przez chwilę w pozycji pionowej, niczym żywa istota, po czym zaczęła spadać powoli, nabierając stopniowo szybkości, z powrotem w otchłań, z której nadleciała. Holroyd patrzył w ślad za nią. Potrząsnął zdumiony głową; i wtedy kątem oka dostrzegł jakąś postać na niewielkim występie skalnym z lewej strony, jakieś siedemnaście metrów niżej. Uskoczył - i w tym momencie druga strzała przeszła powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa. Zatoczył się do tyłu, zdążył jednak dostrzec wysoką, szczupłą sylwetkę młodej kobiety.

Holroyd poczuł, jak wraz z pierwszym zdumieniem mija strach. Wychylił się ostrożnie za kamienny murek i zobaczył, że kobieta przywiera niepewnie do ciemnych korzeni, wijących się po pionowej ścianie. Łuk, który tak bezlitośnie miotał w niego strzały, teraz był przewieszony przez chude ramię. Kobieta miała też skórzany pas i zatknięty zań miecz w pochwie. Patrzył, jak jej palce szukały nowego oparcia - robiła to z takim skupieniem, pod

groźbą tak straszliwego upadku, że Holroyd instynktownie napinał mięśnie i podciągał się wraz z nią.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - zawołał.

Odpowiedzią było skrobanie po skale i ciężki oddech - kobieta krok po kroku pięła się ku niemu. Holroyd poczuł się nagle samotny. Ogarnęło go nieprzyjemne poczucie wyizolowania, jakby sam jeden występował przeciwko całemu światu. Miasto po drugiej stronie mrocznej, spienionej zatoki wydawało się odległe i obce. Zerknął odruchowo ku pałacowi. Biały, długi i niski budynek migotał zza zielonej bujności ogrodu. Nigdzie nie widać było najmniejszego nawet ruchu. Nie docierał stamtąd żaden dźwięk, choćby najmniejsze drgnienie życia. Niczym starożytny, martwy zabytek z jakiejś zapomnianej epoki, stał wysoko ponad niespokojnym morzem. Wiekowy i martwy. I tylko on, Holroyd, i ta kobieta, która chciała go zabić, byli prawdziwi i żywi.

Zobaczył, że kobieta odpoczywa, oplatając dłonią gruby korzeń. Spojrzała w górę; jej wykrzywiona twarz, oddalona od niego o niecałe sześć metrów, wyglądała tak przerażająco, że Holroyd cofnął się odruchowo. Kobieta zawołała do niego chrapliwym głosem:

- Nie przejmuj się moim wyglądem. To przez tę długą wspinaczkę. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny. Nie poznałam cię. Sądziłam, że zauważył mnie jakiś strażnik.

Holroyd uśmiechnął się lekko. Nieśmiertelny Ptah nie musiał martwić się strzałami.

Chodziło o to, by się dowiedzieć, dlaczego ta kobieta chciała zabić Księcia Ineznio i dlaczego uważała, że przeprosiny coś zmienią. Patrzył, jak podąża ku niemu z wysiłkiem. Gdy dzieliły ją od niego trzy metry, ujrzał brudną, obszarpaną, załosną istotę. Rzadkie włosy miała pozlepiane błotem, a szare spodenki i bluzę poplamione szlamem i wodą ze spienionego morza pod jej stopami. Wyglądała, jakby była u kresu fizycznej wytrzymałości. Holroyd zmarszczył czoło. Co miał z nią zrobić? Nie mógł ryzykować i dopuścić do tego, by znowu do niego strzeliła.

Ciało Ptaha było może odporne, ale mimo wszystko odczuwało ból. Kiedy kobieta dotarła do występu tuż pod kamiennym murkiem, powiedział cicho:

- Lepiej rzuć łuk, strzały i miecz w dół urwiska. Nie pozwolę, byś weszła tu uzbrojona.

Dla własnego dobra uczyn to szybko, a wtedy ci pomogę.

Kobieta potrząsnęła głową. Odezwała się z pasją:

- Nie pozbędę się miecza. Raczej rzucę się w przepaść, niż trafię żywa w ręce pałacowej policji. Oddam ci łuk i strzały, tym sposobem będziesz mógł trzymać mnie na dystans. Ale miecz zatrzymam.

Nie potrafił przełamać jej uporu. Wyjął z drżącej kobiecej dłoni łuk i strzały, i po minucie zmagania wciągnął ją na górę. Osunęła się na kamienny murek, ale był to tylko podstęp, który pozwolił jej sięgnąć ukradkiem po miecz, a potem rzucić się na niego z nienacka. Żadne zwierzenie mogło jej dorównać szybkością ani przebiegłością.

Holroyd odskoczył do tyłu, upuszczając łuk i kołczan. Chwyciła je i cisnęła przez ramię w stronę urwiska. Broń zniknęła w otchłani. Po chwili znów go zaatakowała. Kościste ciało wygięło się, gdy pchnęła mieczem. Jego ostrze o włos minęło Holroyda, który wykonał błyskawiczny unik. Lepiej już panował nad stopami, lecz, o dziwo, ona była szybsza od niego. Ominęła jego zręczne palce niemal odruchowo. Chybiłaby i tym razem, ale Holroyd uświadomił sobie niepokojący fakt: jej miecz był wykonany z błyszczącego drewna. Ż drewna! Myśl, że broń nie jest zrobiona ze stali, spowolniła jego ruchy. Drewniany czubek trafił go w pierś po prawej stronie. Ból nie miał znaczenia. Za sprawą instynktu, a nie świadomego działania, Holroyd chwycił za ostrze. Złapał je pośrodku, między rękojeścią a szpicem, i jednym szarpnięciem wyrwał z dłoni kobiety, która wpatrywała się dzikim wzrokiem w swoją broń.

- Magiczny kij nie zrobi ci krzywdy - wymamrotała.

- Magiczne co?! - zawołał Holroyd. Po chwili uświadomił sobie, co miała aa myśli.

Ostrze miecza, ożywione jakąś wewnętrzną energią, łaskotało go w palce, wibrując niczym kamerton. Początkowo ogrzewało, potem aż paliło mu dłoń swoim pulsowaniem. Podobnie, tyle że słabiej, odbierał dotyk ręki L'onee, gdy ścisnęła laskę modlitewną. Holroyd upuścił miecz, jakby to był rozżarzony węgiel. Zanim zdołał odzyskać równowagę, kobieta podniosła broń z ziemi i cisnęła w przepaść. Odwróciła się gwałtownie do Holroyda.

- Słuchaj uważnie. Kij powinien był cię zabić, jednak tak się nie stało. Prawdopodobnie dlatego, że gdzieś tam są kobiety -machnęła ręką ku dalekiemu horyzontowi, na południu i wschodzie -które modlą się do swoich lasek. Jest ich załóżnie mało - mówiła dalej poważnym tonem - ale tak dużo czasu upłynęło od chwili, gdy kobietom zabroniono się modlić, że można żywić pewną nadzieję. Musisz, Ptahu, pomyśleć o tym. Musisz...

- Ptah! - zawołał Holroyd. Aż do tej chwili był absolutnie przekonany, że ta kobieta uważała go za księcia Ineznio. Zastanawiał się cały czas, jak Ineznio powinien odbierać jej słowa.

Ktoś obcy poznał zatem jego sekret- i nagle wydało się to przerażające. Był tak zszokowany, że nie potrafił nawet o tym myśleć. Wpatrywał się tępo w kobietę. Wyraz jego twarzy musiał być dziwny, gdyż powiedziała szybko:

- Nie bądź głupcem. To, że mnie zabijesz, nic ci nie da. Weź się w garść i posłuchaj: może zdołam ci pomóc. Nie tutaj, nie teraz. Muszę opuścić pałac, więc jeśli zechcesz dać mi rozkaz wejścia do zagrody dla skrierów... - urwała, by po chwili dokończyć: -Blankiety rozkazów znajdują się w twoim apartamencie. Wystarczy, że udasz się za mną.

Holroyd zrobił tak, jak chciała - poszedł za nią do pałacu. Miał wrażenie, że to sen - ta kobieta, która go znała, która próbowała go zabić i która teraz, zupełnie niewzruszona, całkiem słusznie zakładała, że bez słowa protestu pozwoli jej odejść.

Patrzył z powagą, jak kobieta wślizguje się zwinnie do najbliższego pokoju. Ukazała się po chwili, niosąc sztywną kartkę papieru z wytłaczanym tekstem, dziwaczne, długie pióro o szklanym czubku i zmatowiały metalowy pierścień.

- Lepiej wsuń go na palec - doradziła, wyciągając ku niemu pierścień. - To wielka pieczęć Księcia Ineznio, da ci władzę, która ustępuje jedynie władzy samej Inezni.

Holroyd stłumił nieodpartą chęć zaprzeczenia, chęć przekonania tej kobiety, że on, Holroyd, ponad wszelką wątpliwość nie jest Ineznio. Było zbyt późno na wyjaśnienia. Wziął od niej pierścień. Nie uszedł jego uwadze fakt, że mówiąc o bogini użyła jej imienia. Kim ona jest?

- pomyślał. Nie L'onee. Jej osobowość była zbyt ludzka, a to, co robiła, stało w sprzeczności z normalnym porządkiem rzeczy.

Kobieta skończyła pisać.

- Przyciśnij tu pierścień - nakazała cicho.

Holroyd posłuchał bez słowa sprzeciwu. Myślał o grożącym mu niebezpieczeństwie, o kobiecie, która znała jego sekret. Byłby milion razy bezpieczniejszy, gdyby ktoś zabrał ją stąd i zrzucił z urwiska. Jednego był pewien - nie mógł pozwolić jej odejść, nie dowiedziawszy się wpierw, kim jest i jaki cel jej przyświeca. Podniósł dokument, trzymając go z dala od jej wyciągniętej dłoni. Już otworzył usta, by zadać pierwsze pytanie, gdy zapukano gwałtownie do drzwi prowadzących na korytarz.

Holroyd, odwracając się z przestachem, poczuł, że kobieta wrywa mu papier z dłoni.

Zwrócił się ku niej gwałtownie, wyciągając rękę po dokument, ale ona już biegła szybko w stronę innych drzwi. Otworzyła je na oścież. Holroyd dostrzegł marmurowy korytarz; kobieta przystanęła i odwróciła się. Tkwiła nieruchomo w miejscu - wysoka, chuda, niezgrabna postać o nagich, zabłoconych nogach, odziana w postrzępione spodnie i koszulę.

- Przykro mi, Ptahu, że mogę zdradzić ci tak niewiele. Moje wargi są zapieczętowane

tak mocno, że... że... - było jej trudno mówić, zaczęła się dławić. Kiedy odzyskała głos, słysząc w nim było niewątpliwą szczerą. -Ptahu, ona jest bardziej niebezpieczna, niż mogłyby na to wskazywać jej obecne działania czy słowa. Uważaj! Kimkolwiek jesteś, Ptahu, bez względu na twoją obecną tożsamość, jeśli możesz odzyskać pełnię boskiej mocy Ptaha, to będzie ona już zawsze należała do ciebie. I będziesz mógł posłużyć się nią, jak zechcesz. Z wszelkich rzeczy, jakie powinieneś uczynić, najpierw musisz odzyskać tę moc. Nie myśl o niczym... -Znów straciła głos. Potrząsnęła głową, spróbowała ponownie i uśmiechnęła się słabo. - Sam widzisz, że na niewiele ci się tu przydam - zakończyła. - Powodzenia, Ptahu.

Zamknęła za sobą drzwi. Holroyd znów posłyszał pukanie. Zaczął się niecierpliwić, ale po chwili uświadomił sobie, że to drobnostka, że nie jest ważne, kto dobija się do drzwi. Był Ptahem. Po raz pierwszy odkąd znalazł się w pałacu, właściwie po raz pierwszy w ogóle, dotarło do niego, że Holroyd był Ptahem. Każde zwycięstwo, odniesione przez Ptaha, było jego zwycięstwem. Musi zwyciężyć. Na myśl o własnym niewyobrażalnym przeznaczeniu wstrząsnął nim nagły dreszcz. Znów rozległo się pukanie i myśli się rozwiały. Wzruszył ramionami.

- Wejść - nakazał.

Do pokoju wkroczyła zwawo potężna kobieta z włócznią w dłoni. Zasalutowała i stuknęła obcasami sandałów.

- Kupiec Mirów, wielki Ineznio - powiedziała. - Mówi, że sama bogini go do ciebie przysłała. Czy mam go wpuścić?

Holroyd stał nieporuszony, coraz chłodniejszy, coraz twardszy. Jego obojętność była niemal dotykalna. Kupiec. L'onee, sprowadzając go tutaj, musiała wiedzieć, że zjawi się jakiś Mirów. Chciała, żeby się z nim spotkał, żeby czegoś się dowiedział. Postanowił, że się dowie.

Księga Śmierci

Wejście Mirowa poprzedził dziwny odgłos, jakby zepsutych miechów kowalskich. Ów odgłos dochodził nie wiadomo skąd; przybliżał się coraz bardziej, aż w końcu okazało się, że jest to ogłuszające dyszenie potężnego, tłustego mężczyzny. Kolos wtoczył się przez drzwi, z wdziękiem słonia ukłonił się w pas i rzekł służalczo:

- Wielki Ineznio!

Holroyd popatrzył na niego lodowatym wzrokiem.

- Czego chcesz?

Zmiana, jaka *zaszła* w tłustym osobniku, była zdumiewająca. Opadła z niego wszelka ogłada, a prawdziwy charakter pojawił się na mięsistej twarzy. Zamknął za sobą drzwi; po chwili, niczym wielki ślimak, przysunął się do bieżnia i wymamrotał płaczliwym głosem:

- Mój panie Ineznio, trudno się z tobą umówić. Już od trzech dni mam skarb Zardy.

Właśnie spotkałem na korytarzu boginię. Jej Boskość powiedziała mi, że dziś mnie przyjmiesz.

Mogę mieć nadzieję?

- Tak -odparł Holroyd. Zupełnie go to nie interesowało; obojętne mu było, o co tu chodzi. Nie zdołałby w ciągu godziny czy nawet dnia poznać dość szczegółów tej sprawy, by podjąć odpowiednią decyzję. Zauważył, że pękaty osobnik kłania się i uśmiecha głupkowato.

- Jeśli zechcesz towarzyszyć mi do Sali Handlowej i położyć pieczęć na dokumencie dostawy, jak zwykle...

Korytarzem, gdzie drzwi pilnowały uzbrojone we włócznie strażniczki, przeszli do ogromnej, białej sali, pełnej mężczyzn noszących worki do wielkiej kamiennej wagi. Byli też inni mężczyźni, w tym jeden z długim nosem, o blisko osadzonych oczach i służalczych manierach, który powiedział:

- Tędy, wasza ekscelencjo. Zaczniemy, gdy tylko wasza ekscelencja spocznie.

Mężczyźni bezustannie opróżniali u jego stóp worki; wypadały z nich nieregularne kawałki ciemnobrązowej, metalicznej substancji, która, jak się zdołał zorientować, była rudą żelaza.

Holroyd

poczuł

krótkotrwałe

zainteresowanie.

Żelazo

skarbem?

A

zatem

nie

mylił

się.

W

Gonwonlane

odczuwano

boleśnie

brak

tego surowca, używanego do wyrobu lasek modlitewnych, które podtrzymywały moc bogini.

Przez dwieście milionów lat marnotrawny człowiek wyczerpał zasoby rudy żelaza na swojej planecie.

- Gdzie ten dokument, 4 którym wspominałeś? - zwrócił się do Mirowa.

Przyniósł go człowiek o obliczu sępa i podał Holroydowi z głębokim ukłonem.

- Och, wielmożny Książę Ineznio, dla człowieka na twoim stanowisku musi być męczące uczestniczenie w tak nudnym obrzędzie. Dopilnuję, byśmy otrzymali cały przydział naszego żelaza.

Mirów odprowadził go do drzwi, co było irytujące.

- Każę mojemu posłańcowi poinformować Zardę, że obiecałeś... a oto Benar, minister wojny. Będzie równie zadowolony jak Zarda. Witaj, Benarze.

Holroyd skinął głową starszemu, korpulentnemu mężczyźnie, który mu się nisko ukłonił. Część umysłu mówiła mu: jeszcze jeden z tysiąca takich jak Mirów, trzeba go wysłuchać. Starszy człowiek miał wykrzywione grymasem wargi, zapadnięte policzki, a pod oczami ciemne wory. Zapewne był osobnikiem równie nieciekawym jak Mirów, robotnicy i długonosy sęp w ludzkiej skórze. Natomiast czujna, uważna część umysłu Holroyda skupiła się na słowach, wypowiedzianych wcześniej przez Mirowa: Zarda z Akkadistranu będzie zadowolona z tej obietnicy.

Stwierdził, że zastanawia się nad zagadkowymi elementami całej sprawy, idąc obok starego człowieka, który opowiadał coś nieprzerwanie falsetem. Skarb od Zardy z Akkadistranu, która, według pisma dostarczonego mu przez Tara, była odpowiedzialna za różne przestępcze działania. Skarb w zamian za obietnicę... Idący tuż obok Benar zaczął teraz mówić mocniejszym głosem, który dotarł wreszcie do Holroyda:

- Jestem zadowolony, że wyraziłeś zgodę. Zgładzić całą bandę, to jedyna metoda.

- Co takiego? - spytał ostro Holroyd. - O co chodzi? Benar popatrzył na niego, po czym odparł zrozumiałe:

- Wyciąć chorą tkankę, oto czego nam trzeba. Mam przygotowaną listę, jest na niej każdy oficer, który kiedykolwiek wyraził pochwałę ataku na Nushirvan - takich trzeba

wykończyć. To jedyna skuteczna metoda, by spełnić swoją obietnicę, że nasze oddziały nie będą interweniować, gdy przestępcy wynajęci przez Zardę pojawią się tutaj i porwą tych łajdackich rebeliantów i ich rodziny.

Holroyd poczuł, że budzi się w nim zainteresowanie. Był coraz bardziej świadom swojego celu, choć nie widział go jeszcze zupełnie jasno. Prawdę mówiąc, okrywała go tak gęsta mgła, że wydawał się niepokojący; Holroyd czuł się jak pełen chęci działania człowiek, który w smolistej ciemności natrafił na ścianę nie do przebycia i albo zrezygnuje, albo zniszczy ją doszczętnie.

Zaprowadzono go do wielkiej sali o ścianach obwieszonych mapami. Rozpoznał je:

Gonwonlane, Nushirvan, Akkadistran -wszystkie krainy, przedstawione o wiele bardziej szczegółowo niż w książkach. Lecz on ledwie raczył rzucić na nie okiem. Usiadł i wlepił wzrok w księgę wielkości urzędowego rejestru, która leżała przed nim na biurku. Dobrze było tak siedzieć i podsumowywać w myśli: Zarda, która przysyłała skarb w zamian za prawo porwania obywateli Gonwonlane bez interwencji ze strony wojska i zdumiewająca zdrada bogini wobec rządzanego przez nią ludu. Poczul chłód i zawziętość, ale nie gniew. To właśnie miała na myśli L'onee. Dlatego tu był. Sądziła, że nie pojmuje, jak ważny jest atak na Nushirvan. To prawda. Dotąd tego nie pojmował. Człowiek o imieniu Benar mówił dalej:

- Jak widzisz, jest to długa lista. Nie pominęliśmy ani jednego podejrzanego.

Ten komentarz, jak podejrzewał Holroyd, miał nakłonić go do wypowiedzenia słów pochwały. Lista, według ministra wojny, zasługiwała na uznanie już ze względu na swoją dokładność i rozmiary. Benar puszył się jak paw, patrząc wyczekująco na Holroyda.

Holroyd przekartkował księgę, zatrzymując się mniej więcej w połowie. Stronice pokrywało drobniutkie pismo - siedem, osiem, dziewięć, dziesięć kolumn nazwisk na jednej. Przeliczył pozycje w jednej kolumnie z całą precyzją, na jaką pozwalały stłumione emocje -

każda liczyła czterdzieści nazwisk. A to oznaczało czterysta na każdej stronie. Przewrócił kartkę i westchnął cicho. Po drugiej stronie też była zapisana, równie drobnymi literami, liczba nazwisk też się zgadzała. Byłoby rzeczą interesującą poznać dokładną cyfrę. Nie miało to o&prawda większego znaczenia. Ten masowy mord, jaki tu planowano, nie zmieniłby swojego charakteru, bez względu na dokładne określenie jego rozmiarów. Mimo to Holroyd zapytał Benara.

- Tysiąc osiemset stron - odparł stary człowiek. - Mówiłem, panie, że byliśmy dokładni.

Wykorzenimy niełojalność do końca.

Czterysta razy tysiąc osiemset, pomyślał z bólem Holroyd. Czterysta razy... Nadal nie wiedział, ile to jest. Tysiąc osiemset pomnożone przez czterysta...nie, nie tak należało to obliczać. Spojrzał na księgę: czterdzieści centymetrów na dwadzieścia cztery na dziesięć.

Osiem tysięcy centymetrów sześciennych martwych ludzi. Holroyd wyciągnął z ponurą miną rękę i uniósł księgę. Była ciężka, ważyła około czterech kilogramów. Waga rejestru trzymanego w dłoni podsunęła mu pewną myśl.

- Wezmę księgę ze sobą - powiedział z udaną obojętnością. - Widzi pan, muszę sprawdzić, czy na liście znajdują się pewne nazwiska. Minie trochę czasu, zanim je sobie przypomnę.

Już zamierzał odejść, przekonany, że wszystko zostało należycie wyjaśnione, gdy zatrzymał go głos tamtego.

- Zapewniam, panie, że listy zostały dokładnie sprawdzone pod kątem nazwisk wyższych oficerów i tych, którymi specjalnie się interesujesz. Pozostawiono jedynie nazwiska oczywiste - generała Maarika, pułkownika Dilina i innych.

- Wezmę jednak księgę do swoich apartamentów i tam przejrzę - zarządził Holroyd.

Odwrócił się i korytarzem dotarł do swoich apartamentów. Zamykał za sobą drzwi, gdy

ujrzał złotowłosą boginię.

Siedziała przy małym stoliczku, zastawionym półmiskami.

- Usiądź, Ineznio - rzekła. - Chcę z tobą pomówić o egzekucjach. Jakiś czas temu minister policji wysunął pewną sugestię, która mnie zafascynowała; planuje wysłać cię na front nushirwański, byś dokonał pozorowanego ataku, który zadowoli wszystkich malkontentów.

Lecz usiądź, mój drogi. Omówimy tę kampanię nad filiżanką niru.

Pierścień władzy

Upłynęła chwila, zanim Holroyd przywykł do obecności bogini i pojął wypowiedziane przez nią słowa. Jego umysł, pogrążony początkowo w zupełnej czerni, zaczął cofać się przed rzeczywistością, którą uosabiała. Ale powrócił. Powrócił.

Teraz

Holroyd

widział

boginię

inaczej.

Przedtem

był

oszołomiony

bezceremonialnością, z jaką został wrzucony w krąg jej oddziaływania, a kiedy nagle odeszła, pozostały mu jedynie ulotne wrażenia. Jego przybycie do pałacu, tak jak to teraz widział, przypominało szkic, który, choć dokładny w ogólnych zarysach, wymagał jednak uzupełnienia szczegółów. Dziecięca twarz, drobne, wspaniale ukształtowane ciało, niebieskie oczy - były takie, jak zapamiętał. Zamiast białego peniuaru, bogini miała na sobie długą suknię o barwie błękitu, który współgrał z kolorem jej oczu. Tyle, że przedtem wydawała się Holroydowi postacią ze snu. Teraz była rzeczywista, żywa i znajdowała się tutaj - bogini Ineznia.

- Usiądź, Ineznio - powiedziała miękko głosem. - Jesteś bardzo dziwny dzisiejszego ranka, przyglądasz mi się tak badawczo.

- Myślę o tym, co mi powiedziałaś - usłyszał Holroyd samego siebie. W rzeczywistości nie uchwycił jeszcze znaczenia jej słów, ale odpowiedź zabrzmiała sensownie. Usiadł ostrożnie

i zauważył, że bogini wpatruje się w niego oczami o zagadkowym, bynajmniej nie dziecięcym wyrazie. Zdawało się, że odmieniło to w jakiś sposób jej wygląd. Holroyd usiłował za wszelką cenę odkryć istotę tej różnicy, ale nie mógł.

Gdy znów na nią spojrzął, zrozumienie pojawiło gwałtownie. Uważaj, ty niewiarygodny idioto, pomyślał. To nie jest zwyczajna kobieta. Lecz trudno było to pojąć w całej pełni, jeszcze trudniej zrozumieć wszelkie implikacje, prócz... Ostrzegawcza myśl uruchomiła cichy dzwonek alarmowy, zrodziła przekonanie, że nie wolno mu już dłużej milczeć.

- A więc chciałabyś, żebym przypuścił pozorowany atak na Nushinran?

Nie mógł mówić dalej, bo po raz pierwszy uświadomił sobie dokładnie, co znaczą jej słowa. Był coraz spokojniejszy. Czuł niemal, jak jego umysł wchłania w siebie wszelkie możliwości. Mogłoby to być takie proste, pomyślał wreszcie.

Bogini zaś mówiła dźwięcznym głosem:

- Wyślę posłańców, którzy obwieszczą, że razem ze sztabem wyruszysz jutro na front.

Wszystkie świątynie otrzymają rozkaz udostępnienia swoich sił na twoje wezwanie, będą też musiały przygotować się na zakwaterowanie i obsługę żołnierzy. Zapasy żywności i amunicji zostaną wysłane na front wszelkimi dostępnymi środkami. Ważne jest w tej całej operacji, by przekonać wszystkich, że toczy się wielka wojna i upewnić się jednocześnie, że rebelianci znajdą się na lewym skrzydle, gdzie zostaną odcięci przez siły specjalne, a następnie zniszczeni na wulkanicznych grzędzawiskach i w górach, które zajmują w tym regionie setki kanbów kwadratowych. Pokażę ci za chwilę, co dokładnie mam na myśli...

Holroyd słyszał każde słowo, ale niezbyt wyraźnie. Siedział pogrążony w cichym zamroczeniu. Była w nim i radość i niechęć tak gwałtowna, że aż raniła. Była też lodowata wściekłość i była przyjemność - ta pojawiła się na ostatku. Inne doznania wydawały się trwalsze, nie mogły jednak dorównać intensywności owemu uczuciu diabolicznej radości na

myśl o propozycji, jaką mu przedstawiła Ineznia: fałszywego ataku na Nushirvan. O Diyanie, o Kolio, o boski Radzie! Atak na Nushirvan pod auspicjami bogini. Przygotowania bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń.

Myśl urwała się. Ponad stołem wysuwała się biała dłoń z palcem wyciągniętym ku jego głowie.

- Chodź ze mną - usłyszał pieszczotliwy głos bogini. - Pokażę ci. - Palec niemal sięgał jego czoła. - Trzymaj głowę wysoko i chodź ze mną.

Pierwszym odruchem było cofnąć się gwałtownie przed... sam nie wiedział przed czym.

Ale nie ośmielił się. Miał jeszcze czas na gorzką refleksję- powinien był pamiętać, że miał do czynienia z boginią obdarzoną władzą tak wielką, że nawet L'onee, zdolna splątać strukturę czasu, lęka się jej. Palec kobiety dotknął jego czoła.

- Chodź ze mną!

Nie dokonała się żadna zmiana. Bogini patrzyła na niego, a kremowa skóra wokół oczu zmarszczyła się w grymasie niezadowolenia.

- To dziwne - zauważyła. - Czuję przeciwdzia... - urwała w połowie słowa i cmoknęła językiem. Usiadła i spojrzała na niego zdumiona.

Holroyd odzyskał głos.

- O co chodzi?

- Nic, nic.

Potrząsnęła niecierpliwie głową, jakby chciała przekonać samą siebie.

Holroyd czekał. Nie było jasne, czego się spodziewała. Natomiast powód, dla którego

jednak czegoś się spodziewała, był zupełnie jasny. Moc Ptaha, wtłoczona w osobowość Petera Holroyda, mogła ulec stłumieniu, lecz takie wewnętrzne połączenie człowieka i boga nie mogło być wyłącznie ludzkie. Cokolwiek bogini miała na myśli, każąc mu iść ze sobą, gdziekolwiek

pragnęła się z nim udać, jego dwie osobowości wymagały, z natury rzeczy, odrębnego potraktowania przez jej boską władzę. Miał zostać zdemaskowany. Poczł gorąco, a zaraz potem chłodne opanowanie.

- Powiedz mi, Ineznio, co robięś od chwili, gdy widziałam cię po raz ostatni? -

powiedziała kobieta ostrym tonem. Jej oczy iskrzyły się jak roztańczona błękitna woda schwytna w sieć promieni słonecznych. Trudno było na nią patrzeć, na jej twarz jakby otuloną świetlistą mgiełką, pulsującą i migoczącą. Zdawało się, że to światło nie ma swojego źródła, lecz płynie z powietrza.

- Od chwili, gdy widziałas mnie po raz ostami! - powtórzył jak echo Holroyd, głosem tak lodowatym, że sam poczuł dreszcz. - Niech pomyślę! Najpierw wyszedłem do ogrodu - zaczął. - Kiedy wróciłem, czekał już na mnie Mirów. Poszedłem z nim, żeby skontrolować dostawę skarbu Zardy, potem...

Przerwał. Jej oczy znów się zmieniły. Wyglądały jak okrągłe, modre jeziora pod zachmurzonym niebem, lecz w ich głębiach błyskały elektryczne, niebieskie iskierki. Te oczy przyglądały mu się -nie jego twarzy, lecz dłoni. Lewej dłoni.

- Kto ci to dał? - spytała ostrym jak brzytwa tonem. - Kto ci dał ten pierścień?

- Pierścień? - powtórzył Holroyd. Wpatrywał się w matowy klejnot, zbyt oszołomiony, by powiedzieć coś więcej. Uchwycił wreszcie wątek i zaczął: - O co chodzi, to tylko...

Przerwał mu jej dźwięczny, uroczy śmiech ożywiający nieskazitelne, młodzieńcze rysy.

Jedna tylko rzecz wzbudziła jego niepokój. Jej oczy znów były inne: wciąż niebieskie, lecz teraz płonęły piekielnym, nieludzkim gniewem, a głos miał w sobie gwałtowność morskiego sztormu, chłuszczącą, diabelską moc żywiołów. Krzyknęła:

- Kto ci to dał? Kto? Kto?

- bieżnia! - odpowiedział łagodnie Holroyd. Chociaż zszokowany, czuł, że panuje nad

sytuacją, Przyglądał się jej z zaciekawieniem, szczerze zainteresowany. - To naprawdę bardzo proste -ciągnął, wiedząc z absolutną pewnością, że Holroyd nigdy nie byłby taki spokojny, taki rozsądny, taki niezmiernie poważny w Obliczu jej demonicznego wybuchu. - Miałem już odejść z Mirowem -wyjaśnił - kiedy mi przypomniał, że nie mam pierścienia do pieczętowania. W pośpiechu musiałem zabrać niewłaściwy.

Zabrzmiało to nawet wiarygodnie. Pierścień musiał tam być, w pokoju, z którego wychudzona kobieta przyniosła formularze rozkazów. Nasuwało się jednak pytanie, dlaczego tak niebezpieczny przedmiot powierzono Księżciu Ineznio. Dostrzegł, że te niewiarygodne, niebieskie oczy znów się zmieniają. Emanowały teraz pewnością, taką samą jak ta, którą i on odczuwał. Głos, gdy już dotarł do niego, był spokojny i cichy:

- Muszę cię prosić, byś mi wybaczył, Ineznio. Działają tu pewne siły, o których ci nie wspomniałam... a ostatnio coś mnie bardzo zaniepokoiło. Zdejmij pierścień, a zabiorę cię w podróż umysłów. Potem...- uśmiechnęła się zadziwiająco czule- ...potem pożegnam się z tobą tak, jak przystoi kochankom, którzy się rozstają. Ale najpierw odłóż pierścień tam, skąd go wzięłeś.

Holroyd poszedł powoli do pokoju, z którego chuda kobieta przyniosła pierścień. Kiedy znalazł się już w środku, stłumił chęć, by wyskoczyć drugimi drzwiami i uciec korytarzem. Znał to uczucie. Ogarnęło go niespodziewanie w małej chacie w dżungli. Zbyt wiele spraw zbyt gwałtownie absorbowało mu umysł. Musiał znaleźć wolną chwilę i zastanowić się nad sytuacją. Ale nie teraz. Później.

Owo postanowienie przyniosło mu ulgę, lecz nadal nie wiedział, jak się zachować. Ta podróż umysłów i akt miłosny, który miał po niej nastąpić - Holroyd rozważał to z niepokojem. Ta druga sprawa była oczywiście bez znaczenia. Zdążył osiągnąć wiek trzydziestu trzech lat jeszcze przed przybyciem do Gonwonlane, i gdyby ktoś spisywał wszystkich mężczyzn, którzy

w *tych* wieku byli niewinni jak lilie, to nazwiska Holroyda próżno by tam szukać. Nie, akt miłosny nie miał znaczenia teraz, gdy nie istniał już problem odrębności kobiety i jej ciała.

Niepokojąca wydawała się owa podróż umysłów. Co to mogło być?

Ineznia wspominała o rebeliantach, którzy zostaną zmiażdżeni na grzędawiskach i w górach Nushirvanu. A potem powiedziała... co właściwie? Nie mógł sobie przypomnieć. Musi stawić temu czoło, nieważne, o co tu chodzi. Nie miał czasu o tym teraz myśleć, gdy prawie wszystko działało na jego korzyść. Zadowolony, schował pierścień w małej komodzie stojącej obok biurka i przeszedł do pokoju o ogromnych oknach.

Wydarta strona

Bogini siedziała odwrócona plecami. Holroyd podszedł do niej po grubym dywanie.

Przyglądał się jej z tyłu z obojętnością, na jaką nie mógł się zdobyć, patrząc bieżni w twarz.

Była niewysoka, liczyła najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów. Wspaniałe włosy miała ułożone jak bardzo młoda dziewczyna; ich opadające pukle połyskiwały miękkim,

jedwabistym, złotym blaskiem. Gdy tak siedziała, wyglądała jak dziecko. Owo wrażenie

ulotniło się gwałtownie, gdy Holroyd dostrzegł, co trzyma na kolanach: wielką księgę zawierającą nazwiska tych, których egzekucji tak niedawno się domagała.

Holroyd zmusił się do uśmiechu, obszedł stolik i usiadł na swoim krześle. Bogini podniosła zamyślony wzrok.

- Zauważyłam, że nie podpisałeś tego, Ineznio. - Zanim Holroyd zdążył odpowiedzieć,

bogini zganiła go: - Nigdy nie uświadamiałeś sobie do końca, jak ważne jest działanie przeciwko tym ludziom. Nasze młode pokolenie jest zupełnie niereligijne, zarozumiałe,

nieznośnie indywidualistyczne. Odpowiedzialność za ich klęskę poniosą przywódcy, którzy

następnie zostaną zabici - nasze wojsko się tym zajmie. Wprawi ich to w niezadowolenie, nie

pozostawiając żadnej psychicznej furtki. Odpowiednio wykorzystamy sytuację, podkreślając,

że wszystkiemu winna jest ich bezbożność. W ten sposób odeślemy miliony otumanionych z

powrotem do ich lasek modlitewnych. To będzie koniec naszych zmartwień. Odkryłam, że te

buntownicze zrywy nigdy nie trwają dłużej niż kilka pokoleń. Szczegóły pozostawiam tobie.

Holroyd, siedząc w milczeniu, podniósł filiżankę. Nir był wciąż gorący i wyśmienity,

lecz już w minutę po pierwszym łyku nie potrafił powiedzieć, jak smakuje. Oczyma duszy

widział obraz, który bogini naszkicowała - mężczyźni i kobiety, o duszach zmiażdżonych przez

moralną katastrofę, zmierzający bezwolnie ku starości, ku mrocznym grobowcom, bez nadziei,

bez drogi odwrotu. Tymczasem złotowłosa, nieśmiertelna bogini żyje sobie dalej, a świątynie i

ich książęta nadal sprawują żelazną ręką władzę nad ludem tak beznadziejnie zniewolonym, że wszystko to wydało się Holroydowi... piekłem!

Jego umysł ogarnęła niemal fizyczna determinacja. Tak nie powinno być; tak nie będzie.

Bogini znów mówiła:

- Jak widzisz, Ineznio, w większości przypadków, egzekucje są teraz nieistotne. -

Niebieskie oczy mierzyły go uważnym spojrzeniem. - Chcę jednak, byś podpisał jedną stronę,

Ineznio. Każde znajdujące się na niej nazwisko należy do osoby, która popełniła jakąś

zbrodnię. Dopóki żyją, prawo może być przedmiotem kpin, a mój rząd pogardy. Podpiszesz,

prawda? Czasem doprowadzasz mnie do szału - ciągnęła. - Wiesz równie dobrze jak ja, że

zawsze pozwalałam i tobie, i moim ludzkim doradcom kierować rządem. Sama zajmuję się

tylko sprawami większego kalibru; to właśnie jedna z nich. Musisz podpisać tę listę.

Holroyd wpatrywał się w nią. Ta długa, chaotyczna oracja dała mu czas na dobranie

odpowiednich słów. Rzekł powoli:

- Czy nie uważasz, że egzekucje mogą na tym etapie wzbudzić podejrzenia ze strony

tych samych ludzi, których umysły próbujesz uspić?

Jej reakcja wystraszyła go. Na stoliku leżało pióro; wzięła je gwałtownie do ręki,

przekartkowała wściekle księgę, znalazła odpowiednią stronę i napisała coś szybko na

marginiesie u dołu. Skończyła zakrętasem, chwyciła stronę i wydarła ją jednym szarpnięciem.

- No - stwierdziła rozgorączkowana. - To odroczy wszelkie egzekucje o sześć miesięcy.

Przesunęła kartkę na drugi koniec stołu i wyciągnęła rękę. Patrzyła na Holroyda

płomiennym wzrokiem.

Wziął od niej pióro bez słowa. Przeczytał jej adnotację, podpisał się pojedynczym

imieniem - Ineznio, po czym oddał jej w milczeniu kartkę. Za sześć miesięcy zasiądzie na

boskim tronie. Za sześć miesięcy stanie się... Ptahem, albo będzie martwy. Zresztą chodziło tylko o jedną stronę z tysiąca ośmiuset. Nie mógł marzyć o lepszym wyjściu z tej okropnej sytuacji.

Jego czoła dotknął palec bogini, a uszy pieścił jej głos:

- Chodź ze mną!

Podróż umysłów

Pęd rozmazujący kontury. Takie było pierwsze wrażenie Holroyda. Cofnął się w oczekiwaniu bólu, ale go nie doznał. Wrażenie poruszania się z ogromną szybkością trwało sekundy, po czym nagle zaczarowany obraz zwolnił. W chwilę później Holroyd spoglądał z wysokości na panoramę. Góry, wszędzie góry - i wulkany.

Jak daleko można było sięgnąć okiem z tej orlej perspektywy, wszędzie wznosiły się szczyty, im dalej, tym wyższe, a wulkany wzbijały w zamglone niebo kolumny dymu. Widać było setki szczytów, setki kraterów, a między nimi rozległe doliny, w których zalegała ciężka mgła. Z ciemnych porów w skórze posępnej, umęczonej ziemi buchała para.

Nushirvan, pomyślał Holroyd i poczuł pierwsze ukłucie zwątpienia. Nie można wysłać tu ludzkich istot.

Ale po chwili zmienił zdanie. Armie mogły pokonać góry, wulkaniczny obszar też nie był aż tak niegościnnie, jak wyglądał; prawdę mówiąc gleba wulkaniczna była zazwyczaj tak żyzna, że winnice i sady rosły tu dorodniej niż gdzie indziej. Zafascynowany, zaczął szukać wzrokiem osad ludzkich i po chwili je znalazł. Domy przycupnęły pod zboczami albo usadowiły się w dolinach wśród gęstych oparów; w oddali, gdzie jedna z dolin biegła ku odległemu horyzontowi, mógł dostrzec iglice i wieże miasta. Pomyślał natychmiast, przynaglony palącym pragnieniem: „Chodźmy tam”.

Nie - nadeszła do jego mózgu odpowiedź. To niemożliwe. Nie mogę przejść przez rzekę wrzącego błota.

Dlaczego?

Tym razem nie było odpowiedzi; Holroyd poczuł zniecierpliwienie i wtedy... Rzeka wrzącego błota! Nazwa, obraz, jaki przywodziła, zawładnął jego wyobraźnią. Spojrzał w dół;

było dziwne, że w ogóle ją dostrzegł. Pod nim, niczym wąż, falowała ciemnoszara masa. Wiła się po dnie wielkiej doliny, szeroka na pół kilometra, a nad jej powierzchnią unosił się welon mgły.

Armie nadchodzące z Gonwonlane musiałyby ją przekroczyć. I znów szarpnęło nim zdumienie; czy można do takiego piekła wysłać ludzi? Ale wiedza mu podpowiedziała, że można t trzeba. Potrafił nawet wyobrazić sobie specjalnie zaprojektowany most pontonowy, dostatecznie ciężki, by utrzymać ogromne czołgi - albo grimby. Podczas drugiej wojny światowej nie było w liniowej służbie żołnierza czy oficera, który nie przechodziłby po stu takich mostach, zazwyczaj pod ogniem broni palnej.

Podróż umysłów trwała wzdłuż nurtu tej rzeki bez końca - ku zachodowi. Holroyd obliczył, że lecą z szybkością jakichś siedmiuset kilometrów na godzinę. Dostatecznie prędko, by podsycić jego zainteresowanie; umysł korzystał z precyzyjnej obserwacji. Całą swoją istotą Holroyd zachowywał czujność. Jeszcze raz uchwycił kuszący obraz miasta, na wpół zagubionego we mgle. Ale i ono leżało za rzeką wrzącego błota, nieprzekraczalną z jakichś powodów nawet teraz, przy wykorzystaniu tak niezwykłego środka transportu.

Gdy tylko minęli drugie miasto, rzeka skręciła ostro na północ. Kilkoma zakosami ominęła góry, a potem już biegła na zachód. Holroyda zaczęło ogarniać zdumienie. Nietrudno było pojąć istotę rzeki, gdy rozciągał się za nią Gonwonlane. Ale po cóż podążać za wijącym się nurtem gorącego błota, który zdawał się otaczać znaczną połąć Nushirvanu? Po godzinie stało się jasne, że tędy właśnie lecą. Ów niezwykły kanał skręcił stopniowo na wschód, a potem, po długim czasie - tak mu się przynajmniej wydawało - skierował się na południe i tak ciągnął się przez kolejne godziny.

Słońce, które cały czas stało wysoko na niebie, opadło w końcu na brzeg zachodniego horyzontu; jego promienie rzucały długie cienie na dziwny, straszny, górzysty obszar

Nushirvanu. Nagle znów zaczął się pęd rozmazujący kontury, jak na początku podróży; i oto Holroyd znalazł się z powrotem w pałacu. Podróż umysłów, niewytłumaczalna i dziwaczna, dobiegła końca.

Pokój był teraz o wiele ciemniejszy. Wielkie okna wychodziły na wschód, ale zmrok nadszedł dość wcześnie; słońce zanurzało się już na zachodzie. Holroyd uświadomił sobie, że siedzi zagłębiony w fotelu, a bogini przygląda mu się z drugiej strony stołu z lekkim uśmiechem rozbawienia na wargach. W jej oczach malował się błogi spokój. Sprawiała wrażenie rozluźnionej, spokojnej, zadowolonej z siebie. Zanim Holroyd zdążył się odezwać, powiedziała:

- Pokazałam ci przeciwległą stronę Nushirvanu, sąsiadującą z Akkadistranem. Liczę na to, że poznanie tych ziem pomoże ci zaplanować atak.

Holroyd nie bardzo rozumiał, w jaki sposób. Już otworzył usta, by to powiedzieć, ale zaraz je zacisnął. Skoro nie wiedział nic o dawnych rozmowach Ineznia i bogini, nie mógł zadawać zbyt wielu pytań. Zwłaszcza że musiał zadać jedno.

- Ta rzeka wrzącego błota... dlaczego nie mogliśmy jej przekroczyć? - zwrócił się do Inezni.

Kobieta potrząsnęła głową; jej włosy uchwyciły resztkę słońca. Zamigotało fascynująco złoto, jak ogień pobudzony do życia. Z gęstniejącego mroku napłynął jej miękki głos:

- Są rzeczy, Ineznio, o które nawet tobie nie wolno pytać. Chodzi o pewne ograniczenie mojej mocy.

Podniosła się i obeszła stół. Poczł ciepło jej ramion na swojej szyi. Wargi kobiety, z początku zimne, stawały się coraz gorętsze. Trudne pytanie, które wciąż kołatało się w głowie Holroyda, umknęło gdzieś. Później, pomyślał rozdygotany. Później przeanalizuję tę sprawę

dogłębnie...

Holroyd wziął do ręki pióro i napisał:

„Najwyższą władzą w Gonwonlane jest Bogini Ineznia. Sprowadziła tu Ptaha przed jego czasem. Jak to uczyniła, zostało mi pokazane”.

Wpatrywał się w tekst z zadowoleniem. Poczł się lepiej, gdy ujrzał go na piśmie. Cały miniony dzień spędził w tak niewyobrażalnym pośpiechu, że z trudem nadążał umysłem za dokonującymi się zmianami. Nowy poranek zwolnił jakby tempo jego życia.

Siedział oto sam przy pulpicie, rozważając leniwie trapiące go problemy. Ogólny obraz, jaki się z owych rozmyślań wyłaniał, był dość wyraźny. L’onee została wysłana wbrew swojej woli, by sprowadzić go z powrotem do Gonwonlane, i uczyniła to. To był początek. Zapisując wszystko po kolei, powinien dopasować do układanki kilka brakujących elementów, po czym wyciągnąć ostateczne wnioski. Holroyd zważył pióro w dłoni i znów zaczął pisać:

„Największą po bogini władzę w Gonwonlane, choć znacznie ograniczoną, ma L’onee.

Zniweczyła zamiar bieźni sprowadzenia Ptaha do pałacu. Jak się to dokonało, zostało mi pokazane i...” -Holroyd przerwał. Uniósł pióro i przyjrzał się zdaniu. Napisał nieprawdę. Nie pokazano mu, tylko powiedziano. Gwizdnął cicho, po czym zaczął bardzo szybko pisać. Po pół godzinie nie odczuwał już żadnych wątpliwości. Nabazgrał pospiesznie zakończenie:

„Kobietą, którą uważałem za L’onee, jest oczywiście bieźnia. A zatem wszystko, co powiedziała mi księżniczka ze świątyni, potem Moora, ta wiejska dziewczyna, a także żona marszałka Nanda, jest przeinaczoną wersją, a może nawet całkowitą odwrotnością prawdy. Wychudzona kobieta, która próbowała mnie zabić, dąb mi pierścień i mówiła z takim trudem, musiała być prawdziwą L’onee.”

Holroyd odchylił się na krześle i spojrzł na napisane słowa. Narastał w nim lęk, a z coraz większego zdumienia wynikały tysiące pytań, napierające niczym nieustępliwa fala - a

streszczały się w jednym, zdumiewającym zagadnieniu: dlaczego, dlaczego, na Boga, bogini zrobiła to wszystko w taki sposób?

Odpowiedź mogła być tylko jedna, bieżnia z własnej woli nie dałaby mu żadnej wskazówki. Zrobiła to wszystko, gdyż musiała. Ptaħ, łącząc się z rodzajem ludzkim, nie był skończonym głupcem. Pozostawił sobie tarcze ochronne. Holroyd wypisał je jedna za drugą na kartce papieru.

„Pierwsza: ewokacja poprzedniej osobowości, przypuszczalnie inteligentnej.

Osobowość owa okazała się Peterem Holroydem. - Przerwał na chwilę, po czym dopisał: - Wydaje się mało prawdopodobne, by Ptaħ pragnął tak kłopotliwej ewokacji. Lecz uznajmy, że była to pierwsza z owych tarcz.

Druga: konieczność ukazania królestwa ciemności. Trzecia: działanie laski modlitewnej. Czwarta: podróż umysłów, wraz z zagadkowym odkryciem, że bogini nie jest w stanie spenetrować Nushirvanu poza rzeką wrzącego błota, która całkowicie otacza gęsto zaludnioną część państwa wyjętego spod prawa, niczym fosa. Piąta:..."

W tym miejscu Holroyd przerwał. Istota piątej tarczy była niejasna. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Ineznia przywiązywała do niej ogromną wagę. Kiedy byli w małej chacie, próbowała nakłonić go do aktu miłosnego z wiejską dziewczyną, Moorą. Holroyd zmarszczył czoło, ale w końcu wydało mu się, że chwyta sens, nie do końca jasny, ale w jakiś sposób zrozumiały.

Seks stanowił sedno sprawy. W tym świecie odkryto, że kobieta uwielbiana przez mężczyzn stawała się prawdziwą boginią i tak samo było w sytuacji odwrotnej. Seks musiał mieć zatem tajemny związek z jakąś ogromną siłą, która zniewoliła naród liczący pięćdziesiąt cztery miliardy dusz. Skłonność człowieka do oddawania hołdu bohaterom, królom i nie istniejącym bogom stworzyła w końcu boskość.

„Szósta tarcza -pisał Holroyd - musi w jakiś sposób dotyczyć wyrwanej karty z nazwiskami ludzi przeznaczonych do egzekucji. W przeciwnym razie Ineznia nie domagałaby się mojego podpisu”.

Skrzywił się w zamyśleniu. Nagle olśniło go; było to jak błyskawica rozjaśniająca umysł. Zerwał się na równe nogi i pobiegł do dużej sali. Księga wciąż leżała na stole. Chwytał ją, przekartkował szybko i znalazł miejsce po wydartej karcie. Ostatnie imię na poprzedniej stronie brzmiało Lin'ra; nazwisko na samej górze następnej strony - Lotibar.

Nie miał już wątpliwości. Podpisał wyrok śmierci na L'onee. Stał teraz ponury i skonsternowany, oceniając rozmiary swojej klęski i - co ważniejsze - nadziei, jaka jeszcze pozostała. Na szczęście, pomyślał, jego upór zmusił Ineznię do odroczenia egzekucji na sześć miesięcy.

Powoli uświadamiał sobie, że to nie jedyna nadzieja. Nie zasiadł jeszcze na boskim tronie; było też coś niewiadomego, co łączyło się z rzeką wrzącego błota, a nie sprzyjało Inezni. No i co z atakiem na Nushirvan?

Pukanie do drzwi rozproszyło mrok zalegający jego umysł. Pukała strażniczka, która ogłosiła:

- Marszałek Gara śle pozdrowienia i pragnie cię poinformować, że sztab generalny jest gotów wyruszyć na front nushirwański.

Holroyd wyrecytował szybko tekst, który ułożył sobie znacznie wcześniej:

- Przyślij tu eskortę, która zaprowadzi mnie na miejsce wymarszu. Za chwilę będę gotów.

Wrócił szybko do gabinetu, podarł na strzępy kartki z wynikami swojej analizy, a potem próbował coś wymyślić. Jego umysł stopniowo się uspokajał i uodparniał. Podeszedł do komody obok biurka, wyjął pierścień, który na krótko pokrzyżował plany Inezni, wsunął go na palec, po

czym ruszył dziarskim krokiem do salonu, skąd zabrał księgę ze spisem rebeliantów. Doszedł do wniosku, że może się przydać.

Czuł coraz większą determinację. Stary Ptah nie mógł być takim głupcem, by nie zastawić na spiskowców pułapek. A zatem postanowił działać aż do chwili, gdy nowe pomysły umożliwią opracowanie lepszego planu. Zaatakować Nushirvan; objąć boski tron, choć niekoniecznie na nim zasiadać - chyba żeby żaden inny pomysł nie przyszedł mu do głowy.

Czasu było niewiele, a zbytnia ostrożność nie zawsze prowadziła do wygrania bitwy. Poza tym, co innego można było zrobić?

Triumf złotowłosej Bogini

Strumień szemrał i szumiał. Na trawiastym brzegu siedziała L'onee i czesała włosy. Nie miała rac na sobie, a smukły kształt martwego niegdyś ciała połyskiwał w słońcu brązem i bielą. Przerwała na chwilę czesanie i nachyliła się nad wodą, by popatrzeć na swoje odbicie. Uśmiechnęła się, nie całkiem zadowolona.

Ciało, które przejęła, zaczęło po tygodniu starannych kąpeli w rozgrzewających promieniach słońca powracać do prawdziwego życia. Włosy, tak często czesane, rozsiewały własny blask. Zielone oczy już nie spoglądały nieruchomo; odbijały się w wodzie jak dwa szmaragdy płonące w miękkim świetle. Twarz zaś... L'onee westchnęła. Robiła, co tylko mogła, ale to nie wystarczyło. Patrzyło na nią z wody pospolite oblicze.

Wciąż się sobie przyglądała, gdy nagle wyczuła czyjąś obecność. Podniosła wzrok. Nad wodą, w odległości trzech metrów, zajaśniał niebieski płomień, wirujący kształt światła, koloru i cienia, który wynurzył się znikąd i przybrał postać Bogini Inezni. Drobne, nagie ciało trwało chwilę w bezruchu, po czym, jakby zmaterializowane do ostatniej cząstki, ześliznęło się do wody.

Po chwili Ineznia, nie spiesząc się specjalnie, wyszła z płytkiego rozlewiska. L'onee przypatrywała się zaciekawiona, jak bogini wspina się na brzeg i sadowi na trawie dwa metry od niej.

- Uważasz, że postąpiłaś bardzo sprytnie, dając mu pierścień mocy, prawda?

L'onee wzruszyła ramionami. Już gotowa była odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Pytania Inezni miały przeważnie charakter retoryczny. Przyglądała się badawczo jej spokojnej twarzy, szukając oznak triumfu. W końcu powiedziała cicho:

- A więc podpisał mój wyrok śmierci, chociaż nie zostanie on wykonany natychmiast.

Od razu wiedziałam, gdy tylko się zmaterializowałaś, Jak długo mam jeszcze żyć, droga Ineznio?

Twarz bogini rozjaśniła się zadowolonym uśmiechem.

- Nie sadzisz chyba, że ci powiem, prawda?

- A zatem będę postępować tak, jakby nigdy nie miało się to zdarzyć.

L'onee najwyraźniej odniosła małe zwycięstwo; grymas niezadowolenia przemknął po delikatnej twarzy Inezni. Po chwili bogini warknęła głębokim głosem:

- Mogę przynajmniej zniszczyć twoje prawdziwe ciało, gdy tylko mi się spodoba.

Poczucie zwycięstwa przygasło.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie uczyniłaś? - rzuciła bez tchu L'onee i

natychmiast zmusiła się do milczenia. Jej prawdziwe ciało! Nie powinna nawet o tym myśleć, skoro pozbyła się go z rozmysłem, ale nie mogła się powstrzymać. Uważała za oczywiste, że Ineznia dawno zniszczyła jej dawne ciało, ale teraz uświadomiła sobie, że mogła je jeszcze odzyskać - całe jego piękno, które przyciągnęło i zatrzymało potężnego Ptaha, całą jego moc. Gdyby tylko potrafiła uderzyć wystarczająco szybko!

- Jesteś sprytniejsza niż sądziłam, Ineznio - rzekła L'onee ochryłym głosem. - Ale nie dość sprytna. Będę żyła albo umrę wraz z Ptahem.

- Czyli umrzesz, i to niebawem - odparła tamta chłodno. -Pięć z siedmiu zaklęć straciło moc na zawsze. Co prawda, chyba Ptah zaczął coś podejrzewać, ale nie ma to już znaczenia.

Złapał się w moją sieć; nawet szóste zaklęcie zostanie niebawem anulowane. Przygotowałam doskonały plan, który zniweczy każdy przejaw samodzielnego myślenia z jego strony. Ten nowy plan - chociaż może nie tak całkiem nowy, gdyż od dawna skrywam go w myślach - zacznie się urzeczywistniać w ciągu najbliższych dni. Byłam pewna - dokończyła łagodnym tonem Ineznia - że pozbyłaś się wszelkiej nadziei odzyskania władzy i wolności.

L'onee poczuła znudzenie. Spotkanie przebiegało tak samo jak większość rozmów z Ineznia: szlakiem klęski. Nie przerywała milczenia i po chwili poczuła się lepiej, uznając, że jej porażka nie była tak wielka, jak się z początku wydawało. Od tygodnia czekała, aż Ineznia się zjawi, więc rozmyślnie trzymała się blisko wody, by ułatwić nadejście bogini. Od tygodnia też zadawała sobie pytanie, co zaszło; teraz już wiedziała. Zadziwiający był ten rys próżności w charakterze złotowłosej bogini. Życie uwięzionej L'onee byłoby nie do zniesienia, gdyby nie częste wizyty Inezni i jej zwyczaj relacjonowania dokonań i zwycięstw.

- Szczerze mówiąc nie wierzę, by mógł dokonać udanej inwazji na te wulkaniczne góry
- stwierdziła cicho L'onee. - W końcu ty próbowałaś siedem razy i nigdy twojej armii nie udało się zdobyć tronu Ptaha.

bieżnia machnęła zniecierpliwiona ręką. Zaczęła mówić, a jej głos brzmiał dziwnie na tle ciszy tej odległej doliny. Z początku L'onee wsłuchiwała się w jego dźwięk, ledwo świadoma sensu słów. Potem dosłyszała coś w tonie drugiej kobiety, jakąś nutę spełnienia, jakby jej relacja dotyczyła wydarzenia, które już się odbyło, jakby triumf już został odniesiony. Za dzień lub dwa, jak twierdziła Ineznia, jej plan przyniesie rezultaty. Ale czyż nie było lak, że stało się to już wczoraj, a może nawet przed dwoma dniami? Albo też działo się to teraz, kiedy o tym opowiadała. Jak brzmiały jej słowa?

- ...drugiego dnia od przybycia na front wygłosił mowę do dziesięciu tysięcy marszałków i ich żon. Byłam jedną z nich. Wszystko, co powiedział, zgadzało się z moimi poglądami na strategię wojenną; mówił nawet o zwiększeniu liczby transportowych skrierów i grimbów. Było to interesujące, zwłaszcza że... - Ineznia umilkła i uśmiechnęła się. Po chwili dokończyła słodkim głosem: - Tylko ty, moja droga L'onee, wiesz o tym. A twoje usta są zapieczętowane, czyż nie, moja kochana? Jednak doskonale zrozumiesz, o co mi chodzi, gdy ci powiem tylko jedno słowo: Akkadistran.

- Ty diabolic! Ty potworna zbrodniarko! -zawołała wściekła L'onee.

W jej słowa wdarł się ulotny, melodyjny śmiech bogini, który urwał się gwałtownie.

L'onee nie miała żadnych wątpliwości, że w umyśle bogini i w jej duszy kryła się ponura powaga. Ineznia stwierdziła chłodno:

- Jakie my jesteśmy sentymentalne! Co to ma za znaczenie, że istota ludzka umiera o kilka lat za wcześniej?

Położyła się na trawie, jakby miała mnóstwo czasu. Jej doskonałe ciało jaśniało bielą w blasku porannego słońca. Oczy, przypominające błękitny marmur, spoglądały w stronę strumienia i doliny sięgającej północnych wzgórz. Wydawała się pogrążona w kontemplacji skiera L'onee, który stał na brzegu i niczym ogromny pelikan zanurzał raz po raz gwałtownym ruchem dziób w strumieniu, wyciągając za każdym razem rybę o białym brzuchu.

L'onee chętnie by odczytała myśli kryjące się za spojrzeniem Inezni, ale było oczywiste, że złotowłosa bogini nie zamierza na to pozwolić. Teraz westchnęła i powiedziała:

- Niedobrze się stało, że Ptah wygłosił swoją mowę tak wcześniej, zamiast poczekać do chwili, gdy już mianuje na wysokie stanowiska rebelianckich oficerów. Jestem pewna, że jego szczere zachowanie, pewność siebie i wypowiedzi rozwiałyby ich podejrzenia. Muszę przyznać, że zdumiała ronię śmiałość, z jaką przejął dowodzenie nad tak wielką armią.

-Podniosła zamyślona wzrok. -Wątpię, czy człowiek o nazwisku Holroyd uświadamia sobie, że tylko półbóg pokroju Ptaha mógł zyskać taką władzę, jaką on już dysponuje. Nie ma to oczywiście żadnego znaczenia - teraz, gdy rebelianci dali się złapać na mój mały podstęp.

Przerwała, uśmiechając się z taką radością, że L'onee wlepiła w nią pełen zdumienia wzrok. Przyszło jej co prawda do głowy, że przeciwniczka już osiągnęła zwycięstwo albo że jest tego bliska, jednak ten wybuch szczęścia był nie na miejscu.

- Podstęp?- powtórzyła jak echo.

- Wczoraj poprowadził rebelianckich oficerów i kartografów dosiadających skriery na powietrzny rekonesans - ciągnęła bieżnia swoim głębokim głosem, teraz pełnym podniecenia. - Dziś rano zabrał następną grupę, tym razem na grzbietach grimbów, by zbadać ten sam teren według sporządzonych w przeddzień szkiców.

- Ale nie rozumiem...

- Zrozumiesz, moja kochana - stwierdziła pieszczotliwie bogini - kiedy ci powiem, że dwa dni temu pozwoliłam, by w ręce zbuntowanego marszałka wpadł pewien list, rzekomo od księcia Ineznio do mnie, w którym cała inwazja jest przedstawiona jako podstęp mający na celu zniszczenie rebeliantów. - Podniosła się leniwie, a jej włosy błysnęły w słońcu ognistym złotem. - W związku z tym rebelianci podejmą dziś rano akcję, a dzięki temu mój zamiar - przełamanie szóstego zaklęcia - ziści się dzisiaj. Zanim zapadnie noc, boski tron znajdzie się w moim władaniu. - Obdarzyła L'onee promiennym uśmiechem. - Ucieszysz się, gdy ci powiem, dlaczego musiałam działać tak szybko. To z powodu twojej ucieczki i mocy, w jaką musiałam cię wyposażyć. Nie wolno mi było ryzykować. Żegnaj, kochanie.

Weszła do wody i zniknęła.

Przez długą chwilę L'onee wpatrywała się z goryczą w miejsce, w którym zniknęła Ineznia. A zatem ten jeden tydzień zwłoki, tydzień, który miał pozwolić ożyć jej na wpół martwemu ciału - okazał się za długi. Zaczęła się powoli ubierać. Zupełnie nie wiedziała, co powinna zrobić. Spodziewała się początkowo, że przygotowanie ataku na Nushirvan będzie wymagało czasu. Teraz jej nie do końca sprecyzowany plan, polegający na ujawnieniu Ptahowi, co go czeka, musiał ulec przyspieszeniu i modyfikacji.

Nie miała wątpliwości co jest teraz jej najważniejszym celem. Musi znaleźć Ptaha.

Gdziekolwiek przebywa, musi go odszukać. Jego kwatera główna znajdowała się pośród wzgórz, pod miastem Trzy w Nushirvanie. Gdzieś pośród niezmiernych dolin i stromych

zboczy, pełnych ludzi i niezliczonych dzikich bestii, gdzieś tam przebywa Ptah - i jest w niebezpieczeństwie. Skończyła zapinać sandały, przywołała skriera i w minutę później leciała już na północny zachód.

Rzeka wrzącego błota

Bandyci! - usłyszał Holroyd czyjś krzyk. - Co się stało? - spytał ostrym tonem, prostując się powoli na grzbiecie osiodłanego grimba. Z obawą wpatrywał się w długi szereg jeźdźców przecinających zieloną dolinę. Zmrużył oczy. Przestępcy na tyłach armijnych obozowisk, pomimo wszystkich środków ostrożności, jakie podjął? Odezwał się obok niego jakiś cichy głos:

- Około pięciuset. Dwóch na jednego. Jak to jest, wielki Ineznio, kiedy stoi się oko w oko z niebezpieczeństwem? Powinieneś okazywać zimną krew i opanowanie, dowiedziawszy się o grabieżach dokonywanych przez przestępców z Nushirvanu. Dzięki temu możesz zgodzić się na przeprowadzenie symulowanej inwazji!

Holroyd obejrzał się zdumiony i zobaczył niskiego człowieka w mundurze pułkownika. Jego zachowanie cechowała arogancja i pewność siebie urodzonego dowódcy, co sugerowało, że gdzie indziej może zajmować o wiele wyższe stanowisko. Holroyd westchnął. Był tak skupiony na swoich planach, że możliwość podejrzeń ze strony ludzi, których sprawy bronił, nie przyszła mu do głowy. A więc rebelianci dowiedzieli się jakoś o rzekomych "zamiarach bogini, by przeprowadzić symulowany atak. Przygnębieni, umówili się z bandytami, że schwytają człowieka, którego uważali za księcia Ineznio. Na twarzy Holroyda musiał pojawić się wyraz konsternacji, ponieważ wygadany pułkownik wybuchnął głośnym śmiechem, po czym stwierdził twardym tonem:

- Jesteś tu już od tygodnia, a nikogo nie zwiodłeś tym nagłym mianowaniem na wysokie stanowiska ludzi, którzy od dawna popierali atak na Nushirvan. Rzecz w tym, że naprawdę sprawują teraz dowództwo. Zasadnicze rozkazy znane są wszystkim wyższym oficerom. By zwieść tych, którzy nie są wtajemniczeni w nasze plany, rozgłosiliśmy wiadomość, że

wybierasz się na werbunek rekrutów. Atak nastąpi i nikt go nie będzie powstrzymywał. Za miesiąc armia ruszy do natarcia.

Holroyd uspokoił się i teraz siedział cicho z ponurą miną. Zerknął szybko na zbliżającą się kawalkadę bandytów. Nie spieszyli się, pewni swojego łupu. Wciąż znajdowali się jakieś osiemset metrów od nich. Świadomość dystansu nie przynosiła ulgi. Bóg Ptah w swojej obecnej kondycji nie był w stanie poradzić sobie z tą sytuacją.

A jednak nie mógł dać się złapać. Czy ci głupcy nie zdawali sobie sprawy, że armia Gonwonlane nie jest przygotowana do ataku na tak górzysty teren jak Nushirvan?

Potrzebowała ona trzech, czterech lub nawet pięciu miesięcy na przegrupowanie. Należało dzień i noc gromadzić zapasy i tak zorganizować służbę transportową, by znalazła się w niej większość ptaków i bestii naziemnych z całego kontynentu. Szybkość natarcia i sprawny transport były jedyną szansą wobec strasznych gór, groźnych wulkanów, bulgoczących, czarnych ruchomych piasków, które tworzyły ogromny, niespokojny przesmyk Nushirvan. W Holroydzie wezbrał lodowaty śmiech. Który spośród tej rzeszy oficerów wiedziałby, co zrobić ze stoma milionami zwierząt i ptaków?

Pułkownik stojący u boku Holroyda powiedział:

- Głupotą byłoby nawet myśleć o stawianiu oporu. Spójrz za siebie. Drugie pół tysiąca ludzi. Nie zdołasz wydostać się z tej zasadzki.

Holroyd nie odwrócił się, ale kątem oka dostrzegł jakiś ruch na stromym wzgórzu, które stanowiło prawą flankę tej cudownie zielonej doliny. Jeźdźcy! Pokonali grzbiet i teraz szarżowali w dół nierównego zbocza. Było to wykonane brawurowo i bezbłędnie. Holroyd zerknął szybko przez lewą ramię i zauważył, że drugą stroną doliny podążają bandyci, którzy wynurzyli się z wąskiego wąwozu. Krąg się zamknął - nie było co liczyć na jakieś strategiczne pomysły, cała rzecz sprowadzała się do miażdżącej przewagi liczebnej.

Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że bandyci i tak będą posuwać się do przodu, Holroyd przeanalizował niespiesznie swoją sytuację. Uświadomił sobie, że istnieją z niej dwa wyjścia. Popędził swego grimba do przodu, w stronę szczupłego, wyprostowanego oficera jadącego na czele żołnierzy. Oficer patrzył na zbliżającego się jeźdźca z gorzkim uśmiechem, który rozwiał wszelkie nadzieje Holroyda co do pierwszej możliwości. Mimo to nie zatrzymał się. Podjechał bliżej i powiedział zwięźle:

- Marszałku Uubrig, proszę rozkazać ludziom, by rozproszyli się we wszystkich kierunkach, co zmyli wroga i być może pozwoli kilku żołnierzom wydostać się stąd.

Dostrzegł, że tamten przygląda mu się z ciekawością,

- Mam to zrobić? - spytał przeciągle Uubrig. Zauważył spokojnie: - Myślę, że byłoby dość trudno namówić do tego ludzi. Widzi pan, to szczególna grupa. Każdy z nich stracił za sprawą bandytów siostrę albo brata, matkę albo ojca. Zdają sobie sprawę, że Nushirvańczykom nie można ufać. Są przekonani, że się poświęcają, ale wierzą, że schwytanie pana jest tego warte. Czy sądzisz, mój wielki Ineznio - zakończył ironicznie marszałek Uubrig - że ludzie, którzy tak myślą, będą skłonni wykonać mój rozkaz?

Holroyd milczał. Przedtem nie zawracał sobie głowy bandytami, ale teraz zrewidował swój stosunek do Nushirvanu. Ani razu nie pomyślał o tym kraju z punktu widzenia jego mieszkańców. Podobnie było z Niemcami, w których zobaczył ludzi dopiero wtedy, gdy zetknął się z nimi w bezpośredniej walce.

Zaatakuj Nushirvan, powiedziała L'onee; podstęp bogini, jej niezwykle starania, by uniknąć takiego ataku, tylko utwierdziły go w przekonaniu, że taka inwazja jest konieczna.

Teraz wydawało się, że jej wszystkie działania miały na celu podstępne wymuszenie ataku.

Zauważył, że najbliższy z jeźdźców znajduje się w odległości zaledwie dwustu czy trzystu metrów. Musiał się pospieszyć, jeśli chciał znaleźć kogoś, kto byłby gotów dopomóc

mu w realizacji drugiego pomysłu. Zawrócił wierzchowca, otworzył usta, by wypowiedzieć głośno żądanie, po czym zawahał się. Pamiętać, czego Ptaħ doznał fizycznie, to jedno, ale doznać tego samemu... to zupełnie inna sprawa.

Jeźdźcy byli już tylko o sto metrów.

- Czy jest tu człowiek, który przeszyje mi serce strzałą? - zawołał Holroyd.

Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył. Jaskrawo ubrani oficerowie zerknęli na siebie, potem popatrzyli z niepokojem na szarżujących bandytów.

- Widzisz, przyrzekliśmy dostarczyć cię żywego - odezwał się pułkownik. - Tylko wtedy możemy mieć nadzieję, że puszczą nas wolno.

Holroyd był spokojny, opanowany, zdeterminowany. Musiał uniknąć tego porwania.

Tam, w swojej kwaterze głównej, miał wolną wolę, możliwość zastanowienia się nad strategią.

Tu znowu poczuł niebezpieczne przyspieszenie biegu zdarzeń, co już kiedyś doprowadziło go niemal do upadku.

Zobaczył, że pułkownik trzyma pięknie wygładzoną drewnianą dzidę o kamiennym ostrzu, taką jakie nosili oficerowie. Zanim ten człowiek zdążył zorientować się w jego zamiarach, Holroyd spiął swojego wierzchowca. Rozegrała się krótka walka. Oficer otworzył ze zdumienia oczy, gdy przeciwnik wyrwał mu z rąk broń, jak małemu dziecku. Holroyd zawrócił triumfalnie grimba. Odwrócił błyskawicznie włócznię i wbił ją sobie w lewą pierś, mocno i głęboko. Jak przez mgłę ujrzał, że zbliża się wataha, licząca na oko z półtora tysiąca bandytów.

Ból przez chwilę był okropny, potem przygasł. Holroyd wciąż odczuwał napór włóczni w miejscu, gdzie weszła w ciało. Zamierzał się pozbyć tego nieprzyjemnego uczucia, gdy tylko będzie to możliwe. Osuwał się z wolna do tyłu, na szeroki grzbiet swojego wierzchowca, uważając, by stopy nie wypadły mu ze strzemion. Ktoś w pobliżu krzyczał ze złości - ale w

języku Gonwonlane.

- A więc tak dostarczacie księcia? Nushir każe komuś za to zapłacić. Okrążyć ich, parszywych zdrajców!

- To nie nasza wina - zaprotestował pułkownik. - Sam widziałeś, jak chwycił moją dźbę i przebił się. Kto mógł się tego spodziewać po tym pięknoduchu?

Holroyd poczuł sympatię do tego człowieka. Rebelianci mieli właściwie rację. Żadna inna grupa nie wykazała się podobną odwagą, stawiając czoło niezniszczalnej kobiecie i kaście kapłanów, najpotężniejszej, jaka kiedykolwiek istniała. Każdy z tych ludzi wziął udział w niebezpiecznym spotkaniu z wrogiem, wiedząc doskonale, że może nigdy nie powrócić.

- Martwy czy nie, muszę dostarczyć ciało! - grzmiał przywódca bandytów. - A teraz ruszajcie, wszyscy. Nie możemy tracić tutaj czasu.

Rozległ się ciężki tupot szponiastych łap; po chwili powolny chód zamienił się w oszałamiający pęd. Po dziesięciu minutach Holroyd pomyślał z goryczą: „Mogli przynajmniej wyjąć włócznię z mojej piersi”. Przeszkadzała mu ona zdecydowanie. Wydawało się niewiarygodne, by zdołał przetrwać cały dzień z twardym ostrzem w ciele. Struktura ciała Ptaha musiałaby być naprawdę niezwykła.

Holroyd zmrużył oczy, aż zamieniły się w szparki. Leżał na grzbiecie wierzchowca, mrugając ku słońcu, które wciąż stało nisko. Było mu niewygodnie, głowa chwiała się na boki; w polu jego widzenia było więcej nieba niż ziemi.

Gdzieś w dali dostrzegł ogromnego skriera z samotnym jeźdźcem na grzbiecie, lecącego z szumem skrzydeł na pomoc. Gdyby tylko ten głupiec dosiadający ptaka zauważył, co się dzieje, pomyślał Holroyd. Jest dość czasu, by wysłać ostrzeżenie i zagrozić tej grupie awanturników dostęp do granicy z Nushirvanem. Ale gdy tak patrzył ponuro, ptak zniknął we mgle nad wzgórzami.

Cały czas czując wbite w ciało ostrze, Holroyd pochylił się do przodu, bezwładnie jak martwy. Wymagało to dużej ostrożności działania, ale zdołał w końcu oprzeć koniec włóczni o zwierzęcą szyję. Zaczął napierać. Poczuł falę bólu, gdy broń przebiła plecy, ale zacisnął zęby i naparł mocniej. Trwało chwilę, nim przepchnął ją do końca. Musiał szukać oparcia dla coraz krótszego drzewca. Wreszcie jednak leżał płasko na grzbiecie grimba, czując napór dzidy, która kołysała się nad nim jak pozbawiony flagi maszt w powiewach gwałtownego wiatru.

Kątem oka zbadał sytuację. Z każdej strony miał jednego jeźdźca; ten z lewej znajdował się niemal dokładnie w linii prostej. Gdyby udało mu się przekręcić na bok... zrobił to.

Natychmiast rozległ się basowy jęk, a potem przekleństwo.

- Och, zamknij się! - nakazał jakiś głos w pobliżu. - Wyciągnij z niego tę włócznię.

Zwłoki się przez to chwieją. Zauważyłem, że przeszła na wylot.

Wrażenie ciężaru zniknęło. Holroyd leżał cicho. Ogarnęło go oszłamiające poczucie zwycięstwa. Wieczorem, pomyślał wściekle, pod osłoną ciemności i wulkanicznej mgły, kto będzie przyglądał się martwemu ciału?

Bas krzyknął głośno, najwyraźniej zdumiony:

- Hej, spójrz, wodzu! Na tej włóczni nie ma krwi. Coś jest nie tak.

Była to prawda. Po minucie Holroyd poczuł, że grimb przystaje. Chwyciły go szorstkie dłonie, ściągnęły na ziemię i zaczęły obmacywać. Następnie odezwał się zadowolony głos przywódcy:

- Żadnych ran. Wydawało rot się dość dziwne, że kochanek bogini jest śmiertelny.

Lepiej się ocknij, Ineznio.

Holroyd podniósł się bez słowa i dosiadł swojego grimba. Bandyci byli, prawie bez wyjątku, barczyści i wysocy. Wielu miało brody i wąsy. Holroyd spodziewał się, że wybuchną szyderczym śmiechem, ale nic takiego się nie stało. Mężczyźni patrzyli na niego, a

napotkawszy jego spojrzenie, z miejsca odwrócili wzrok. Rebelianci zachowywali się tak samo, co było niepokojące; nie wiedział, z którymi się w tej sytuacji zaprzyjaźnić. Reakcja tych ludzi wydawała się nienaturalna, dopóki Holroyd nie uświadomił sobie, co oni ujrzeli:

człowieka z włócznią w sercu, który podniósł się z ziemi bez szwanku i to dość energicznie.

Długie kolumny jeźdźców galopowały przed siebie, wijąc się pośród dzikich wzgórz.

Nadeszło południe, lecz marszu nie przerwano. Jeden z bandytów wręczył Holroydowi mały koszyk z jedzeniem; inni więźniowie, jak Holroyd zauważył, nie dostali niczego.

Z zainteresowaniem sprawdził zawartość swojego koszyka. Znalazł w nim trzy rodzaje owoców -jednego z nich nigdy wcześniej nie widział. Był okrągły, nieduży, miał grubą, miękką, czerwoną skórę i dawał się obierać jak banan. Mięsz przypominał w smaku winogrona. Chleba nie było, innego jedzenia też nie, tylko owoce.

Holroyd, kołysząc się na grzbiecie swojego wierzchowca, dostrzegł obok oficera rebeliantów. Zwrócił się do niego z propozycją:

- Jeśli masz ochotę zjeść zawartość koszyka, dam ci go. W trudnych chwilach mogę obejść się bez jedzenia... - przerwał i uśmiechnął się na ponure wspomnienie; po chwili dokończył: -...przez jakieś siedemset lat.

- Idź do Akkadistranu! - odparł zwięźle oficer. Długie popołudnie przechodziło w wieczór, a Holroyd jeszcze nie zjadł owoców. Jedzenie było cenniejsze dla głodnego człowieka niż ideały. Wierzchowiec Holroyda i grimb oficera - generała Seyteila, jak mgliście przypominał sobie jeniec - zrównały krok.

- Orientuje się pan choćby w przybliżeniu, generale, jak daleko jesteśmy od rzeki wrzącego błota? - spytał.

- Powinniśmy dotrzeć do niej przed zmrokiem - odparł oficer. - Jedziemy w kierunku miasta Trzy, które leży około ośmiu kanbów za rzeką.

Holroyd zmartwił się. Nie wolno mu przekroczyć rzeki. Skoro Ineznia nie była w stanie przekroczyć jej chociażby umysłem, musiało to coś znaczyć. Uznał, że powinien sprawę przemyśleć, i to szybko. Przyglądał się profilowi oficera-rebelianta; wyglądał na twardego człowieka, mimo że odpowiedział na pytanie Holroyda. Pokonanie jego uporu zajęłoby sporo czasu; a właśnie czasu brakowało.

Holroyd wpatrywał się przygnębiony w otaczające ich wzgórza. Wydawały się teraz wyższe niż na początku jazdy. W niewielkiej odległości wystrzelały w górę kolejne szczyty, na podobieństwo smukłych wieżyc i iglic, kopuł i minaretów. Niektóre wyrzucały smugi dymu w coraz bardziej zamglone niebo. Czuł niemal, jak zaciska się wokół niego tajemniczy świat Nushirvanu. Zwrócił się znowu do oficera:

- Daję słowo, że nie zamierzam skorzystać z tego jedzenia - powiedział zniecierpliwiony, przekrzykując ciężki tupot grimbów. - Jeśli sam nie chcesz, oddaj je komuś, kto nie wie, że pochodzą ode mnie. Żywność jest wolna od nienawiści czy ideologu.

Dowódca przyjął tym razem koszyk, zjadł kiść winogron i podał owoce następnemu rebeliantowi. Holroyd nie interesował się już, co dalej stanie się z koszykiem. Spytał:

- A gdybym przysięgł, że przybyłem do Nushirvanu, by walczyć i podbijać, czy zmieniłoby to wasze nastawienie?

- W żadnym wypadku - padła odpowiedź. - Księżę bieżnio jest kukłą bogini. Wiemy doskonale, kim ona jest.

- A gdybym ci wyznał, że nie jestem Ineznio? - spytał poważnie Holroyd. - Że jestem... Ptahem?

Oficer odwrócił się i przyjrzał Holroydowi badawczo. W końcu się roześmiał.

- Taak, to bardzo sprytne. Jest tylko jeden szkopuł: nikt nie zdoła nas przekonać, że taki

ktoś w ogóle istniał. - Przerwał na chwilę. - Chyba źle oceniłem tempo naszej jazdy. Rzeka

wrzącego błota jest już przed nami. Powinniśmy dotrzeć do miasta Trzy przed nastaniem wieczoru.

Zbliżając się do kamiennego mostu, przerzuconego przez rzekę błota, grimby złamały równy szyk. Holroyd widział przez chwilę bulgoczącą maź i bezustanne wybuchy pary. Było tu bardzo gorąco. W ciągu pół godziny wszyscy znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Posuwali się teraz w głąb nushirwańskiego kraju.

Miasto Trzy

W miarę jak most zostawał w tyle za długą karawaną, Holroyd czuł narastające ożywienie. Jak skazaniec w drodze na egzekucję, pomyślał ponuro. Ale wyrzucił to mroczne porównanie ze swojego umysłu. Nie pasowało. Miał nieodparte wrażenie, że znajduje się w centrum wielkich wydarzeń. Czy zwykły śmiertelnik mógł pragnąć czegoś więcej: znaleźć się w przyszłości, oddalonej o dwieście milionów lat, jako półbóg w fantastycznej krainie? Pta! Potężny Pta! Gdyby tylko udało mu się zdobyć wielką władzę, jaka tu na niego czekała, zniszczyłby tę przeklętą świątynną cywilizację. Myśl przygasła. Z coraz większą siłą uświadamiał sobie intensywność swoich uczuć, znacznie mocniejszą teraz, gdy już przekroczył most. Siedział nieruchomo na grzbiecie grimba i pozwalał umysłowi błądzić swobodnie, doznając wszechogarniającego odprężenia. Czekał, wypatrując jakiegoś wewnętrznego sygnału, który dowodziłby obecności w nim nowej i straszliwej mocy. Ale odczuwał jedynie płynne ruchy zwierzęcia, którego dosiadał.

Holroyd zadrżał w nagłym przyływie złości. Do diabła, musi być jakaś różnica. Czuł się teraz inaczej - bardziej czujny, raczej pobudzony niż przygnębiony. Jego wzrok spoczął na pierścieniu, który tak wystraszył Ineznię. Powróciło wspomnienie bajek z dzieciństwa.

Uśmiechnął się niewyraźnie, ujął go, obrócił trzykrotnie na palcu i powiedział:

- Na ten pierścień żądam, by przeniesiono mnie natychmiast do mojej kwatery w

Gonwonlane.

Uśmiechał się dalej, gdy sekundy mijały i nic się nie działo. Spróbował jeszcze raz, zapominając o swoim gniewie. Nadal bez rezultatu. Wiedział doskonale, że tak będzie. Władza boga to nie jakieś tam hokus-pokus. Wyrastała z najgłębszych, najtrwalszych ludzkich emocji. Prastary był to impuls, owa zbiorowa potrzeba boskiej czci i posłuszeństwa. I gdzieś, dawno temu, król imieniem Pta został wyniesiony do godności prawdziwego bóstwa; zyskał swoją

moc od pierwszej chwili, gdy jakiś prymitywny wasal padł pokornie na twarz u nagiach stóp pierwszego wodza-kapłana.

Było oczywiste, że gdy tylko odkryto tak potężną siłę, dowiedzieli się o niej inni mocni ludzie, a domyślając się jej nieboskie-go pochodzenia, starali się ambitnie korzystać z chwały, jaka spływała naturalnym biegiem rzeczy na szczęśliwego nosiciela boskości. Raz odkryta, ta wielka moc mogła być tylko przeniesiona na kogoś innego, lecz nigdy zniszczona. Zawsze jakiś nowy bóg-władca zastępował upadłego. Taka siła nigdy już nie miała zniknąć ze świata. Nawet Ptah wierzył, że zapewnia sobie trwałą kult swojej boskości, zanim dobrowolnie się jej pozbył, by dokonać niepojętego złączenia z ludzką rasą,

Dlaczego w ogóle Ptah zrobił coś tak głupiego? Wyjaśnienie tego z pewnością miałyby znaczenie dla obecnych wydarzeń. Ale żadna odpowiedź nie przychodziła Holroydowi do głowy. Jego umysł mógł równie dobrze pozostać w całkowitym mroku. Kłębiły mu się w głowie różne pytania, a w końcu liczył się już tylko niezmordowany, płynny bieg grimba. Konwój więźniów i strażników parł do przodu, wspinając się coraz wyżej, ku szczytom wzgórz.

Holroyd ujrzał pierwszy zamek. Budowla z ciemnego kamienia przycupnęła niczym ogromna czarownica w spiczastym kapeluszu pośrodku licznych domów na szczycie ufortyfikowanego wzgórza. Widok ten przyprawił go z początku o dreszcz, potem rozbudził w nim dzikie pragnienie; natychmiast zaczął wymyślać taktykę, jaką należałoby zastosować wobec tak potężnej warowni, w świecie pozbawionym oblężniczej artylerii. Rzut zmasowanych oddziałów na skrierach, które pokonywałyby systemy obronne każdego fortu po kolei. Straty przy tego rodzaju akcjach, prowadzonych z dostateczną siłą i szybkością, byłyby minimalne. Takie siły mogłyby ruszyć bezpiecznie do ataku na trzy dni przed wojskami lądowymi i sparaliżować systemy komunikacyjne wroga. Najwidoczniej nigdy nie próbowano

czegoś takiego w bitwach opisywanych przez księgi historyczne. Na szczęście zdążył już nakreślić ten plan kilku marszałkom.

Cienie zalegające dolinę zaczęły się wydłużać. Słońce żarzyło się krwawą czerwienią, zniżając się ku dymiącemu wulkanowi w zachodnim paśmie wzgórz. Na bocznej, wąskiej drodze pojawiły się teraz wozy ciągnięte przez jednorożce - ich nieprzerwany strumień wypływał zza wzgórza mającego przed konwojem. Skręcały w liczne, rozgałęziające się szlaki, które wiodły do fortów i budowli, wieńczących każdy szczyt. Czoło długiej kolumny zaczęło okrążyć wzgórze. Nagle rozległ się stamtąd głośny okrzyk, podjęty przez innych i niesiony crescendo na koniec orszaku:

- Nushir! Od głównego fortu nadchodzi sztandar Nushira. Sam Nushir przybywa, by spytać księcia Ineznio...

Niebawem Holroyd stwierdził, że jego grimb okrążył już wzgórze; ujrzał rozpostarte przed sobą miasto Trzy. Powstanie tego miasta owiane było tajemnicą, która ginęła w mroku dziejów. Istniało niejasne podanie - przekazane mu kilka dni wcześniej przez jednego z oficerów - według którego miejsce to zwało się kiedyś Yit albo Yip, a może Yik. Ale na wszystkich mapach wojskowych Gonwonlane widniała po prostu nazwa Trzy. Co oznaczało, że dwa inne miasta Nushirvanu leżały bliżej granicy: jedno na zachodzie, drugie nieco dalej na wschodzie. To było trzecie.

Trzy było zbudowane na ogromnym płaskowyżu, dalej zaś wspinało się na wzgórza; o zmierzchu przypominało miasto z legend, mroczne, zagadkowe, niczym dziwny i niepojęty sen z pradawnych czasów. Wiatr, który przywiał do Holroyda stłumiony gwar miasta, przyniósł też ze sobą dziwne wonie - nie pozbawioną uroku mieszaną kuchennych zapachów, odoru stajni dla grimbów i gniazd skrierów. Owa woń przenikała wszystko; gdy długi szereg jeźdźców podążał szybko ciemniejącymi ulicami, stawała się jedynym powietrzem, które wdychali,

gęstym, niemal dotykającym i - Holroyd uśmiechnął się ponuro - prawdopodobnie dość nieszkodliwym.

- Książę - odezwał się generał Seyteil. Holroyd odwrócił się. Zanim zdążył coś powiedzieć, oficer o haczykowatym nosie ciągnął szybko:

- Myślałem o tym, co powiedziałaś tam, po drodze! - generał pokazał dłonią kierunek. -

Jeśli jesteś Ptahem, to dlaczego nie okazałeś swojej mocy?

Holroyd zwlekał z odpowiedzią. Zupełnie zapomniał, że pragnął przeciągnąć tego człowieka na swoją stronę. Zgubił tę myśl z chwilą przekroczenia rzeki wrzącego błota; cel, jaki mu przyświecał, umknął podczas tej przeprawy. Holroyd skupił z wolna uwagę na generale. Zdając sobie sprawę, że jeśli będzie dalej zwlekał z odpowiedzią, zostanie posądzony o grę na zwłokę, zaczął wyjaśniać oficerowi swoją sytuację. Tamten przerwał mu z gniewnym zdumieniem:

- Chcesz powiedzieć, że przekraczając tę błotną fosę, zniszczyłeś zakłęcie, które broniło bogini dostępu do Nushirvanu?

- Nie rozumiem, jak to zadziało - odparł Holroyd. - Wydaje mi się, że tkwiło to głęboko w umyśle Inezni; nie mogła się tego pozbyć, pomimo całej mocy, jaką zdołała zebrać.

Było coraz ciemniej i Holroyd z trudem dostrzegał rozmówcę. Ulice oświetlały słabe pochodnie, których blask z trudem przenikał mieszaninę mroku i mgły, gęstniejącą nad miastem. Od strony wzgórz napłynął chłód, który przyniósł znaczną ulgę po straszliwym upale dnia, lecz coraz mroczniejsza noc zwiastowała kres podróży i związane z tym konsekwencje.

Holroyd spytał pospiesznie:

- Co sprawiło, generale, że w ogóle się pan do mnie odezwał?

Nie padła żadna odpowiedź i Holroyd po chwili wzruszył ramionami. Jechał przez jakiś czas w ponurym milczeniu, po czym stwierdził:

- Przypuszczam, że większość z was zostanie zesłana do Akkadistranu. Co Zarda robi z uprowadzonymi ludźmi?

Tym razem z ciemności dobiegł ironiczny śmiech. Po chwili generał odpowiedział:

- Według doniesień Zarda potrzebuje kolonistów. Ale ponieważ nigdy nie zdarzyło się, by z takiej kolonii uciekł choćby jeden więzień, spodziewamy się najgorszego. Krążą niewiarygodne opowieści... Pytasz, dlaczego się do ciebie odezwałem? Bo wydaje mi się, że twoje twierdzenie, jakobyś był Ptahem, może się nam przysłużyć, bez względu na to, czy jesteś nim naprawdę. Twoją opowieść o buntowniku Tarze w świątyni w Linn można sprawdzić. -Po chwili oficer dodał bez związku: - Jak powiadam, myślałem o tym i nagle przypomniałem sobie o naszej pozycji. I uświadomiłem sobie, że podlega ona niedostrzegalnej zmianie - roześmiał się cicho. - O! Zwalniamy.

Tak było w istocie. Zmiana tempa przebiegała bez zakłóceń, płynnie, jak cała podróż.

Wielkie bestie zwolniły kroku w sposób naturalny, po prostu w pewnej chwili przestały podążać przed siebie. Pchane siłą rozpędu sunęły jeszcze chwilę płynnym, wdzięcznym ruchem. Nawet kiedy już się zatrzymały, trudno było sobie uświadomić, że dynamiczny pęd tak łatwo przeszedł w całkowity bezruch.

Holroyda otoczyli ludzie.

- Tędy, książę Ineznio. Masz się bezzwłocznie udać do szlachetnego Nushira.

Poprowadzono go długim marmurowym korytarzem, otwierającym się przy końcu na obszerny pokój. Siedział tu jakiś mężczyzna w towarzystwie dwóch kobiet.

Nushir z Nushirvanu

Nushir z Nushirvanu był tęgim, wysokim, niebieskookim młodzieńcem. Krzesła obu jego żon stały za wielkim tronem władcy, z prawej strony.

Kiedy Holroyd wszedł do sali, kobiety automatycznie nachyliły się ku sobie, wyszeptały coś jednocześnie, po czym skinęły głowami jak na sygnał. Jedna była szczupła i ciemnowłosa, druga pulchna i jasnowłosa, a obie zachowały się tak, jakby dzieliły między siebie jedną myśl, po czym wypowiadały jaw ducha całkowitego porozumienia. Uwaga Holroyda skupiła się na kobietach; z trudem oderwał od nich wzrok dopiero wtedy, gdy Nushir zaczął mówić. Tylko mgliście uświadomił sobie, że strażę wycofały się za zamknięte teraz drzwi.

- Jesteś naprawdę Ineznio? - spytał pulchny władca.

Zachowywał się z nieprzyzwoitą skwapliwością. Wychylił się do przodu, a oczy błyszczały mu niezdrowym podnieceniem, po prostu chciwością. Holroyd przytaknął, ale poczuł się nieswojo. Nie ulegało wątpliwości, że dziedzicznemu wodzowi bandytów bardzo zależy na tym, by dobić z rebeliantami targu w zamian za schwytanie bieżnia. Holroyd czekał w napięciu, a Nushir mówił dalej:

- I to ty dowodzisz atakiem, wymierzonym w mój kraj?

Holroyd pojął wreszcie, w czym rzecz. Wpatrywał się w swojego pulchnego rozmówcę spod zmrużonych powiek, zafascynowany możliwościami, jakie dawała mu ta sytuacja. Jeśli postąpi właściwie, będzie wolny w ciągu dziesięciu minut. Stał i czekał, aż ułożą się wszystkie elementy łamigłówki, aż pomysł wyklaruje się do końca. Wyraźne przerażenie Nushira stało się nagle zrozumiałe.

Matowo niebieskie oczy pałyły nieprzyjemnym żarem, duże, mięsiste dłonie otwierały się i zamykały, jakby chciały złapać jakiś niezwykle pożądany przedmiot. Grube wargi były

rozchylone, a miękkie, ciężkie nozdrza rozdęte. Już sam wygląd władcy ujawniał prawdę.

Nushir z Nushirvanu dowiedział się, że ma zostać zaatakowany; chociaż w przeszłości inwazje kończyły się niepowodzeniem, przestraszył się nowej groźby. Holroyd zaczerpnął powietrza i stwierdził:

- Jeśli przedsięwzięłeś zwyczajowe środki obronne, to nie musisz się martwić.

- Co masz na myśli?

- Atak - ciągnął chłodno Holroyd - ma zadowolić nasze buntownicze elementy. Nikt nie ma zamiaru walczyć na serio. Pamiętaj, że chwytając mnie działasz na korzyść ludzi, którzy chcą cię zniszczyć.

- On kłamie - odezwała się ciemnowłosa kobieta wysokim i szorstkim głosem.

Pociągnęła tłustego mężczyznę za ramię. - Zbyt długo się wahał przed udzieleniem odpowiedzi, jest zresztą coś dziwnego w jego zachowaniu. Poddaj go bezzwłocznie torturom. Musimy dowiedzieć się prawdy.

- No, no - powiedział Holroyd - widzę, że rząd w Nushirvanie funkcjonuje identycznie jak w Gonwonlane.

Niebieskie oczy przyglądały mu się ponuro. Można było w nich dostrzec niepewność i ciekawość. W końcu Nushir nakazał:

- Wyjaśnij to.

- Na czele obu stoją kobiety - odparł zimno Holroyd; żony władcy aż sapnęły z wrażenia. Swoim zwyczajem nachyliły się ku sobie, ale żadna nie otrzymała chyba zadowolającej odpowiedzi, bo wyprostowały się, wyraźnie zmieszane.

Nushir siedział ospały i niezdecydowany, ale poruszył głową z ledwo dostrzegalnym zniecierpliwieniem, gdy ciemnowłosa kobieta znów pociągnęła go za ramię. Nie wyczuwając nastroju swego pana, przemówiła, zwracając się po części do niego, a po części do Holroyda:

- Jest tylko jeden władca w Nushinran, ale my jesteśmy jego żonami i mamy na względzie jego dobro. Nasz blask jest jedynie odbiciem jego chwały. Gdy mu doradzamy, to tylko jako niezbędne instrumenty jego władzy. Teraz wyczułyśmy kłamstwo, a zatem doradzamy tortury. Natychmiast.

Ostatnie słowo prawie wykrzyczała i spojrzała gniewnie na Holroyda, który gwizdnął pod nosem. Próba wbicia klina między męża a żony obróciła się przeciwko niemu. Pojawiło się pytanie: co z ciałem takim jak jego mogły uczynić tortury? A jeśli oznaczało to, na przykład, amputację nogi? Te mrożące krew w żyłach spekulacje skończyły się, kiedy zauważył wyraz twarzy jasnowłosej żony.

Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie przeciętnie ładnej; odległość od tronu Nushira wskazywała, że zajmuje pozycję drugiej żony. Teraz zaszła w niej zmiana. Wyprostowała się, nie tylko fizycznie, ale jakby duchowo. Oczy płonęły żywo, policzki nabrały kolorów.

Siedziała przez chwilę nieruchomo, pogrążona w myślach, po czym odezwała się dźwięcznym głosem:

- Mów za siebie, Niyi. Jeśli książę nie kłamie - a to, co wiemy o Gonwonlane, potwierdza jego słowa - jest naszym sprzymierzeńcem, nie wrogiem. Należy zwołać na jutro rano naradę w bardziej sprzyjających okolicznościach. Proponuję, by dostarczyć naszemu gościowi na noc kobietę i przydzielić apartament.

Zapadła cisza. Niyi, ta ciemnowłosa, dwukrotnie otwierała usta, by przemówić, dwukrotnie obracała się ku jasnowłosej z zaciśniętymi pięściami, ale za każdym razem zaskoczenie brało górę nad wolą działania. Zerknęła w końcu na swego pana i czekała.

Nushir siedział w zamyśleniu, głaszcząc się po gładkim, okrągłym podbródku, ale w końcu zaczął przytakiwać.

- Tak się stanie, sam doszedłem do takiego wniosku. Nasz gość zajmuje wysokie

stanowisko, wolno mu więc wybrać jedną z dwóch moich żon. Rano zaś pomówimy i jeśli osiągniemy kompromis, odeślemy księcia Ineznio pod eskortą skrierów na jego linie bojowe. -

Zamilkł na chwilę, po czym zakończył: - Którą z moich dwóch żon wybierasz, Wielki Książę?

Odmowa oczywiście nie wchodziła w rachubę. Byłaby równoznaczna ze śmiertelną obrazą. Wybór zaś był tak oczywisty, że wymagał jedynie chwili namysłu. Holroyd odparł poważnie:

- Wybieram tę, która zwie się Niyi. Dzięki ci, wielki Nushirze, za ten honor. Nie będziesz tego żałował.

Jakim byłbym głupcem, pomyślał Holroyd, gdybym pozostawił tę wrogo nastawioną niewiastę sam na sam z jej mężem, by mogła przez całą noc bez przeszkód uprawiać swoją propagandę! Nushir stwierdził zaskoczony:

- Sądziłem, że, podobnie jak inni, tak sarno uhonorowani, wybierzesz jasnowłosą Calyę. - Wzruszył ramionami i zwrócił się z uśmiechem do ciemnowłosej żony: - Będzie to dla ciebie interesujące doświadczenie, Niyi.

Pociągnął za jedwabny sznur, zwisający z sufitu. Niemal natychmiast w sali zaroilo się od służących. Po dziesięciu minutach Holroyd znalazł się sam na sam ze swoją nocną wybranką.

Na drugim końcu sali widniało wielkie, ozdobne okno. Ledwie raczywszy spojrzeć na ciemnowłosą kobietę, Holroyd podszedł do niego i wyjrzał na zewnątrz. W dole rozciągało się miasto Trzy. Płonące bladym światłem pochodnie uliczne przywodziły na myśl zaciemnione przed nalotem miasto europejskie sprzed milionów lat.

Uczucie podniecenia, które pojawiło się po przekroczeniu mostu, znowu się wzmoгло.

Bez względu na okoliczności Holroyd miał wrażenie, że jego umysł ze wszystkich stron ogarnia zadowolenie. To prawda, doznał porażki, przekraczając rzekę wrzącego błota, ale teraz

odzyskał wolność, by móc powrócić do Gonwonlane. Co przeważało, zwycięstwo czy klęska - wiedząc tak niewiele, Holroyd nie miał szansy tego ocenić. Prawdopodobnie sytuacja była niekorzystna, ale przynajmniej, dzięki uwolnieniu, miał czas, by wszystko przemyśleć i przygotować się na następny atak. Tu i teraz musiał nakreślić linię i powiedzieć: ani kroku dalej. Od tej pory należy działać z najgłębszą rozwagą.

Holroyd roześmiał się cicho. Człowiek żyjący w świecie, którego prawie nie zna, musi podjąć ważne decyzje, ale nie może dowiedzieć się najważniejszych rzeczy dostatecznie szybko. Mimo to czuł się o wiele lepiej jako wolna istota!

Porzucił spekulacje i przypomniał sobie Niyi. Postanowił oczywiście, że ją przyjmie - skoro już została zaoferowana. Gdyby się z czymś wygadał, na pewno by o tym doniosła, co mogło źle się skończyć. Nie należało ryzykować. Odwrócił się od okna i zobaczył zdumiony, że ciemnowłosa Niyi stoi z uchem przyciśniętym do drzwi prowadzących na korytarz, nasłuchując z uwagą. Przewróciła oczami i spojrzała na Holroyda, po czym - ku jego zaskoczeniu - położyła palec na ustach w odwiecznym geście ostrzeżenia. Potem podeszła do niego z gracją.

- Musimy działać szybko - syknęła. - Bardzo wszystko skomplikowałeś, wybierając Niyi zamiast Calyi, w którą się wcieliłam, zanim zaczęła przemawiać na twoją korzyść. Musiałam w ostatniej chwili przeskoczyć w drugie ciało; złotowłosa kobieta będzie pamiętać mgliście, że ją posiadałeś, a to da nam trochę czasu, zanim zaczniesz o tym opowiadać.

Urwała. Holroyd zaczął gwałtownie:

- Co u... -ale zamilkł i stał teraz nieruchomo jak kamień. Oczy zmieniły mu się w dwie wąskie szczeliny. A zatem sterowano nim znowu! - Kim jesteś? - spytał Chrapliwie.

Kobieta wyszeptała:

~~ Jestem tą, która wspinała się po Wielkim Klifie, która próbowała cię zabić i dała ci

pierścień Ptaha. Cofnij się myślami w przeszłość: czy mówiłeś komuś, że mnie widziałeś? Jeśli nie, to musisz wiedzieć, że nie jestem Ineznią. - Mówiła pospiesznie dalej, nie bacząc na to, że Holroyd chce jej przerwać: - Nie wolno nam zwlekać, wierz mi. W tej właśnie chwili Ineznią znajduje się w głównym pałacu Nushira, starając się za wszelką cenę zniszczyć boski tron Ptaha. Tron jest ostatnią z... -Nagle słowa zamieniły się w bełkot, jakby język stał się nagle zbyt duży w jej ustach. Przełknęła z wysiłkiem, spróbowała jeszcze raz, po czym zrezygnowała; najwyraźniej to co, chciała powiedzieć, zmusiło ją do bolesnego milczenia. Dokończyła nagle: - Musimy udać się tam bez zwłoki. Za godzinę, nawet za minutę może być za późno. Posłuchaj, Ptahu, wiem doskonale, jak często byłeś oszukiwany. Nic na to nie poradzę. Musisz zaryzykować jeszcze raz, i to natychmiast!

O dziwo, pod wpływem jej słów stanowczość Holroyda, tak niezachwiana, tak głęboko zakorzeniona, ustąpiła, bo to, co powiedziała, było prawdą. Nie mówił nikomu o wychudłej kobiecie; niechęć Inezni na widok pierścienia wydawała się teraz potwierdzeniem tożsamości tej, która mu go dała. Ineznią nie wiedziała, na pewno nie wiedziała, że tamta kobieta spotkała go nad urwiskiem, nawet jeśli się domyślała, że tak mogło być. A więc miał przed sobą uwięzioną od niepamiętnych czasów L'onee; jeśli teraz L'onee mówi mu, że nie ma czasu do stracenia, to na pewno ma rację.

Teraz, gdy o tym myślał, usiłowania Inezni, aby go porwać, wydały mu się z jej strony skrajną nieostrożnością. W ogóle nie liczyła się z tym, że może wzbudzić podejrzenia. Przedtem nigdy tak nie postępowała. Musiało to oznaczać, że zbliża się do końca realizacji swoich planów. Mur obronny, jaki Ptah wznosił dawno temu, zaczynał kruszeć. To szaleństwo z jego strony, że wiedząc o tym jeszcze tu był. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Powód jego wahania wydawał się zbyt ważny, by go lekceważyć. Powiedziano mu, że musi zasiąść na boskim tronie Ptaha i że dzięki temu odzyska prastarą, straszliwą władzę boga.

Wydawało się to śmieszne, ale przecież obie, zarówno Ineznia, jak i L'onee, powiedziały, że tak właśnie ma być. Dlaczego Ineznia powierzyła mu, pośród tylu drobnych kłamstw, tę jedną wielką prawdę? Dlaczego w ogóle powiedziała mu o tronie? Musiała to zrobić z tego samego powodu, z jakiego ujawniła mu istotę pozostałych tarcz ochronnych, pozbawionych teraz mocy. Fakt, że mu powiedziała, miał psychologiczne uzasadnienie. Skierowało to jego umysł na ten odległy cel, podczas gdy ona mogła się skupić na realizacji bieżących zamiarów. A teraz znajdowała się już na ostatnim okrążeniu. Należało podjąć zdecydowane działania.

Dostrzegł, że L'onee obserwuje go szeroko otwartymi, pełnymi rozpaczy oczami.

Wdzięczny, że nie zakłóciła toku jego myśli, spytał pospiesznie:

- Jak się stąd wydostaniemy?

- Idź za mną, jakbyśmy udawali się na spacer- odparła.-Ciepłe ubrania znajdują się w komnacie obok gniazda skrierów. Niyi jest żoną przywódcy, więc jako Niyi mogę zażądać eskorty skrierów o każdej porze dnia i nocy bez konieczności tłumaczenia się. Chodź!

Holroyd pobiegł z nią do drzwi, ale nagle zawołał:

- Poczekaj! Między więźniami jest generał Seyteil. Czy można jakoś dostarczyć mu skriera i pomóc w ucieczce? Myślę, że przydałby się w Gonwonlane, podczas gdy...

- To niemożliwe - przerwała mu L'onee. - Takie działanie wzbudziłoby podejrzenia.

Zresztą mamy za mało czasu! Prędzej! Po kwadransie unosili się już w powietrzu.

Kraina wulkanów

Zrobiło się bardzo zimno. W dali majaczyły jeszcze wyższe góry, ciemne, ponure i dzikie - pod dziwnie bliskimi gwiazdami. Nie wszystko było pogrążone w szarości. W tym lodowatym świecie z tysięcy kraterów wystrzelały wulkaniczne ognie, zamieniając noc w przerażające widowisko, pełne czerwonych płomieni i czerwono-czarnego dymu. Słupy ognia biły w niebo każdy oddzielnie i roztaczająca się wokół noc wydawała się przez to jeszcze ciemniejsza, zaś pozostałe góry - zimniejsze i groźniejsze. Skriery omijały przestrzeń powietrzną nad kraterami, trzymając się szlaku wolnego od ognistych wyziewów; widocznie wołały lodowaty chłód.

Holroyd czuł wyraźnie, że wielki ptak, na którym siedzieli razem z L'onee, jest coraz słabszy, coraz bardziej zmęczony. Już dwukrotnie zadrżał ze strachu, gdy jego skrier, a za nim pozostałe, wzbijały się desperacko w górę, by ominąć sterczące w niebo iglice.

Nie wiedział, w którym momencie zaczął się lot w dół. Może wtedy, gdy jego umysł, kierowany własnym instynktem, po raz pierwszy wybiegł w przyszłość i próbował sobie wyobrazić, jaki będzie kres tej podróży. W każdym razie Holroyd zauważył, że ptaki lecą swobodniej i szybciej; wyczuł też, że powietrze się ociepliło. W dole błysnęło światłami jakieś miasto, potem drugie, i jeszcze następne. Nawet ziemia między tymi skupiskami światła nie była już pogrążona w ciemności, lecz błyskała niezliczonymi plamami bladożółtych punkcików. Pierwsze z tych miast przycupnęły w dolinach między potężnymi szczytami, lecz wkrótce ta wyszczerbiona przeszkoda ustąpiła miejsca łagodniejszym wzniesieniom, wreszcie prawie całkiem płaskiemu obszarowi. Powietrze pachniało balsamicznie, miasta ciągnęły się w nieskończoność. Ledwie jedno niknęło w mroku, a już pojawiała się następne.

Upłynęło półtorej godziny od przelotu nad pogórzem, kiedy L'onee obróciła się w

siodle i krzyknęła z wiatrem:

- Khotahay, stolica!

Wymówiła tę nazwę w taki sposób, że zabrzmiała jak egzotyczna, przyspieszająca bicie serca muzyka. Lecz w nocnej ciemności miasto wyglądało jak wszystkie inne; było tylko większe, sięgało aż do pasma wzgórz na północy, na wschodzie zaś opierało się o szeroką rzekę. L'onee znów się odezwała:

- Niewiele brakowało, żebym wczoraj przyleciała tutaj, zamiast do... - Nie usłyszał dokąd, bo ostatnie słowo uleciało w powiewie wiatru. - Ogarnęła mnie panika, gdy nie znalazłam cię przy żadnym z dwunastu mostów na rzece wrzącego błota. Co jakiś czas sama próbowałam ją przekroczyć, a kiedy w końcu mi się udało, wiedziałam, że przełamałeś szóste zaklęcie i że dlatego cienie znalazłam. Co prawda i tak nie mogłabym kontrolować tylu przepraw naraz. Zostałam złapana, gdy leciałam nad miastem, ale oczywiście nie przejmowałam się tym zbyt. Zdążyłam już wcześniej zlokalizować główny fort i natychmiast weszłam w ciało jednej z ważniejszych służących. A potem, w odpowiedniej chwili, przeskoczyłam bez trudu w ciało Calyi, jasnowłosej żony Nushira.

Holroyd słuchał wyjaśnień L'onee jednym uchem; to, co opowiedziała, uzupełniło drobne braki w historii jej życia od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Lecz gdy patrzył na zbliżającą się stolicę, jego myśl wybiegała naprzód. Tam była Ineznia. I tron Ptaha.

Trudno mu było wyobrazić ją sobie. Silna, pełna pasji złotowłosa bogini wydawała się nierzeczywista-tu, w górze, w nocnej ciemności, gdy zawodzący wiatr szarpał jego ciało spoczywające płasko na grzbiecie ptaka, a ogromne czarne skrzydła potężnej bestii wznosiły się i opadały gwałtownie, raz za razem.

Boski tron w ogóle nie miał fizycznej formy. Umysł Holroyda nie mógł stworzyć żadnego obrazu. Ale przecież musiał istnieć, tam, w dole! L'onee w to wierzyła, a Ineznia

opierała wszystkie swoje plany na niezachwianym przekonaniu, że tron jest namacalną rzeczywistością. Ptaħ musiał im dawno temu o tym powiedzieć. Oczywiście niewykluczone, że wprowadził je w błąd, ale było to niebezpieczne założenie.

Gdybym był Ptaħem... - pomyślał Holroyd, po czym uśmiechnął się, bo zdał sobie nagle sprawę, że to bzdura. Przecież był Ptaħem. W każdym razie nie istniał prócz niego drugi Ptaħ.

Gdybym był Ptaħem, myślał dalej, i nie ufał jednej z tych dwóch kobiet -a może nawet obu - nie naraziłbym głównej tarczy obronnej na najmniejsze nawet ryzyko. Musiałbym coś wymyślić - coś, co by zaszokowało albo pokrzyżowało szyki każdemu intrygantowi. Nie pozostawiłbym sprawy głównej tarczy własnemu losowi, by sprowadzić wszystko do alternatywy - zasiąść na tronie czy nie!

Skriery zanurkowały z piskiem. W dole, w blasku świateł, ukazał się wielki dziedziniec.

Ptaki schodziły jeden za drugim i siadały po kolei na lądowisku jak potężne samoloty.

Słudzy, poznawszy twarz Niyi, kłaniali się nisko. Pomagali gościom zdejmować futra i prowadzili ku otwartym drzwiom.

- Nie budźcie mieszkańców pałacu - nakazała L'onee- Niyi. -Gość Nushira i ja pójdziemy bez eskorty.

Wzdłuż oświetlonego korytarza stali w równych odstępach strażnicy, prężąc się na baczność; wysocy i brodaci, dziwnie wyglądali w swoich mundurach. Stali sztywno, gdy mijała ich para gości. Holroyd wyszeptał w końcu:

- Wiesz, gdzie ona jest? Gdzie jest tron? Czuł napięcie i podniecenie, wiedział, że to najważniejszy moment jego życia.

L'onee odparła szeptem:

- Wiem dokładnie, gdzie jest tron. W końcu Niyi też to wiedziała... O, tam - pokazała drzwi na końcu korytarza.

Duże, bogato zdobione wrota były zamknięte. Holroyd wypróbował na nich swoją siłę.

Drewno zadrżało od potężnego ciosu, lecz nie pękło.

- Poczekaj! - nakazała gorączkowo L'onee. - Nie ma wątpliwości, że ona jest w środku, ale niech to strażnicy wyważą drzwi. Tym razem dysponujemy władzą - dodała z satysfakcją. - Nie ma w całym pałacu ciała, które Ineznia mogłaby przejąć i postawić się ponad Niyi. Ja... - urwała i westchnęła cicho.

Drzwi otwarły się z wolna, a za progiem ukazała się Ineznia. Przy czarnej aksamitnej sukni jej włosy przypominały złotą koronę. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wejdźcie. Oczekiwałam was.

Bitwa bogiń

Niebieskie oczy bogini bieżni ciskały żółte płomienie, jej uśmiech to przygasał, to rozpalał się na nowo, jakby radość przychodziła i odchodziła.

- Czekałam na was - powtórzyła. - Wejdźcie obydwój. Chętnie opowiem wam o wszystkim.

Jej zwycięski nastrój zapadł w umysł Holroyda. Uśmiechając się ponuro, postąpił do przodu, ale zatrzymał się chwiejnie w pół-kroku, gdy głos Niyi zadźwięczał ostrzeżeniem wypowiedzianym przez L'onee:

- Ptahu, zaczekaj! Wyczuwam tu coś złego.

Holroyd odzyskał równowagę, po czym znieruchomiał. Nie ze strachu; wyłącznie z ogromnego zaskoczenia. Nasiliło się wrażenie nierealności, którego doznawał już wcześniej.

Przez chwilę żywił niewzruszone przekonanie, że śni. Po minucie jednak stał nadal w tym samym miejscu, przyglądając się delikatnej, uśmiechniętej twarzy przed sobą. Kobiety o tak dziewczęcej urodzie, pomyślał Holroyd, nie powinny okazywać triumfu. Bogini znów przemówiła:

- Jakże jesteśmy melodramatyczne, L'onee. Oczywiście, że wyczuwasz coś złego - mianowicie własną porażkę. Jeszcze się wahasz? Zapewniam cię, że nikt nam nie będzie przeszkadzał. Naprawdę musisz spojrzeć na tron, który przypadłby wam w udziale, gdybyście zjawili się tu sześć godzin temu.

Zapraszam, powiedział pajak do muchy, pomyślał Holroyd. Wzmianka o tronie zupełnie go nie poruszyła. Jego umysł zaprzętało pytanie, dlaczego Ineznia jest taka pewna, że nikt nie będzie im przeszkadzał. Było to dziwne, bo dostrzegł na korytarzu kilka kobiet. Nagle uderzyła go pewna myśl. Obrócił się gwałtownie ku L'onee.

- Przyszło mi właśnie do głowy, że nie widziałem żadnej z was w męskiej postaci. Czy może...

L'onee stała obok niego marszcząc brwi, jakby próbując wychwycić coś, co jej umykało. Teraz podniosła wzrok.

- Tylko kobiety, Ptahu, albo zwierzęta-samice. Jest pewne prawo fizyczne, które...

Urwała i spojrzała szeroko otwartymi oczami, jak Ineznia pada bezwładnie na podłogę.

Po chwili krzyknęła przeraźliwie:

- Ptahu! Ona weszła w czyjeś ciało!

Kobiety były teraz tuż za nią; jedna z nich szukała czegoś pod suknią. Błysnął ostry jak brzytwa kamienny nóż. Holroyd, uśmiechając się z nagłym zrozumieniem, odsunął L'onee i nadstawił własny bok, w który wbił się ciśnięty nóż. Wciąż się uśmiechając, wyszarpnął go z ciała. Rzucił szybkie spojrzenie na Ineznię; bogini nie zdradzała żadnych oznak życia. Była jedną z pięciu kobiet; mogła wejść w każdą z nich. Coraz silniej sobie uświadamiał, jakie niebezpieczeństwo im grozi.

- Prędszej, L'onee - ponaglił. - Każ tym kobietom natychmiast odejść. Ta, która jest we władaniu Inezni, będzie próbowała zabić Niyi, a tym samym zmusić cię do wcielenia się w jakąś mniej ważną osobę. Prędszej!

Umysł L'onee był szybszy od jego słów. Wydała dźwięcznym głosem ostry rozkaz.

Trzy kobiety ruszyły posłusznie z powrotem tą samą drogą, którą przyszły. Jedna z dwóch pozostałych stała niezdecydowana, ale druga krzyknęła:

- Wracajcie tutaj! To nie jest królowa Niyi, ale uzurpatorka. Królowa przebywa teraz z naszym panem na granicy, o czym wszyscy wiedzą.

Ta, która mówiła, sprawiała wrażenie osoby ważnej, najpewniej jakiejś nadzorczyń.

Słyszając jątrzy kobiety, które już były dość daleko, odwróciły się przestraszone, a jedna z nich

zawołała drżącym głosem:

- Skoro tak, to dlaczego nie wezwać straży? L'onee, schowana za Holroydem, spytała szeptem:

- Co mam robić? Sama wezwać straż?

Holroyd wahał się. Jego umysł nie potrafił ogarnąć bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Cały czas wybiegał do przodu, starając się uchwycić ogólniejszy sens, dostrzec potencjalne korzyści wynikające z każdej sytuacji. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, jaką straszliwą siłę posiadały Ineznia i L'onee -ową możliwość przechodzenia z ciała do ciała.

Mogły wejść wszędzie tam, gdzie bywały kobiety, i od razu zacząć zabijać, na lewo i prawo.

Zaskoczenie byłoby niesłychane. Nic nie mogło się oprzeć takim szamańskim sztuczkom. Całe fortyfikacje musiały padać bez walki, w obłąkańczym wirze bratobójczych zmaganiań albo samobójczej śmierci.

Stało się oczywiste, że dni Nushirvanu jako niepodległego państwa są policzone. Teraz, gdy Ineznia mogła do woli przekraczać rzekę wrzącego błota, odwieczna nietykalność tego kraju została unicestwiona. Holroyd bardzo chciał się dowiedzieć, dlaczego Ineznia nie pokonała już dawno olbrzymiej krainy Akkadistranu, która, jak wszystko na to wskazywało, nie była w ogóle chroniona. Jednak bezpośrednie niebezpieczeństwo czyhało na nich tutaj.

Było jasne, że L'onee i on, Holroyd, zjawili się, zanim Ineznia zdążyła zrealizować swój cel. Chociaż była tak pewna siebie, nie mogła widocznie w tak krótkim czasie zniszczyć boskiej mocy tronu. Musiał ogarnąć ją strach, kiedy usłyszała, jak Holroyd wali do drzwi, ale szybko odzyskała rezon. Natychmiast opracowała nowe plany, weszła w ciało kobiety, która miała posłuch u podwładnych, a pozostałe odesłała z powrotem. Potem, powróciwszy do własnego ciała, podeszła do drzwi, zyskując w ten sposób na czasie. I oto był rezultat: pięć kobiet, które, odpowiednio kierowane, mogłyby z łatwością zniszczyć ciało L'onee.

Później można by zabić wszystkich świadków, nad którymi Ineznia nie miała władzy, albo zmusić ich do samobójstwa. Jedyny ocalały świadek przysięgłby, że to Holroyd zamordował Niyi. Oskarżony o takie przestępstwo, osadzony w więzieniu, w żaden sposób nie mógłby przedostać się do pomieszczenia z boskim tronem. Przez ten czas Ineznia spodziewała się osiągnąć swój cel.

Był to przebiegły, choć desperacki plan, niewiele wart w zestawieniu z armią pięciu miliardów żołnierzy, jaką mogła zebrać, by spełniła się jej wola w Gonwonlane. Lecz mimo wszystko był to plan niebezpieczny.

Holroyd syknął do L'onee:

- Dobrze, wezwij straż. Przecież eskorta, która towarzyszyła nam od granicy, potwierdzi, że jesteś Niyi.

Straż pojawiła się w ciągu minuty i ujęła tamte kobiety. Nikt nawet nie podawał w wątpliwość tożsamości Niyi. Analizując poniewczasie sytuację, Holroyd doszedł do wniosku, że plan całej akcji zrodził się pod wpływem chwili, pod naporem niespodziewanych wydarzeń.

- Zamknijcie te kobiety w ich pokojach, ale uwolnijcie nad ranem - rozkazała L'onee. -

Będę miała jeszcze okazję skarcić je za ich bezczelność.

Jeden ze strażników popatrzył na nóż w dłoni Holroyda i wskazał na Ineznię, która podnosiła się z ziemi.

- Co z nią? - spytał.

L'onee uśmiechnęła się i powiedziała zimno:

- Nie zabierajcie jej.

W chwilę później pozostali sami. Holroyd zauważył, że obie kobiety nie spuszczaają z siebie oka, ale tylko L'onee się do niego uśmiecha.

Miał je już wyminąć i wejść do sali, gdy nagle uderzyła go intensywność ich spojrzeń.

Zatrzymał się i zerkał to na jedną, to na drugą, zaskoczony. L'onee pierwsza przerwała milczenie, przeciągając słowa:

- Nooo, kochana Ineznio, co ty na to? Nic nie wyszło z twojej intrygi, przegrałaś. -

Uśmiech L'onee przygasł; rzuciła pospiesznie w stronę Holroyda: - Chwileczkę, Ptahu.

Poczekaj, aż zbadam próg tych drzwi. Jeśli udało jej się położyć tu ochronną barierę...

Osunęła się na kolana i zaczęła przesuwając ostrożnie palcami wzdłuż dywanu. Kiedy dotarła do drzwi, Ineznia ruszyła naprzód i kopnęła ją mocno w rękę. Wtedy L'onee, chichocząc, złapała ją zwinnie za stopę. Wykrzywiła się dziko i pociągnęła z całej siły. Holroyd sapnął z wrażenia, gdy delikatna Ineznia poleciała jak z procy w głąb pokoju. Odzyskała równowagę, znów ruszyła do przodu, po czym zatrzymała się z wysiłkiem, krzywiąc się gniewnie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak gwałtowną nienawiścią darzyły się te kobiety.

- Kiedy upłynie sześć miesięcy, zniszczę cię, kawałek po kawałku - syknęła Ineznia.

L'onee roześmiała się bez radości.

- A zatem mam jeszcze sześć miesięcy, prawda? Dziękuję, moja słodka, że mi o tym przypomniałaś. - Teraz zwróciła się do Holroyda: - Jestem prawie pewna, że nic nie może nas powstrzymać przed wejściem do tej sali. - Podniosła się z klęczek, śmiejąc się perliście. - Och, Ptahu, Ptahu, czeka nas zwycięstwo, a wszystko dlatego, że Ineznia wystraszyła się z powodu mojej ucieczki.

Na twarzy Holroyda musiało pojawić się zdumienie, bo L'onee wyjaśniła pospiesznie:

- Według jej pierwotnego planu miałeś zaatakować Nushirvan, a tym samym przekroczyć rzekę wrzącego błota. Przejście wraz z armią przez te góry zabrałoby ci tygodnie,, może nawet miesiące, zanim dotarłbyś do pałacu. Przez ten czas ona mogłaby zająć się tronem, i jestem pewna, że potrafiłaby go zniszczyć. Lecz ten pierścień, który ci dałam, wystraszył ją.

Była to tylko pieczęć Ineznia, ale gdy brałam go z gabinetu, napełniłam pierścień częścią mojej

mocy. Uznała to za wypowiedzenie wojny i zamiast znosić jeszcze jakiś czas moją dokuczliwość, zrobiła to, co zrobiła.

L'onee znów wybuchnęła śmiechem - chrapliwym, ale radosnym śmiechem Niyi.

Ineznia stała nieruchomo w głębi sali tronowej. Jej twarz miała barwę kredy, lecz oczy były niebieskie, zimne i groźne, gdy przemówiła:

- Chyba jesteś świadoma tego, że w końcu umrzesz, L'onee. Moc, jaką Ptaħ zaczerpnie z tronu, nigdy nie będzie całkowita. Pełna moc płynie tylko z modlitwy, a ja już dawno temu dopilnowałam, żeby nikt się nie modlił. Przypuszczam, że znajdziecie się razem w lochu.

- Po chwili powiedziała beztroskim tonem: - Ptaħ posiadzie niewiele więcej mocy od ciebie. - Roześmiała się, niezwykle pewna siebie. - Teraz, gdy doznałam częściowej porażki, reszta nie ma żadnego znaczenia. Jeszcze raz podsuwam ci słowo-klucz: Akkadistran.

- Ty diabelska bestio! - powiedziała L'onee. Stały nieruchomo, brunetka i blondynka, i wpatrywały się w siebie. Holroyd, chociaż tylko mgliście orientował się, o czym one mówią, zrozumiał nagle, że nie powinno go tu być. Nie powinien patrzeć na obnażone dusze tych kobiet.

Kosztowało go sporo wysiłku, by przełamać bezruch. Otrząsnął się - fizycznie i psychicznie - po czym przestąpił próg i wszedł do wielkiej sali. Wiedział, że L'onee podąża za nim, że Ineznia odwraca się i patrzy. Później zapomniał o nich obu.

Boski tron

Sala, do której wszedł Holroyd, była, jeśli nie liczyć tronu, zupełnie pusta. Wszystko - ściany, sklepienie, podłogę - wykonano z surowego, szarego kamienia. Nie widać było spękań, ale mimo to sprawiał wrażenie wiekowego. Sala wydawała się starożytna niczym egipska piramida.

Tron zajmował część podłogi po lewej ręce Holroyda. Lśnił tak mocno, że bolały oczy.

Był ogromny, tajemniczy, nierzeczywisty i ulotny. Migotały w nim zygzaki kryształowego blasku; przyciemniona powierzchnia opalizowała lekko - bursztynowa żółć przeplatała się z cynobrem i z plamami bladej ochry. Tron wyglądał niczym wielobarwny klejnot w kształcie idealnego prostopadłościanu o boku długości pięciu metrów. Unosił się nad podłogą.

Denerwował i wprowadzał w zakłopotanie. Nie miał nic wspólnego z otaczającą rzeczywistością.

Holroyd zbliżył się i znieruchomiał zafascynowany, spoglądając w górę, tam, gdzie wisiał tron.

Podstawa sześcianu migotała co najmniej trzy metry nad jego głową.

Stwierdził automatycznie, że rozgląda się wokół, szukając czegoś, co pozwoliłoby mu wspiąć się i zasiąść na wielkim, świecącym siedzisku. Cały czas miał świadomość, że jest pilnie obserwowany przez dwie pary oczu, gniewne i rozpalone podnieceniem. Dwie pary oczu, czekające niecierpliwie na narodziny boga.

Trudno było przełamać ich hipnotyczną moc. Holroyd potrząsnął głową. Było tak, jakby do lustrzanego stawu, którym był jego umysł, wpadł kamień. Rozszerzające się kręgi przełamały czar i ujrzał, że w ścianie na lewo od tronu wykuto coś w rodzaju kamiennej drabiny. Prowadziła w górę, prosto do sufitu, a dalej wzdłuż niego. Kończyła się nad tronem.

Wspiąwszy się, mógłby sunąć do przodu, chwytając się kolejnych szczebli, i w końcu zeskoczyć wprost na tron. W miarę sprawne dziecko zrobiłoby to bez wahania. Ten, Który Jest Silny, też powinien zrobić to bez wahania. Ruszył powoli ku drabinie wykutej w kamieniu, ale

zaczął się zastanawiać.

Nie znaczyło to, że zrezygnował z zajęcia tronu. Nadal miał zamiar na nim zasiąść. Nie było wyboru. Nawet gdyby dysponował dowodami, że bogini zdołała jakoś wpłynąć na tron, Holroyd po prostu musiał przekonać się prędzej czy później, jak wpłynęłoby na Ptaha zajęcie tronu. Stało się jednak jasne, że to nie wystarczy. Od kiedy dowiedział się, że boska moc płynie z modlitwy, domyślił się, że sam tron nie uczyni z niego Ptaha, Po Trzykroć Wielkiego.

Tron był co najwyżej detonatorem, albo raczej akumulatorem energii. Mógłby go natchnąć mocą, później uzupełnioną i wzbogaconą z samego źródła - modlitw miliardów kobiet. Modlitw, które tak przebiegle zniszczyła Ineznia, że nie wiadomo, kiedy zostaną podjęte na nowo. Religijne zwyczaje nie zmieniają się tak łatwo, jak świeckie.

Zaczął się wspinać po kamiennej drabinie, rozmyślając. Zwycięstwo, które było tak blisko, byłoby niepełne. Wprawdzie ocaliłby swoje życie, ale nie życie L'onee, a niszcząca dusze cywilizacja świątynna trwałaby nadal.

Ogarnęło go nagłe poczucie daremności jego wysiłków. Zerknął przez ramię na dwie kobiety, które stały wbijając w niego wzrok. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś były jego żonami. Pełna pasji i ambicji złotowłosa kobieta-dziecko, ciemnowłosa, silna L'onee. Skąd wiedział, że jej ciało jest śniade, jak opalone? Nie widział jej od czasu przybycia do Gonwonlane, ale tego akurat był pewien!

Rozmyślał o tym, czepiając się dłońmi szczebli na suficie; tron był coraz bliżej. Po chwili miał go dokładnie pod sobą. Świecił ku niemu niczym lustro, albo raczej jak wielki, migotliwy klejnot. Za chwilę Ptah stanie się bogiem.

Holroyd wisiał tak przez chwilę, spoglądając w dół, potem puścił szczeble i spadł. W jednej sekundzie dotknął tronu i zaczął pogrążyć się w nim, aż całkiem zniknął. Mijały długie minuty, zanim jego nogi wynurzyły się z podstawy tronu. Spadł na podłogę pięć metrów niżej.

Wiszący sześcian lśnił jeszcze przez chwilę, potem zrobił ciche „puf” i zniknął jak bańka mydlana. Holroyd leżał bez ruchu na podłodze, jak martwy.

Ciszę przerwał dźwięczny śmiech Inezni. L'onee obróciła się gwałtownym ruchem, by popatrzeć na złotowłosą boginię, i ze zgrozą ujrzała na jej dziecięcej twarzy niezmaconą niczym radość. Zatoczyła się z cichym okrzykiem w stronę nieruchomego ciała na podłodze i potykając się dopadła do jego boku. Tak długo szarpała bezwładny ciężar Holroyda, aż przewróciła go na plecy. Położyła mu palce na oczach, uchyliła powieki, ale opadły bezwolnie, gdy tylko cofnęła drżącą dłoń. Obłądny śmiech Inezni dźwięczał jej w uszach, gdy rozpaczliwie szukała w nieruchomym ciele Holroyda śladów życia.

Policzki L'onee zaróżowiły się z radości.

- On jeszcze żyje! - westchnęła zdumiona i uklękła nad leżącym. Śmiech za jej plecami urwał się szyderczym akordem.

- Oczywiście, że żyje - powiedziała Ineznia. - Nie zdołałam znaleźć choćby jednej cząsteczki śmiertelnej energii w całej strukturze tronu. To najczystszy kompleks pozytywnych energii, jaki kiedykolwiek stworzono. Moim zamiarem było znalezienie jakiegoś sposobu zniszczenia tronu, co, jak widzisz, uczynił przed chwilą Holroyd.

W głosie złotowłosej bogini brzmiało tak wyraźne zadowolenie, że L'onee nie wytrzymała. Obróciła się gwałtownie i rzuciła wściekle:

- Nie udawaj, że miałaś z tym coś wspólnego!

- Niczego nie udaję - odparła zimno Ineznia. - Jestem równie zaskoczona jak ty. Ale teraz, kiedy jest już po wszystkim, wiadomo oczywiście, co się naprawdę wydarzyło.

L'onee nie wiedziała. Gdyby było inaczej, z pewnością miałyby jakieś przecucie i zapobiegłaby katastrofie. Już rozchyliła usta, by poprosić o wyjaśnienie, lecz spojrzawszy na zadowoloną, delikatną twarz, przypomniała sobie, że Ineznia nigdy nie odpowiada na pytania.

Zawsze tylko podkreśla swoje zasługi. Teraz też tak było.

- To oczywiste - zaczęła Ineznia pozornie niedbałym tonem, który nie mógł jednak ukryć jej podniecenia - że Ptaħ nigdy nie zamierzał doświadczyć mocy tronu, dopóki nie miał w sobie pełnego zasobu mocy modlitewnej. Pozbawiony tej ochrony, wypalił się na pewien czas.

- Zmarszczyła brwi. - Trudno znaleźć jakieś porównanie, ale byłabym zdziwiona, gdyby jeszcze kiedyś stał się biegunem mocy. Dlaczego w ogóle potrzebował tronu, jeśli zakładał, że ma już w sobie moc płynącą z modlitw miliardów kobiet? Na to pytanie jeszcze trudniej odpowiedzieć, ale warto pamiętać, że Ptaħ zawsze zamierzał przewyciężyć wszystko, co możemy przeciwko niemu skierować.

Ineznia wzruszyła z wdziękiem ramionami. Obserwując ją, L'onee pomyślała, że bogini z trudem powstrzymuje się od triumfalnego okrzyku. Wyraźnie promieniała. Nawet jej ciało zdawało się drzeć, jakby przepływał przez nie falami dreszcz ekstazy. Całą jej istotę ożywiała radość. Aż dziw, że potrafiła panować nad swoim głosem.

- Naturalnie, choć Ptaħ przestał mi zagrażać, nie będę ryzykować. Przetransportuję go teraz do mojej siedziby, do Gadiru w Akkadistranie, gdzie czeka go los wszystkich porwanych Gonwonlańczyków. - Jej bezlitosny śmiech brzmiał jak zgrzyt metalu o kamień. - Ciekawe, co się stanie, gdy ciało boga zostanie rozerwane na strzępy. A potem - przerwała na chwilę, jakby drocząc się z L'onee - jak tylko ci głupi rebelianci ruszą do ataku na Nushirvan, rozkażę działać moim podniebnym jeźdźcom.

L'onee, śmiertelnie blada, przyglądała się Inezni. Dwukrotnie próbowała jej przerwać, ale za każdym razem zdołała jakoś stłumić w sobie przerażenie. Ineznia znowu wybuchnęła śmiechem i dodała z prawdziwym okrucieństwem:

- Nie mów mi tylko, że nie jest to konieczne. Istnieje tylko jeden rodzaj związku z Akkadistranem, jaki Gonwonlane kiedykolwiek zaakceptuje - związek miażdżącej porażki. -

Po chwili zastanowienia dodała: - A gdy moja wojenna eskadra ruszy do boju, dopilnuję, by każda laska modlitewna padła jej łupem. Nie zlekceważę niczego. Pozwolę Akkadistrańczykom wspierać moją moc modlitwami, dopóki w Gonwonlane nie zostaną wytępione do końca wszelkie kobiece modły. Ptaħ, oczywiście, będzie już dawno martwy. - Umilkła, oczy jej błysnęły, a twarz przybrała błogi wyraz. Rozmyślała na głos: -Nie zdecydowałam jeszcze, jaki rodzaj rządu powołam, kiedy już zetnę na proch ostatnią cząstkę oporu. System świątynny ma słabe, ale i mocne strony, o czym świadczy spora liczba rebeliantów pod jego władaniem. Te zuchwałe kundle ośmielają mi się przeciwstawiać! - Znów zamilkła, a po chwili dodała ponuro: - Nie umiem niestety ścierpieć opozycji. Gdyby nie to... i gdybym jeszcze umiała, jak niegdyś Ptaħ, koordynować działania mas ludzkich, mogłabym nawet pokusić się o przywrócenie tego dziwaczego rządu, jaki on dawniej tolerował. Nigdy do końca nie zrozumiałam sensu takiej władzy, ale podniecało mnie, gdy rządzący nie byli mi posłuszni... dopóki Ptaħ nie odszedł. Przypomnij sobie, droga L'onee, że pierwszy raz cię wtedy zwyciężyłam. Nasze ówczesne spory przekonały mnie ostatecznie, że rządy dwóch suwerennych bogiń są po prostu niemożliwe.

L'onee uświadomiła sobie mgliście, że Ineznia, cały czas mówiąc, podchodzi coraz bliżej. Wreszcie zdała sobie sprawę, co tamta zamierza. Odwróciła się i wyprostowała - zbyt późno. Ineznia rzuciła się na ciało Holroyda i przyłgnęła do niego, nie zważając, że L'onee szarpie ją i bije jak oszalała.

- Uważaj, głupia, albo wyrzucę cię stąd- syknęła wściekle bogini.

L'onee nie przyjęła tego ostrzeżenia do wiadomości. Poczwała, że coś się zmienia. Był to powolny, mozolny proces, ale po kilku minutach zaczęła przemierzać ciemność. Niemal natychmiast stwierdziła, że leży na twardym gruncie i że jest już dzień.

Zarda z Akkadistranu

Wyczuwała wokół siebie aurę przerażenia. Jego źródłem były łkania i jęki kobiet, płacz dzieci, napięte głosy mężczyzn -niezliczonych kobiet, dzieci i mężczyzn, krzyczących ze strachu. Te okropne odgłosy przypomniały L'onee, gdzie się znajduje. Co nie znaczy, by przedtem miała co do tego wątpliwości.

L'onee wstała, rozejrzała się pospiesznie i westchnęła z ulgą. Nie dostrzegła śladu Inezni. Ptaħ leżał na pryczy, na wysokości jej kolan. Wyglądał na martwego. Spoczywał bez ruchu, bez najmniejszego drgnienia, bez widocznych oznak powracającej świadomości. L'onee znów powiodła wokół znużonym wzrokiem, by przyjrzeć się otoczeniu.

Ze wszystkich stron otaczały ich mury. Przestrzeń między nimi miała około kanba kwadratowego powierzchni i była zatłoczona ludźmi. W dali, za linią muru, widać było wyszkolone skriery Zardy, które rozpędzały się i wzbijały, po czym nurkowały w dół, znikając z pola widzenia, eskadra za eskadram. L'onee zadrżała, przerażona tym, co się dzieje. Tutaj, na jednym z terenów ćwiczebnych dla skrierów, znajdował się kres wędrówki ludzi porwanych z Gonwonlane.

Wróciła spojrzeniem do tego miejsca. Po raz pierwszy zauważyła, że prycza, na której leży Ptaħ, znajduje się w specjalnej, ogrodzonej części dziedzińca. Było tu gęsto od innych prycz, a na każdej leżeli ludzie, niekiedy nawet po kilku na jednej. Niektórzy wstawali i oddalali się jak lunatycy, ale zaraz wprowadzano następnych, którzy zajmowali wolne miejsca. Dzieci, mężczyźni, kobiety.

L'onee przysiadła na skraju pryczy Ptaħa i czekała. Ineznia nie zwlekałaby, nie teraz - myślała rozpaczliwie. Zabiłaby Ptaħa, gdy tylko stałoby się to możliwe, czy był świadomy, czy nie. Przede wszystkim zabrałaby prawdziwe ciało Inezni z powrotem do miasta Ptaħ - nie ryzykowałaby tak w mieście, gdzie metal był powszechnie używany. Po czym wysłałaby swoją

esencję na powrót do pałacu w Gadirze, weszła w ciało Zardy z Akkadistranu i wydała stosowne rozkazy. Z szybkością lotu skrierów- albo biegu grimbów - żołnierze pospieszyliby je wypełnić.

W nagłym przyptywie paniki potrząsnęła gwałtownie nieruchomym ciałem.

- Obudź się, Ptahu! - zawołała ściszym głosem. - Obudź się!

Ciało nie drgnęło. Leżało w śmiertelnym bezruchu pod jej niespokojnymi dłońmi. Jeśli naprawdę nic nie mogło mu pomóc, to powinna go zostawić, a także opuścić ciało Niyi i powrócić do Nushirvanu. Mogła przecież spróbować coś zrobić, aby zapobiec kataklizmowi terroru i śmierci, jaki planowała Ineznia. Nie wolno jej tu pozostać, gdy kontynenty balansują na krawędzi ostatecznej katastrofy.

Wciąż się wahała. Słońce, niedawno jeszcze stojące nisko na wschodzie, zaczęło zmierzać ku zenitowi. Kurz wzbijany przez pół miliona niespokojnych stóp zagęszczał powietrze jak szara mgła. Dzień wstawał upalny, duszny. Do L'onee podeszli dwaj mężczyźni, niosąc mozolnie trzeciego. Jeden z nich powiedział:

- Zdaje się, że nie ma pryczy dla mojego brata. Drugi opuścił na ziemię głowę i ramiona nieprzytomnego. Odparł znużony:

- A jakie to ma znaczenie? Stało się z nim to, co stanie się z nami.

- Znajdę pryczę- powiedział cicho ten pierwszy. - Z moim bratem jest bardzo źle. On... - zauważył, że mówi do oddalających się, obojętnych pleców. Zbliżył się do L'onee.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, kiedy go zrzucę z pryczy - wskazał na Holroyda.

- Mój brat jest nieprzytomny.

L'onee patrzyła na niego osłupiała. Ta propozycja była tak niesłychana, że w pierwszej chwili miała wrażenie, iż się przesłyszała. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nim zdążyła wymówić choć jedno ostre słowo, tamten pochylił się i zaczął ściągać Holroyda z pryczy.

Złapała go za ramiona i odepchnęła. Palce mężczyzny wczepiły się w nią, gdy zatoczył się do tyłu, podrywając ją szarpnięciem na nogi. Był silny i pełen ślepego uporu. Myślała tylko o tym, by go odepchnąć-przypominało to zmaganie z ciężarem ponad siły. Po chwili wydelikaczone ciało pierwszej żony Nushira zaczęło słabnąć. L'onee prawie zawisła na obcym mężczyźnie, gdy nagle usłyszała jego szept:

- Wracaj do Nushirvanu! - syknął. - Do Nushirvanu! Spotkamy się w pałacu Khotahay... później.

L'onee znieruchomiała. Nie wierząc własnym uszom, odepchnęła mężczyznę, który spoglądał teraz na nią tępo, ale z narastającym przerażeniem. Sapnął:

- Musiałem chyba oszaleć. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam.

Była zbyt wyczerpana, by mu współczuć. Zatoczyła się w stronę pryczy, lecz gdy się nad nią nachyliła, ogarnęła ją rozpacz. Wyprostowała się gwałtownie. Ciało Ptaha zniknęło.

Minęła długa chwila, zanim minął jej szok. Zaczynała powoli rozumieć. Powinna uświadomić sobie wszystko w chwili, gdy tamten człowiek powiedział o Nushirvanie. Ptaħ przez te wszystkie godziny wierzył, że Ineznia może obserwować go poprzez czyjeś ciało. Nie chciał, by bogini wiedziała, że i on umie przenosić się z ciała do ciała. Nie chciał nawet, by Ineznia podejrzewała, że jest bogiem Ptahem; dlatego się wymknął.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - ciągnął mężczyzna - położę teraz na pryczy mojego brata.

L'onee zajrzała w zmęczoną twarz, lecz jej wyraz niczego nie zdradzał. Nie martwiła się tym zbytnio. Człowiek ten z pewnością służył celom Ptaha, ona zaś otrzymała już instrukcje. „Udaj się do Nushirvanu!”. Wciąż stała w miejscu, wahając się. Ineznia musiała być całkowicie przekonana, że nic już jej nie grozi.

Ta myśl była jak sygnał świetlny. Na wysokim murze zaczął się jakiś ruch. To żołnierze

schodzili po drabinach niczym mrówki. Od razu rozbiegli się tłumnie po terenie „szpitala”, blokując bramy i ustawiając się rzędem wzdłuż ogrodzenia. Spychali brutalnie ze swojej drogi prycze, przewracając je razem z ludźmi, którzy na nich leżeli. Poszły w ruch wielkie piły. Mur zaczął się kruszyć. Po niespełna dziesięciu minutach w głównej, wysokiej na dziesięć metrów ścianie wycięto szeroki otwór, przez który wjechała na ogromnym grimbie kobieta.

Była wysoka i szczupła, lecz dobrze zbudowana. Brązowe oczy, tak płomienne, że niemal bursztynowe, świeciły jasno. Dumna, pociągła twarz miała idealnie proporcjonalne rysy. L'onee uznała, że zdradzają one prawdziwą tożsamość tej olśniewającej istoty. W sensie fizycznym Ineznia dokonała idealnego wyboru. Zarda z Akkadistranu wyglądała w każdym calu jak królowa, jak wielka władczyni ponad dwudziestu miliardów poddanych. Pytanie tylko, czy Ineznia zawładnęła tym ciałem.

Grimb zatrzymał się. Żołnierze pospieszyli z podnóżkiem, po którym kobieta zstąpiła z wdziękiem na ziemię. Z uśmiechem podeszła do L'onee, stojącej obok pryczy, którą jeszcze niedawno zajmował Ptah. Zerknęła na człowieka leżącego tu teraz i już zaczęła obracać się w stronę L'onee, gdy odwróciła się gwałtownie z powrotem w stronę legowiska, spoglądając w dół szeroko otwartymi, gniewnymi oczami.

Chciała coś powiedzieć, lecz tylko zamachała gwałtownie rękami nad twarzą leżącego, jakby mogła siłą zmienić te obce rysy i ujrzeć to, czego się spodziewała. Opanowała się z widocznym wysiłkiem i zawołała niskim, silnym głosem:

- Gdzie on jest, głupia kobieto? Był tu jeszcze kilka minut temu.

Teraz, myślała L'onee. Teraz, w tej minucie, musi przekonać oszalałą władczynię, że jej interpretacja tego, co wydarzyło się z Ptahem na boskim tronie, jest właściwa. Drżąc, otworzyła usta, by wymówić słowa przyznające rację Inezni. To takiej satysfakcji pragnęła bogini przez te wszystkie lata, gdy L'onee siedziała uwięziona w lochu.

L'onee uznała jednak, że musi najpierw powiedzieć to, co ułatwi jej przyjęcie na siebie takiej hańby. Zaczęła niepewnym głosem:

- A więc znów napotkałaś tę samą trudność, Ineznio. Nawet bogini nie może przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. -Od razu poczuła, że teraz już może zrobić następny krok.

Ciągnęła znużonym tonem: - No cóż, nie ma to żadnego znaczenia. Kiedy się obudził, pomyślałam, że dam mu taką samą szansę, jaką mają ci nieszczęśnicy. Wysłałam go w tłum.

Ineznio... - urwała, powstrzymując się całym wysiłkiem woli. Ty dumna, głupia kobieto, pomyślała, to kwestia życia albo śmierci. Skoro Ptaħ nie chciał, by Ineznia o tym wiedziała, to znaczy, że nie dysponuje dostateczną mocą, by ją zniszczyć. Potrzebował czasu, by pomyśleć, zaplanować. L'onee, bez względu na koszty, musi uczynić wszystko, by mu to ułatwić.

Ciągnęła stłumionym głosem: - Ineznio, błagam cię, błagam, nie wszczynaj tej niepotrzebnej wojny. Już wygrałaś. Jeśli chcesz, by Akkadistran i Gonwonlane połączyły się i stworzyły nową rasę ludzi, możesz tego dokonać na dziesiątki sposobów; choćby poprzez małżeństwa, nawet wymuszone, lecz bez uciekania się do masowych zbrodni. Ineznio, proszę cię, zaniechaj wojny.

Zauważyła, że brązowe oczy kobiety, które jeszcze przed chwilą przypominały wzburzone morze, zmieniają wyraz; wpatrywały się w nią teraz złośliwie. Rozległ się szyderczy głos Inezni - Zardy:

- Biedna L'onee! Jak; zwykle nie jesteś zdolną wznieść się ponad swoje człowieczeństwo. W twoich słowach słyszę wyraźnie histerię podszytą sentymentalizmem. Wiedz, moja droga, że bogini musi być niczym wiatr, który porywa ze sobą wstrętny odór równie obojętnie jak zapach ukwieconej łąki. Zapewniam cię, że to nie jest rozmyślne okrucieństwo. Po prostu obce sobie narody nie połączą się z własnej woli, musiałam więc wydać odpowiednie zarządzenie. Stanie się tak, jak postanowiłam.

- Tego właśnie Ptaħ się niegdyś obawiał - odparła bezbarwnym tonem L'onee. -I tego, co narastało w nim samym: zniecierpliwienia ludzką słabością, okrutnej pogardy wobec rasy, z której wszyscy troje się wywodzimy. Połączył się z tą rasą właśnie dlatego, by nie dopuścić do pojawienia się w nim owej boskiej bestii. On...

Umilkła, gdy zorientowała się, że rozmówczyni nie słucha. Zarda, której ciało Ineznia przejęła, odwróciła się i popatrzyła na tłum ludzi, krążących bezwolnie po rozległym terenie za kamiennym ogrodzeniem części „szpitalnej”.

- A więc on tam jest, prawda? - spytała. - No cóż, nie może uciec. Nikomu się to jeszcze nie udało. Pokażę portret Ineznia wszystkim strażnikom przy zsypie, więc gdy przyjdzie jego kolej, powiadomią mnie. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak będzie umierał. - Odwróciła się do L'onee z krzywym uśmiechem. - Ucieszysz się, gdy ci powiem, że wydałam dziś rano rozkaz ataku na Gonwonlane. Nikt nie zdoła powstrzymać ogromnych sił, jakie uruchomiłam. Nawet ja bym tego nie dokonała. - Jej uśmiech był coraz bardziej okrutny. - Teraz zobaczymy, co się stanie, gdy jeden wódz w dwóch ciałach ustala pozycje strategiczne dla obu armii. No cóż, żegnaj, kochana L'onee. Zachowam dla ciebie twoje ciało. Chcę was zniszczyć razem. Obróciła się na pięcie i weszła po podstawionych schodkach na grzbiet grimba. Po kilku minutach murarze zaczęli łątać dziurę w kamiennym ogrodzeniu.

L'onee nie mogła się zdecydować, nie od razu. Stała obok jednej z bram, tłumiąc pokusę, by pobiec w stronę tego mrowia ludzkiego. Byłoby to oczywiście bezsensowne. Nawet bieżnia, pragnąca za wszelką cenę znaleźć Ptaħa, popatrzyła tylko raz na zwarty tłum i uświadomiła sobie, że zlokalizowanie jednego człowieka jest tu niemożliwe. Nie wolno jej uczynić nic głupiego. Musi udać się do Nushirvanu, zrobić to, co pierwotnie planowała - i poczekać na Ptaħa. Równie ważne jak wypowiedzenie wojny wydawało się co innego - by Ptaħ nie dowiedział się o tym przed ich umówionym spotkaniem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co

by wtedy uczynił. Odniosła wrażenie, że atak jest ostateczny i decydujący, tak silny, że może zniszczyć samego Ptaha, nawet wspomaganego mocą modlitwy, której był przecież pozbawiony.

Poczuła, że zalewają ją fala beznadziei. Wydarzenia zaczęły przerastać możliwości pojedynczego człowieka. Rozkaz ataku został wydany - kulminacyjna zbrodnia podstępnej bogini. Nim nastanie noc, wyszkolone zabójcze skriery Zardy przelecą przez wąskie Morze Teths. L'onee szybko wymazała z umysłu ten obraz. Żałowała przez chwilę Niyi, której ciało musiała pozostawić, po czym skierowała się ku Nushirvanowi.

Wewnątrz murów śmierci

Choć drogę przegradzały liczne prycze, Holroyd pokonał dystans między swoim legowiskiem a najbliższą bramą w ciągu mniej więcej pięciu sekund. Gdy już tam dotarł, wepchnął się całą swoją siłą w ludzką masę, która falowała przy wyjściu.

Rzucił za siebie ostatnie spojrzenie i dostrzegł, że L'onee zmaga się z człowiekiem, który próbował położyć brata na jego pryczy. Nikt inny nawet się nie poruszył. Jeśli była tam gdzieś Ineznia - może w ciele jakiejś chorej, anonimowej biedaczki - to nie zdradzała swojej obecności najmniejszym nieprzemyślanym ruchem. Naprawdę wyglądało na to, że jest bezpieczny.

Wszedł głębiej w tłum, by poczuć się pewniej, i po chwili znalazł się na mniej zatłoczonej przestrzeni. Jeden człowiek miał tu dla siebie mniej więcej dwa razy tyle miejsca. Nadal jednak miał wrażenie, że brnie po ruchomych piaskach albo przez wzburzone morze; każdy wysiłek wydawał się daremny. Mimo wszystko istniała różnica; ta świadomość podtrzymywała go na duchu przez dwie następne niesamowite godziny. Uświadamiał sobie jednak z rosnącym przerażeniem, że jego plan - plan znalezienia miejsca, gdzie mógłby pozostawić bezpiecznie swoje ciało - nie ma w tym niespokojnym oceanie dryfujących ludzkich wraków żadnych szans na urzeczywistnienie.

Południe przyszło i przeminęło. Godzinę później Holroyd wciąż brnął przed siebie, o rzut kamieniem od długiego muru, który stanowił dalsze skrzydło „szpitala” -przepychając się, walcząc, czasem płynąc bezradnie wraz z tłumem. Z pewnością istniały jakieś wejścia czy wyjścia z tego niewiarygodnego obozu koncentracyjnego, jakieś bramy, choćby nawet strzeżone. Podszedł w końcu do człowieka, który sprawiał wrażenie dość inteligentnego.

- Jak nas stąd wyprowadzą? I dokąd?

Tamten popatrzył na niego pustym wzrokiem. Inni ludzie obdarzali go po kolei takim samym, bezmyślnym spojrzeniem. Przypominało to walenie głową w ten potężny mur, który majaczył tak przerażająco po jego prawej stronie. Przestał się opierać dryfowi tłumu. Pozwolił mu się nieść, jakby był wirującym liściem w leniwym strumieniu. Starał się jedynie ocenić swoje położenie.

Musiał znaleźć miejsce, które uchroni jego ciało przed stratowaniem. Był uwięziony w tej ludzkiej pułapce, przynajmniej do chwili, gdy znajdzie jakąś strzeżoną bramę prowadzącą na zewnątrz. Swoją esencję mógł przesłać, ale nie potrafił dokonać przeniesienia ciała na sposób Inezni. A teraz utkwiał na dobre w tej monstrualnej masie ludzkiej. Musiało istnieć jakieś wyjście, po prostu musiało. Kiedy znów ruszył z determinacją przed siebie, usłyszał głośne wołanie.

Upłynęło trochę czasu, zanim zlokalizował źródło głosu: na szczycie głównego muru, w odległości pięćdziesięciu metrów, stał mężczyzna z tubą, przez którą coś krzyczał. Szmer otaczającego go tłumu przycichł nieco i chociaż gwar prawie nie zmienił natężenia, po chwili Holroyd był w stanie zrozumieć człowieka z tubą.

- ...stolarze i ludzie, którzy wiedzą, jak walczyć ze skrierami, powinni udać się do komory stolarza - tam, obok zsypu.

Mężczyzna wskazał przeciwległy mur, następnie powtórzył wezwanie. Jakiś człowiek obok Holroyda powiedział:

- To podstęp, by ściągnąć nas bliżej zsypu. Nie mam zamiaru się stąd ruszać.

Podstęp, doszedł do wniosku Holroyd, przeciskając się we wskazanym kierunku, polegał na czymś innym. Wybierano tych, którzy obmyślają najlepsze sposoby zabijania czy też obrony przed skrierami, by według ich pomysłów dowódcy wojsk Akkadistranu mogli tresować swoje wielkie ptaki w najtrudniejszych warunkach.

Komora stolarza powinna być idealnym miejscem, z którego tej nocy można by wysłać esencję do Nushirvanu. Do tego czasu nie zaszkodziłoby dowiedzieć się paru rzeczy o morderczych skrierach w akcji. Dotarł do przeciwległego muru szybciej niż się spodziewał. Na ostatniej ćwierci kanba panował już mniejszy tłok.

Wokół zsypu kręcił się dumek odważnych mężczyzn i kobiet, ale ich determinacja kończyła się tym, że szli na pierwszy ogień. Rój potężnie zbudowanych strażników otaczał wybraną grupę stu ludzi i prowadził ją w stronę dziury w wysokiej ścianie. Przez dziurę zawsze wracali już tylko strażnicy. Jeśli nawet ofiary krzyczały w straszliwej agonii po drugiej stronie muru, i tak zagłuszał je gwar czekających na swoją kolej.

Holroyd ujrzał w końcu miejsce, które mogło być stolarską komorą- dziedziniec otoczony wysokimi ścianami, przylegający do głównego muru, z przejściem na drugą stronę. Gdy tam zmierzał, włócznie dwukrotnie próbowali wepchnąć go do takiej stuosobowej grupy, ale uciekał czym prędzej na bok, przeciskając się przez rzednący tłum. Przed bramą komory gromadziła się cizba, a zza bramy dobiegał stukot kamiennych młotów o drewno. Holroyd odczuwał coraz silniejszy gniew, przeciskając się do bramy. Posłyszał ostre krzyki: „Stań w szeregu! Poczekaj na swoją kolej! Zaraz oberwiesz!”

Przyszła kolej na ciosy i brutalne popychanie, ale Holroyd nabrał teraz ogromnej siły. Po pięciu minutach znalazł się pod bramą. Stało tam dwunastu potężnych ludzi; sześciu trzymało włócznie o kamiennych końcach, pozostali mieli łuki o napiętych cięciwach ze zwierzęcych jelit. Na głowach nosili opaski z piórami; człowiek, który miał ich najwięcej - cztery, jak Holroyd starannie policzył - musiał być ich szefem.

W przebłysku skumulowanej mocy dokonał projekcji swojej esencji na dowódcę.

Poczuł wściekły opór osobowości...

- Ten następny! - zawołał po chwili głębokim głosem i wskazał własne ciało, wysokie,

szczupłe, opalone, wsparte o kilku innych osobników. Czekał, aż włóczyńcy chwycą ciało Ptaha; po chwili był już w nim z powrotem, zmierzając w stronę stolarskiej komory. Komora, jak wcześniej zauważył Holroyd, ciągnęła się pod głównym murem, sięgając daleko w nieznane. Holroyd przystanął, by wchłonąć umysłem obraz, jaki ujrzał - ławy, długie rzędy ław. Przy każdej pracował jeden lub dwóch ludzi. Zdawało się, że dysponują nieskończonym zapasem drewna i kamienia, co było dość naturalne, zważywszy na współpracę z dowództwem wojskowym Akkadistranu. Używali drewnianych pił i wielkich garnków z klejem.

Holroyd patrzył zafascynowany: człowiek przy najbliższej ławce dotknął piłą kamienia. Przynęta przecięła głaz jak gorący nóż masło. Widział już te niewiarygodne narzędzia w jednostkach wojskowych armii Gonwonlane. Wówczas nie miał odwagi okazać jakiegoś szczególnego zainteresowania, teraz zaś nie miał czasu. Gdy się odwrócił, by pójść dalej, w jego stronę pospieszył potężnie zbudowany mężczyzna.

- Jesteś nowy, he? - spytał żywo. - Tędy, proszę. Pokażę ci, jak pracujemy, a potem posadzę przy robocie. To jest twój numer, trzysta czterdzieści siedem.

Ten numer widniał na opasce, którą mężczyzna zawiązał mocno na ramieniu Holroyda powyżej łokcia. Ciągnął z powagą:

- Nie zgub tego ani nie pozwól nikomu sobie zabrać. Każdy, kto nie pracuje albo nie ma opaski, idzie na pierwszy ogień, kiedy wzywają nas do wydania ofiary. Normalnie odbywa się to według numerów. - Po chwili dokończył: - Jest nas tu dwustu. Pomijając szefa, tam na górze, pełna wymiana następuje co dwa miesiące. Różnica między nami a tymi za murem jest taka, że my dostajemy jedzenie trzy razy dziennie, oni tylko rano, no i żyją nie dłużej niż miesiąc. Ale pamiętaj, że i my odchodzimy: numer sto czterdzieści siedem. Znalazł się w ostatniej grupie.

Jakieś pytania?

Holroyd stwierdził, że lubi tego człowieka. Dostrzegł z przestrachem, że sympatyczny osobnik nosi numer sto pięćdziesiąt trzy. Oznaczało to, że przeżywa prawdopodobnie swój ostatni dzień. Mimo to sprawiał wrażenie opanowanego, energicznego i silnego.

- Równy z ciebie gość - stwierdził Holroyd. - Podoba mi się taka odwaga w obliczu piekła. Jak masz na imię?

- Cred, panie - odparł tamten. Po chwili zawołał gniewnie: -Co u diabła przyszło mi do głowy, że nazywam cię panem? Chodź ze mną.

Uśmiechając się nieznacznie, Holroyd ruszył w ślad za Credem. Nie popełnił błędu, udając nieprzytomnego od pierwszej chwili, gdy tylko moc tronu rozplynęła się po jego ciele. Miał jednak cały czas świadomość, i to niezwykle intensywną, aż do bolesnego wyężenia zmysłów. Tyle że nie odczuwał żadnego bólu, ani teraz, ani przedtem. Wiedział, że istnieje jako Peter Holroyd, kapitan amerykańskiego korpusu pancernego, dysponujący szczególną i zadziwiającą zdolnością przenoszenia swojej istoty dokądkolwiek.

Była to niezwykła moc; przekonał się o tym już wcześniej, analizując podatność na nią samego Nushira. Lecz owa moc projekcji nie wystarczała, by poradzić sobie z Ineznią- jej umiejętnością przenoszenia ciała poprzez fizyczną przestrzeń.

Wiedział też, że jego wcześniejszej logice nie można było niczego zarzucić. Tron stanowił jedynie zbiornik przechowywanej mocy, która, raz zużyta, mogła być uzupełniona tylko ze źródła -w tym wypadku modlitw pobożnych kobiet. Uświadomił sobie wówczas od razu, że musi posłużyć się fałszem. Rozmowa między Ineznią i L'onee usprawiedliwiała całe to oszustwo. Nigdy dotąd usta L'onee nie powiedziały mu tak wiele. Dopiero teraz zaczął dostrzegać w umyśle mgliste zarysy skutecznego planu. A więc bogini zamierzała atakować? Gdyby zdołał powstrzymać ów atak tuż przed zwycięstwem Inezni, jej los byłby przypieczętowany.

Może dlatego, że jest czarodziejką, zapomniała o jednej bardzo ludzkiej rzeczy. Albo nią gardziła, albo w ogóle o niej nie wiedziała: ludzka natura pokonałaby boginię, gdyby...

- Jesteśmy na miejscu - stwierdził Cred.

Holroyd zobaczył stojącego na murze wysokiego mężczyznę o szarej twarzy, szarych włosach i szarych oczach. Odwrócił się, gdy Cred zawołał:

- To nowy, szefie. Pokazuję mu wszystko.

- Dobrze - odparł bez zainteresowania mężczyzna. - Niech sobie ogląda!

Pokarm morderczych skrierów

Z początku Holroyd widział tylko skriery latające tam i z powrotem nad wielką areną.

Tuż przy arenie znajdowała się ogromna trybuna, zapełniona ludźmi obserwującymi spektakl, ale Holroyd ledwie raczył na nią spojrzeć. Ważniejsze były skriery, roje skrierów. Po chwili

Holroyd dostrzegł coś jeszcze. Tylko jedna na dziesięć ptasich bestii niosła na grzbiecie jeźdźca; a jednak leciały zgodnie, niczym samoloty w szyku. Nagle, jakby na dany sygnał, grupa dziesięciu ptaków zanurkowała w dół.

Holroyd zobaczył po raz pierwszy ofiary - pod ptakami, na ziemi. Stu ludzi, w większości mężczyzn, ale kobiety też tam były. Z chłodnym umysłem i bezlitosnymi oczami obserwował rozgrywający się przed nim dramat.

Ofiary się broniły. Miały półokrągłe tarcze, zza których dźgały swoich żarłocznych przeciwników długimi dzidami. Ptaki uchylały się z wyuczoną wprawą przed ostrzami włóczni i wyłuskiwały nieszczęśników spod ich nędznych osłon, jak wróble wydziobujące robaki z ziemi. W ciągu czterech minut było po wszystkim. Od razu nadleciały od strony gniazd setki piskląt i zabrały się do żerowania.

- Wcześniej zaczynają karmić je mięsem, co? - stwierdził Holroyd pewnym głosem.

Szef zdawał się nie słyszeć, ale Cred spojrział na Holroyda z obawą. Zanim zdążył się odezwać, Holroyd warknął ostro:

- Mniejsza z tym! Chcę tylko wiedzieć, kto u licha wymyślił te żałosne tarcze, co wyglądają jak grzyby?

Zdumiony Cred jeszcze raz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tym razem przeszkodził mu szarowłosey, który zaczął znużonym tonem:

- Co właściwie... - Urwał nagle i spojrział na Holroyda, jakby widział go po raz

pierwszy. Oczy mu się rozszerzyły i potrząsnął głową w geście ogromnej ulgi; dokończył bez tchu: ... - Książę bieżnio! Książę...Ineznio! - osunął się na kolana. Po ogorzałych policzkach płynęły łzy. Chwytał dłoń Holroyda i przycisnął do niej stwardniałe wargi.

-Wiedziałem-wyszeptał. -Wiedziałem, że prędzej czy później Bogini kogoś tu przyśle.

Wiedziałem, że ta bezbożność nie może trwać wiecznie. Och, niech dzięki będą Bogini, dzięki Bogini!

Holroyd zmusił się, by stać bez ruchu. Było to trudne, bo cały się trząsał z potwornej wściekłości. Do tej pory pozornie zimny, niczym lodowo-wulkaniczne góry Nushirvanu, czuł wewnątrz straszliwy żar; dzięki temu utrzymywał się w jakiejś takiej równowadze. Teraz owa równowaga zaczęła się z wolna załamywać.

Dzięki Bogini! Cóż za potworne stwierdzenie. Dzięki Bogini! Podłej, lubieżnej, pożądlivej wiedźmie! Zepsutej, złej, krwawej, diabelskiej kobiecie!

Dzika furia przygasła, ogarnął go wielki spokój. Mógł teraz na zimno kalkulować; doszedł do wniosku, że można by wykorzystać fakt, iż dowódca rozpoznał w nim księcia i że pokładał w bogini taką wiarę.

- Podnieś się i zachowaj wiarę na te trudne dni, jakie cię jeszcze czekają. Bogini rzeczywiście mnie przysłała - skłamał bez zająknięcia - i obdarzyła mocą, bym zajął się tym odrażającym złem, jakie się tu dokonuje. - Po chwili ciągnął żywiej: - Rozumiem, że wymyśliłeś lepsze środki obronne przed tymi zabójcami niż drewniane parasole.

Dowódca podniósł się z ziemi. Jego twarz zmieniła się nie do poznania. Nadal płynęły po niej łzy, lecz otarł je gniewnym gestem i powiedział dźwięcznym głosem:

- Rzeczywiście, panie. Rzeczywiście. Jestem tu od początku, od siedmiu lat, gdy tylko zaczęto porywać obywateli Gonwonlane, ale jeszcze nie udało mi się namówić - wskazał pogardliwym gestem trybunę po drugiej stronie areny - choćby jednego z nich, by sprawdził

moje pomysły w praktyce. Popatrz! - Zbiegł po schodach do komory i wrócił z piłą. - Oto prosty, jednoosobowy środek obronny, jaki wynalazłem. - Szkicował pospiesznie w twardym kamieniu, wycinając końcówką piły rowki. - To długa, lekka, mocna żerdź ze zwykłego drzewa gandowego, zakończona rozszczepieniem w kształcie litery V. Zaatakowany chwyta w niego szyję skriera, gdy ten zmierza ku niemu, po czym od razu wbija drugi koniec żerdzi w ziemię. Skrier to ptak niespecjalnie bystry, zdolny słuchać poleceń tylko w ograniczonym stopniu. Te w górze - szef pomachał dłonią ku niebu - zostały specjalnie wyuczone, by unikać pchnięć włócznią. Jeśli jednak im sienie uda, prą niepowstrzymanie do przodu, wykorzystując bardzo grubą skórę na piersi i grzebień kostny pod spodem. Tak więc skrier, z szyją tkwiącą w żerdzi, będzie napierał dalej, uderzając skrzydłami. W rezultacie uniesie się nad ziemią, wystawiając swój miękki brzuch na cios włóczni czy strzały. Na pewno wielu ludzi przy tym zginie, ale jak widzisz, panie, każdy będzie miał możliwość obrony. Jeśli sobie życzysz, wyślę z następną grupą kilku osobników z takimi żerdziami.

- Wyślij dwóch - odparł Holroyd. - I tak nie da się od razu wyuczyć miliarda skrierów, ale trzeba to sprawdzić.

Nie będzie dobrze, myślał, gdy bogini skojarzy sobie jego zniknięcie w tłumie z opracowaniem nowej taktyki obronno-zaczepnej dla ofiar skrierów. Szczęząc zęby patrzył, jak dwaj ludzie uzbrojeni w żerdzie zabijają cztery ptaki. Potem zostali zaatakowani przez kilka stworów jednocześnie i powaleni na ziemię.

Wyczerpały się jego możliwości. Po godzinie był tego pewien. Zrozumiał, że potrzeba mnóstwo czasu, żeby dało się coś zrobić na większą skalę; musiałby przy tym obserwować dowódcę i korzystać z jego doświadczenia. Zrozumiał, że tej nocy musi uciec. Każda następna godzina spędzona na tej małej przestrzeni dawała Inezni mnóstwo czasu, by go zlokalizować. A to miałyby fatalne skutki! Musi uciec tego wieczoru, może wtedy, gdy przyniosą posiłek-ale

koniecznie jeszcze dzisiaj!

24

Morze Tethsa

Najpierw kazał zawczasu przygotować nosze dla własnego ciała; ostrzegł Creda i dowódcę, by nie okazywali zdziwienia ani nie wszczynali alarmu. Następnie przeszedł w ciało oficera dowodzącego ludźmi, którzy przynieśli jedzenie. Holroyd-oficer nakazał im, by zabrali nosze. Żołnierze usłuchali bez słowa.

Potem był korytarz w jasno oświetlonym budynku, gdzie unosił się zapach gotowanego jadła. Korytarz rozgałęział się niespodziewanie, skręcając pod kątem prostym w prawo i w lewo. Większość ludzi ruszyła w lewo, lecz Holroyd poprowadził noszowych w prawo. Niebawem dotarli do drzwi wyjściowych. Gdy schodzili kamiennymi schodami, zapadał już zmierzch. Jakiś oficer z piórami na opasce przystanął i spojrzał na ciało. Już rozchyłał wargi, by coś powiedzieć, gdy w jego umysł wniknęła gwałtownie esencja Holroyda.

Oficer wszedł szybkim krokiem do budynku i ruszył korytarzem w kierunku otwartych drzwi, które Holroyd i jego dwaj noszowi minęli przed minutą. Prowadziły do pokoju, w którym siedzieli jacyś mężczyźni; pili bladoliliowy napój, może sok winogronowy. Holroyd pozostawił oficera z piórami przy stole i w mgnieniu oka wniknął do umysłu drugiego, który przez ten czas czekał na schodach, zbyt otumaniony, by coś ze sobą zrobić. Kierowany przez Holroyda, ruszył pospiesznie za dwoma ludźmi dźwigającymi nosze.

Dotarli do szerokiej, mrocznej ulicy, po obu stronach której biegł wysoki mur. Widok tej przeszkody przyprawiał o dreszcz.

Mur! Zewnętrzny mur ludzkiej jatki. Holroyd zauważył z przerażeniem, że patrolują go żołnierze. Jeden z nich przystanął i patrzył zaciekawiony na nieruchomą postać Ptaha.

- Dalej, na koniec ulicy! - nakazał głośno Holroyd obu noszowym, którzy zatrzymali się, czekając na polecenia. - Przyjedzie tam wózek i zabierze te zwłoki.

Wyprzedził śmiało obu mężczyzn, rzucając na boki szybkie, uważne spojrzenia.

Znajdował się na tym samym wzgórzu, co ogromna arena; po prawej stronie widniała otwarta przestrzeń. Po lewej dostrzegł kilka rzadko zabudowanych ulic, biegnących prosto w dół, ku centrum miasta, za którym leżał port pełen statków. Miasto rozciągało się szeroko, głównie po lewej stronie, lecz Holroyd tylko zerknął w tamtym kierunku i stracił zainteresowanie tą częścią metropolii.

Okrażając tę część miasta, którą widział przed sobą- a zabrałoby to trochę czasu - mógł dotrzeć do portu, przejąc ciało jakiegoś kapitana i... nie, chwileczkę! Do licha, zapominał, jaką niebawem moc dawała mu nowa umiejętność projekcji własnej esencji. Zabrać statek, też coś! Lepiej złapać skriera i dolecieć w ciągu paru godzin do Gonwonlane. Nie miał czasu na powolne statki czy inne tego rodzaju środki lokomocji.

Przestał o tym myśleć, gdy zobaczył, że jego tragarze dotarli do odsłoniętej przestrzeni.

Holroyd wskazał im jedyne schronienie, jakie stanowił niewielki zagajnik. „Postawcie tam nosze” -nakazał i zwolnił podwładnych. Oddalali się drogą z typową beztróską najemników, którzy po wykonaniu nakazanej pracy odczuwają ulgę, że jest już po wszystkim.

Gdy tylko zniknęli z pola widzenia, Holroyd poprowadził ciało oficera ich śladami.

Doszedł z nim do samego budynku; dopiero wtedy, nie wcześniej, powrócił do ciała Ptaha.

Dźwignął się ostrożnie na nogi i ruszył zboczem w dół. Ściemniało się coraz bardziej; tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie nie było pochodni, stanowiłoby to niebawem znaczne utrudnienie.

Stwierdził, że zastanawia się nad tym, co myślał i robił teraz tamten oficer. Człowiek, który był owładnięty przez cudzą osobowość, musiał czuć się później dziwnie; pozostawała chyba jakaś niepokojąca pamięć, jak ze snu. Taki ktoś musiał chyba potem wmówić sobie, że nic takiego nie miało miejsca. Holroyd żywił głęboką nadzieję, że tak właśnie będzie.

Skręcił w boczną drogę, na końcu której dostrzegł budynki wyglądające na zagrodę wiejską. Słaba poświata na zachodzie przygasła jeszcze bardziej. Po półgodzinie zapanowała

absolutna ciemność. Holroyd przyglądał się zabudowaniom. Wszędzie panował mrok, nigdzie nie dostrzegł światła, lecz z jednego z pomieszczeń dobiegał niegłośny tupot i ciche klekotanie. Holroyd manipulował przez chwilę przy drzwiach zagrody dla skrierów, otworzył je i zajrzał do wnętrza. Para świecących oczu spojrzała prosto na niego. Holroyd wszedł śmiało do środka, choć zachowywał ostrożność. Ptak nie stawiał oporu przy siodłaniu i zakładaniu wędzidla - najwidoczniej była to odmiana udomowiona, nie drapieżnik. Wyprowadził zwierza na zewnątrz. Skrier przysiadł grzecznie, by Holroyd mógł mu wejść na grzbiet. Gdy tylko Holroyd usadowił się w siodle, ptak zadowolony zaklekotał cicho i skoczył natychmiast w ciemność. Zza wschodniego horyzontu wyglądał ogromny księżyc, gdy skrier szybował w stronę niespokojnego Morza Teths.

Ranek zastał ich nad wybrzeżem. Wokół widać było nie kończące się wzgórza i lasy, albo tak się tylko Holroydowi wydawało po dwóch godzinach lotu z szybkością nie mniejszą niż sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Gdyby tylko, myślał, udało mu się znaleźć stosowne miejsce, w którym mógłby złożyć bezpiecznie ciało i dokonać projekcji swojej esencji do odległego Nushirvanu. Minęło pół godziny, a on nadal rozglądał się za odpowiednią kryjówką. Nagle wpadł na pewien pomysł i z uwagą przyjrzał się grzbietowi ptaka. Złączył nogi w strzemionach i położył się płasko na jego szerokich plecach. Teraz było to miejsce równie bezpieczne jak każde inne. W ciągu minuty pozostawił za sobą ciało.

Przemierzając ciemność badał otoczenie swoją esencją, pozwalając, by otulał go ogrom nieprzeniknionej nocy. Już po chwili zauważył, że czuje się dziwnie. Poprzednie krótkie podróże były łatwe - sprowadzały się do prostego ruchu w przestrzeni liczącej kilka metrów. Tym razem było inaczej.

Czuł się tak, jakby sam siebie popychał do przodu; przemożna chęć ruchu, która powodowała ruch. Holroyd zatrzymał się i trwał nieruchomo, czekając na wrażenia. Lecz nie

było światła, dźwięku, żadnego powiewu. Wszechświat stworzono z czarnej, pustej ciszy.

Holroyd przebywał samotnie w wielkiej próżni.

Powrócił z wahaniem do swojego ciała. Leżał przez chwilę spokojnie, potem przekręcił głowę i popatrzył ponad wodą, tam gdzie powinien znajdować się przesmyk Nushirvan. Znów podjął poszukiwania.

Zaczął się w końcu zastanawiać, skąd będzie wiedział, że wreszcie osiągnął cel. Co powiedziała Ineznia? Że nie sposób wyczuć esencji, gdy jest w ciele. A przecież, w przeciwieństwie do niego, nie oddaliła się wówczas zbyt - nie poszukiwała, tak jak on, sondując nieprzeniknioną noc. Być może, pomyślał Holroyd, znajdował się zbyt wysoko w powietrzu.

Siłą woli skierował się w dół. Przypominało to spadanie w głąb studni, ale starał się za wszelką cenę wytrwać. W końcu coś poczuł: jednolite ciśnienie, nasilające się w miarę jak schodził coraz niżej. Woda? - zastanawiał się. Nie mógł jednak być pewien. Po raz pierwszy pojawiło się wspomnienie nieznacznego ucisku, odczuwanego wówczas, gdy zmierzał w stronę ciała, w które miał wstąpić, albo właśnie je opuszczał. Nie wydawało się to wtedy istotne; była to zresztą znacznie słabsza siła. Teraz odczuwał ją ostrzej i niezbyt przyjemnie; podejrzewał, że kontakt będzie niezbyt miły, może nawet gwałtowny. Musiała to być woda. Wciąż znajdował się nad Morzem Teths.

Odzyskawszy pewność siebie, Holroyd podążał dalej. Musiał być już blisko lądu, bo poczuł wyraźną różnicę. Ziemia!

Nie zatrzymał się; należało jeszcze pokonać przestrzeń nad górami, setki kilometrów, które wciąż dzieliły go od wielkiego miasta Khotahay. Obliczył dystans i w końcu, na próbę, zszedł niżej, ku miejscu, w którym silne ciśnienie wskazywało na obecność życia. Pomknął w stronę najbliższego naporu, ale cofnął się pod wpływem szoku, który przypominał porażenie

prądem.

Kobieta! Uważaj! - pomyślał gniewnie Holroyd. Już z większą ostrożnością zbliżył się do drugiego punktu wyraźnego ciśnienia, ale nie wyczuł obcej aury ani oporu. Wykorzystał to. Ciało, w którym się znalazł, należało do urzędnika z małego miasteczka. Holroyd pozostał w nim dostatecznie długo, by stwierdzić, że miasto leżało czterdzieści kilometrów na północ od stolicy.

Jego następnym ciałem był żołnierz spacerujący po targowej ulicy w śródmieściu Khotahay. Holroyd miał przez krótką chwilę wrażenie, że otaczają go kolorowe budynki i szmer dźwięków; szybko zlokalizował swoją pozycję. Trzecie ciało znalazł w pałacu Nushira. Należało do jednego z jego sekretarzy, wysokiego, wąsatego młodzieńca, który wiedział, że Nushir przebywa w tym momencie w sąsiednim salonie wraz ze swoją żoną, Calyą. Wraz ze swoją żoną Calyą - powtórzył Holroyd z uśmiechem, prowadząc młodego człowieka korytarzem ku drzwiom salonu. Minutę później patrzył oczami Nushira na Calyę, która mówiła poważnie:

- Najważniejszą sprawą jest taka organizacja obrony fortów i pałaców, by kobiety przebywały w osobnych kwaterach i by nie pozwolono im sięgnąć po broń. Wyślesz też swoich pełnomocników do rebeliantów - do marszałka Maarika, Dilina, Lagro, Sarata, Clayda i innych. Zaproponuj im zwrot wszystkich ofiar uprowadzonych podczas przemarszu przez twój kraj; wyjaśnij, że nie śmiałeś przeciwstawić się Zardzie z Akkadistranu, wiedząc, że jest nią Ineznia, i że...

Holroyd wtrącił cicho:

- Lepiej odłóż te instrukcje na później, L'onee. Nie mogę tu pozostać zbyt długo.

Umówmy się na spotkanie w naszych rzeczywistych postaciach.

Powiedziawszy to, uśmiechnął się i czekał.

Spotkanie w Khotahay

L'onee nie odpowiadała przez dziwnie długą chwilę. Oczy pulchnej Calyi napełniły się łzami. Drżały jej dłonie. Pochyliła się na krześle i wyszeptała w końcu:

- Ptah!

Wstała, podeszła do niego i wzięła go w ramiona.

- Ptahu - załkała. - Ona wydała rozkaz ataku. Rozumiesz? Wydała rozkaz ataku.

- To dobrze! - odparł Holroyd.

Słowo to, wypowiedziane głosem Nushira, musiało zabrzmieć inaczej niż zamierzał, bo jasnowłosa kobieta cofnęła się z wyrazem przerażenia na twarzy. Holroyd patrzył na nią.

- Nie bądź niemądra! - rzekł poważnie - W tej chwili nie możemy jej powstrzymać; a jeśli właściwie oceniam sytuację, to sama się nam podkłada. Możemy współczuć tym wszystkim nieszczęśnikom, którzy zginą, ale nie wolno nam działać pochopnie. Ponieważ Nushir zna teraz nasz sekret - ciągnął pospiesznie - możemy równie dobrze wyjaśnić mu, jaka jest jego sytuacja teraz, a jaka będzie w przyszłości. Mam przede wszystkim nadzieję, że pojmuje, iż osoba, która potrafiła zaplanować atak Akkadistranu na Gonwonlane, nie będzie traciła czasu na Nushira z Nushirvanu ani zawracała sobie nim głowy. Co się tyczy jego osoby, to życzę sobie, żeby ten człowiek pozostał przy życiu, dopóki nie umrze ze starości. Należy jednak dokonać zmian w jego rządzie. Mam na myśli jakąś ograniczoną formę monarchii, przynajmniej za jego życia. Co potem - nie wiem. Nie wyobrażam sobie parlamentu reprezentującego osiemdziesiąt czy osiemdziesiąt pięć miliardów ludzi. Jego członkowie, bez względu na liczbę, byłiby zbyt oddaleni od indywidualnego wyborcy. Rządy lokalne wydają się słusznym rozwiązaniem i nie widzę powodu, dlaczego potomkowie Nushira nie mogliby pełnić tu istotnej roli. Może wybierać - tak lub nie. Jestem pewien, że będzie miał dość rozsądku, by się zgodzić. - Holroyd zamilkł, świadomy tragicznie smutnego spojrzenia L'onee. Przypomniał

sobie w tym samym momencie, że jego ciało jest gdzieś daleko, na grzbiecie wielkiej ptasiej bestii i że jeśli już przedtem, zanim się dowiedział o ataku, zależało mu na jego ocaleniu, to teraz tym bardziej powinien się pospieszyć. Ujrzał nagle w wyobraźni, jak to ciało zostaje dostrzeżone przez eskadrę zabójczych skrierów Zardy. Powiedział czym prędzej: - Ważne jest, byśmy spotkali się fizycznie. Ażeby tak się stało, muszę ustalić przy twojej pomocy, gdzie dokładnie znajduje się moje ciało.

Wyjaśnił, jak wyruszył na południe na grzbiecie skradzionego z zagrody skriera, jak przeleciał nad Morzem Teths, a potem skierował się na zachód, wzdłuż nie zamieszkanego wybrzeża Gonwonlane. L'onee przerwała mu:

- Już wiem. Tam jest ogromny rezerwat leśny na wschód od miasta Ptah. Jeśli podążysz stałym kursem, powinieneś niedługo dotrzeć do zatoki, gdzie spotykają się trzy rzeki, a potem wpływają do morza. Wyląduj na południowym brzegu największej z kilku wysp i czekaj tam na mnie. Przybędę w ciele, które ujrzałeś po raz pierwszy, gdy wspięłam się na Wielki Klif. -

Uśmiechnęła się blado. - Jest to jedyne dostępne dla mnie w tej chwili ciało. - Zamilkła na chwilę, po czym spytała cicho: - Ptahu, czy masz jakiś plan? To znaczy - uczyniła gest dłonią - prawdziwy plan, którego celem jest pokrzyżowanie szyków Inezni i pokonanie jej?

- Mam pewną teorię - odparł z namysłem Holroyd. -I niezachwianą wiarę w ludzką naturę. Dysponuję bronią defensywną, która ocali miliardy istnień. Mam umiejętność wnikania w umysł każdego człowieka w dowolnym miejscu świata, nawet władców świątyni; lecz jeśli Ineznia zdobędzie moje prawdziwe ciało, zanim będę gotów działać, to koniec z nami. Tylko tak mogę ci odpowiedzieć.

Zauważył, że niebieskie oczy błędzą niespokojnie po jego twarzy, lecz pulchne oblicze Nushira nie wyrażało chyba niczego szczególnego, gdyż L'onee spytała niepewnie:

- Ile czasu upłynie, zanim zaczniesz działać?

Holroyd westchnął. Wolałby, żeby nie zadawała tego pytania. Zbyt trudno było na nie odpowiedzieć. Wedle jego wstępnych obliczeń musi upłynąć od czterech do pięciu miesięcy. Sam przecież podpisał wyrok śmierci na L'onee, egzekucja zaś miała nastąpić w ciągu sześciu miesięcy, z których część już przeminęła, a zatem nie mógł liczyć na więcej czasu. Tak mu się przynajmniej wydawało. Drżał na samą myśl o upływie czasu. Po pięciu miesiącach mordercze skriery Zardy obróciłyby pomocny Gonwonlane w perzynę. Mężczyźni, kobiety, dzieci - umarłyby ich setki milionów. Trudno było sobie nawet wyobrazić przerażające sceny w zdobywanych przez najeźdźcę miastach.

Lecz prawdopodobne rozmiary klęski nie miały tu większego znaczenia. Ludzie w roku 1944 nauczyli się tej lekcji. Wszelkie okropności należało zlekceważyć, stanąć w ich obliczu bez drżenia i przygotować się cierpliwie na nadejście godziny, gdy zło będzie można zniszczyć jednym potężnym ciosem.

Holroyd wyrzucił z umysłu ów straszny obraz.

- Spotkamy się przy delcie, wtedy wszystko wyjaśnię. A tymczasem do zobaczenia.

Minęło zaledwie dziesięć minut od powrotu do własnego ciała, gdy Holroyd ujrzał trzy migoczące srebrem rzeki, które opisała mu L'onee. Po dwóch dniach przyłączyła się do niego.

Inwazja na Gonwonlane

Wyspa była zieloną, idylliczną krainą. Po jej wzgórzach i łąkach biegła drobna zwierzyna; w każdym zakątku dżungli rosły drzewa pełne owoców. W tej oazie spokoju dwoje ludzi - szczupła, opalona kobieta i wysoki, ciemnowłosa mężczyzna - ukryło swoje ciała. Czekali, aż Holroyd napełni się strumieniem mocy; oznaczałoby to, że kobiety się. modlą i że zwycięstwo jest możliwe. Mijały dni i tygodnie.

Nie marnowali czasu. Na zmianę przejmowali, gdzie się tylko dało, ciała ważnych osób - marszałków, wysokich kapłanów i kapłanek, władców świątyni i przywódców rebelii. Był to powolny, mozolny proces, niczym działania wojenne prowadzone z okopów. Kontynent był zbyt rozległy, zamieszkiwało go zbyt wielu ludzi o tępych umysłach i konserwatywnym stylu życia. W odległych miastach mówiono nie bez racji: „Bogini nie przesłała ostrzeżenia o zbliżającej się wojnie z Akkadistranem. Gdzie pisemne obwieszczenia? Nie mówicie nam prawdy”.

Bogini nie ostrzegła!

Nie uczyniła tego, ale plotki rozchodziły się jak zaraza; kupcy, widząc, że zawodzi międzymiastowa komunikacja na grimbach i skrierach, zamykali z niepokojem sklepy i z typową dla klas średnich umiejętnością przetrwania chronili się w swoich wiejskich posiadłościach. Uciekinierzy zalewali tłumnie południe kraju, wykrzykując głośno swoje przerażenie. Lecz ze strony bogini nie padło choćby jedno słowo. Holroyd wyobrażał ją sobie, jak siedzi z zimnym uśmiechem wyrachowania.

Holroyd i L'onee byli w Ptah owej nocy, kiedy Megalopolis padło ofiarą wojny. Stali na wzgórzu wznoszącym się nad morzem i miastem. Przebywali właśnie w ciałach pewnej pary małżeńskiej i czytali obwieszczenie, które Holroyd widział już tego dnia:

Tej nocy żadne światło nie może ujawnić świętego miasta oczom skrierów Zardy.

Klęska, która spadła na naszą ziemię, jest rezultatem ulegania natrętnym i bezbożnym rebeliantom w ich szalonym zamiarze zaatakowania Nushirvanu. Pokładajcie wiarę w Bogini!

Pokładajcie wiarę w bogini! O Kolio! O Ptahu!

- Nie wiem, dlaczego nie uświadomiła sobie wcześniej, że zaciemnienie pomoże najeźdźcom i utrudni obronę - zauważył gorzko Ptaħ. - Przed atakiem pojawi się więcej takich obwieszczeń.

L'onee ukryła się w mroku ganku, na którym stali, ale nie powiedziała ani słowa.

Ciemność pogłębiała się, po bezksiężycowym niebie nad ich głowami pędziły chmury. Niżej rozpościerało się pod całunem czerni miasto - niewyraźne skupiska budynków rozpląwały się szybko w nieprzeniknionej nocy. Lecz miasto tam było, niewidzialne, choć wyczuwalne.

Wieczne Ptaħ. Miasto Światła, starożytne miasto Promienistego, boskiego króla wieków. To właśnie Ptaħ - pogrążone w ciemności! Po raz pierwszy w swojej historii nie zapaliło ani jednego światła. Ptaħ rozpląnęło się w nocy, stało się bezkształtne jak wzgórza na zachodzie.

L'onee wynurzyła się powoli z mroku. Gwiazdy świecące przez szczeliny w chmurach rzucały na jej ledwie widoczną twarz niesamowite refleksy. Wyszepiała:

- Czy nic możemy nic zrobić? Musimy stać tu jak widzowie? Ptaħu, padło już dziewięć złotych miast zachodu, na wschodzie Lira, Galee, Ristern i Tanis, a nad północno wschodnią zatoką czterdzieści trzy miasta. Padł cały obszar wschodniego wybrzeża; na pomocnym krańcu, prócz wspaniałej Kaloorny.,.

- A dziś w nocy samo miasto Ptaħ - przerwał jej bezbarwnym głosem Holroyd. - Nie, L'onee, nic nie możemy zrobić. Możemy korzystać tylko z niezbędnego minimum naszej mocy i... -urwał. L'onee zauważyła, że zeszywniał i spogląda nieruchomym wzrokiem na północ. - Posłuchaj! - nakazał.

L'onee też to usłyszała. Jakby nieznaczne zawrozczenie wiatru, zwiastujące cyklon, tyle

że było to coś zupełnie innego. Z czarnego nieba na północy dobiegł niewymownie przerażający dźwięk.

Skrzeczenie skrierów.

Z początku wydawało się tylko sygnałem. Nagle cały wszechświat wypełnił się obcym, strasznym krzykiem wielkich drapieżnych ptaków. Sto tysięcy, pięćset tysięcy, dziesięć milionów skrierów runęło z czarnego nieba; noc przemieniła się w szaloną rzeź.

Potem, kiedy było już po wszystkim, a oni powrócili na wyspę, Holroyd wołał gniewnie: „Zetrę ją na proch. Przysięgam...”. Potem jego furia przygasła. Wiedział teraz, z lodowatą i przerażającą pewnością, co zrobi z Ineznią, kobietą-bestią.

Bitwa o Gonwonlane nie była tak zupełnie jednostronna. Coraz więcej ludzi i całych grup walczyło przy użyciu żerdzi i włóczni z zakończeniem w kształcie litery V - poza tym nadciągała armia. Holroyd obserwował jej powolny marsz na wschód i powietrzne dywizje skrierów, które spieszyły przodem, by ochraniać miasta i angażować siły najeźdźcy. Czasem nawet wygrywały bitwę i utrzymywały pozycję przez dzień, a nawet tydzień, dopóki sztab generalny wroga nie wysłał zmasowanych sił zabójczych ptaków, które miażdżyły wszelki opór.

Holroyd miał wrażenie, że w historii zmagania wojennych żadna armia nie ucierpiała tak bardzo jak ta z Gonwonlane. Odcięta od źródeł dostaw, cierpiała dzień za dniem, bez końca, na brak żywności. Ogromne rzesze ludzi szalały z głodu i zjadały swoje grimby i skriery.

Spoglądano nawet łakomym wzrokiem na ciała towarzyszy. Dwukrotnie Holroyd widział, jak ludzie zjadali się nawzajem.

I nadal nie można było nic zrobić, tylko czekać i czekać, i CZEKAĆ. Wiele razy omawiali swoje plany i sytuację -kobieta o ciele, które było niegdyś martwe, i mężczyzna, którego ciemne oczy nabierały coraz silniejszego blasku od widoku przerażających rzeczy i

wzbierającej mu w duszy straszliwej determinacji.

- Problem boskiej mocy jest w rzeczywistości bardzo prosty - stwierdził pewnej nocy

Holroyd z westchnieniem, gdy siedzieli na zielonej, bujnej trawie ich wyspy. - W którymś

momencie dokonujesz projekcji esencji, która jest tobą; nazwijmy ją duszą. Nieco później można przenieść przez fizyczną przestrzeń ciało. Jeszcze później można kogoś ze sobą zabrać.

Następnym krokiem jest możliwość podróży przez czas miniony, najpierw powoli, w bliską przeszłość. Przy wykorzystaniu następnego bieguna boskiej mocy będzie można przesuwać się szybko między równoległymi punktami kolejnych węzłów czasu, dokonując skoków nawet o dwieście milionów lat. A te punkty łączą się z innymi siłami, na przykład z ową podróżą umysłów, w którą zabrała mnie Ineznia. Zdumiewa mnie, że zaklęcia Ptaha okazały się niczym więcej jak tylko rodzajem hipnozy, ideami wszczepionymi w wasze umysły, twój i Inezni; nawet ona, pomimo całej swojej mocy, nie była w stanie ich odrzucić.

- Stary Ptaħ znał ludzki umysł - odezwała się cicho z ciemności L'onee. - Odkrył, że mózg może przechować trwale nie więcej niż sześć sugestii przez dłuższy okres. Jeśli rozważysz te sześć, które sam wybrał, uświadomisz sobie, jak starannej dokonał selekcji.

Holroyd przytaknął znużony, ale nie powiedział już nic więcej tej nocy. W miesiąc później przerwał długie milczenie między nimi, pytając:

- Ten twój dawny Ptaħ, jaki on był? I dlaczego połączył się z ludzkim rodzajem? Sądząc po wszelkich oznakach, zwłaszcza po skutkach tego kroku, był to największy błąd, jaki kiedykolwiek popełnił.

L'onee potrząsnęła głową i powiedziała mocnym głosem:

- Spójrz na siebie, Peterze Holroydzie. Ty jesteś Ptaħem, jakiego znałam, dawnym Ptaħem, wielkim, szczerym, szlachetnym Ptaħem. Spójrz na siebie, powiadam, a ujrzysz Ptaħa takim, jakim był i takim, jakim będzie! - dokończyła cicho.

Zanim Holroyd zdążył się odezwać, dodała smutno:

- Jeśli zaś chodzi o jego wejście między ludzi... cóż, w pewnym sensie rzeczywiście wydaje się to katastrofalne. Powiedział jednak, że czuje w sobie mroczne, obce, nieludzkie pragnienia, z których musi się oczyścić, powracając do źródła dobroci - siły życiowej ludzi. Jeśli jego obawy były słuszne, jeśli rzeczywiście miał stać się gorszy, w takim razie wszystko, co rozgrywa się teraz na naszych oczach, jest nie klęską, lecz ponownymi narodzinami nadziei. Przysięgam ci, że wszystko, czego Ptaħ pragnął, widzę teraz w tobie: wolną od egoizmu wiedzę, co jest słuszne, determinację, by wypłenić zło, umiejętność dostosowania się i zaatakowania przeciwnika jej własną bronią - przy jednoczesnym zachowaniu woli czynienia dobra i nieskażonej wizji szlachetnego celu. -Zamilkła, bo zabrakło jej tchu; potem żądała z westchnieniem odwieczne pytanie: - Czy czujesz się silniejszy, Ptaħu? Czy czujesz, że ROŚNIESZ?

Holroyd zaś odpowiedział z pełną determinacji satysfakcją:

- Tak...tak, czuję!

Sto dwunastej nocy okazało się to rzeczywistością. Próby prowadzone za dnia dały rezultaty - umiał przebywać ciałem przestrzeń. A w sto trzynasty poranek mógł już zabrać ze sobą L'onee, bez konieczności użycia wody jako katalizatora. Popatrzyli na siebie płonącym i zaciętym wzrokiem. Nadeszła godzina działania.

Upadek Bogini

Zmaterializowali się niczym widma w lochu, gdzie spoczywało skute łańcuchami prawdziwe ciało L'onee. Przetransportowanie narzędzi potrzebnych do rozkucia łańcuchów oraz kamiennego paleniska zabrało sporo czasu. Piły w przypadku metalu były bezużyteczne. Długo też trwała zamiana ciała na martwą kobietę, którą znaleźli i zabrali, bo w przyćmionym świetle zdradzała pewne podobieństwo do L'onee, i takie ułożenie łańcuchów, by wyglądały jak nienaruszone.

- Nie wierzę, by moje ciało było aż tak istotne, gdy tyle ważniejszych spraw wchodzi w grę. Mógłbyś przecież przekształcić jakieś inne, używane przeze mnie ciało w biegun mocy. Ale jestem pewna, że ona tu przyjdzie. Gdy tylko się dowie, że żyjesz, przyjdzie tu, by mnie zabić.

- Nie bądź taka odważna i pełna poświęcenia - strofował ją Holroyd. - Twoje ciało jest bardzo ważne; liczę na to, że ona się tu pojawi, gdy tylko wykonamy przeciwko niej pierwszy ruch. Ale teraz zabierzmy ten cały sprzęt, wraz z naszymi ciałami, do bocznego pomieszczenia. Będziemy jeszcze tego potrzebować, kiedy nasza pułapka zadziała. Pozostawienie ciał jest niebezpieczne, ale...

Następny ruch, pomyślał, to ciało jakiegoś wysokiego dostojnika w pałacu w Gadir, w Akkadistranie.

Dostojnik akurat spoglądał przez okno, wychodzące na potężną stolicę Akkadistranu, gdy Holroyd wszedł w jego ciało. W dole rozciągało się miasto. Dla Holroyda, który widział już tyle metropolii, był to tylko kolejny labirynt z kamienia i marmuru. Katem oka dostrzegł, że jedna z kobiet w sali przebiera leniwie palcami. Holroyd odwrócił się od okna i przyjrzał się jej dokładniej. Jej palce sygnalizowały bez wątpienia: „L'onee!”. Ustalili wcześniej, że na wszelki wypadek będą zawsze razem - dla pewności.

Uśmiechając się, Holroyd podszedł do Zardy i gdy zaczęła sobie uświadamiać jego obecność, wbił jej nóż w serce. Wiedział, że to okrutny i tchórzliwy postępek, ale starał się za wszelką cenę skupić umysł na milionach ludzkich istot, rozerwanych na strzępy przez dzioby skrierów. Był pewien, że nie liczy się sposób, w jaki zgładził to zdominowane przez Ineznię ciało; ważne było tylko, że uległo zniszczeniu.

- Deld, ty morderco! - zawołał jakiś człowiek obok niego.

Holroyd nie próbował chronić ciała, w którym przebywał. Poczł, jak przeszywa go na wylot włócznia, a jego umysł wibruje straszliwym krzykiem nerwów, wyrażających ból. Ogluszony, opuścił umierające ciało i wszedł w głównego ministra Zardy, który właśnie podbiegł, krzycząc z rozpacz. Holroyd poczekał trochę, aż wrzawa ucichnie, po czym obwieścił:

- Odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie gabinetu. Wezwij, marszałku, członków sztabu generalnego, by omówić konieczność wycofania naszych armii z Gonwonlane. Straże, wyprowadźcie z sali wszystkie niepowołane osoby z wyjątkiem brata i siostry Zardy; usuńcie zwłaszcza kobiety.

To L'onee była teraz siostrą Zardy.

Tylko jedna kobieta próbowała stawiać opór, i to krótko. Zawołała, szarpiąc się wściekle:

- Za późno, L'onee, przybyłaś za późno. Czekalaś zbyt długo. Jeszcze trzy miesiące i całe Gonwonlane znajdzie się pod okupacją. Czy wiesz, co teraz zrobię? Udam się do pałacu w cytadeli i zniszczę twoje prawdziwe ciało, ty idiotko!

Chyba nie uświadamiasz sobie, kobieto, że Zardę zabił mężczyzna i że nie był żadną marionetką L'onee, pomyślał Holroyd. Głośno zaś, ze względu na obecność dworzan, powiedział:

- To historyczka!

L'onee, przebywająca w ciele siostry Zardy, podeszła do niego szybko i wyszeptwała:

- Ani przez chwilę nie myślałam, że już na zawsze uznała cię za martwego. To ułatwia nam zadanie. Będzie musiała udać się po swoje ciało do zapieczętowanego pokoju pałacowego, a potem zejść do lochu. Musimy dotrzeć tam przed nią. Tych wszystkich ludzi można na razie zostawić samych.

Tak też zrobili. Potem czekali na Ineznię w mroku piwnicy, w swoich własnych ciałach.

Nagle pomieszczenie rozblęskło jasnością, gdy wirujący kształt zmaterializował się i znieruchomiał. I spojrzał na nich oczami Inezni.

- Jak to dobrze, kochana Ineznio, że zjawiałaś się tutaj, tak jak tego pragnęliśmy - odezwała się L'onee.

Niebieskie oczy złotej bogini stały się okrągłe ze zdumienia. Popatrzyła na L'onee, potem na Holroyda. Jej twarz przybrała wyraz dziwnego lęku.

- I nie próbuj zostawiać swojego ciała, by udać się po pomoc - dodała poważniejszym tonem L'onee. - Na górnych korytarzach stoją strażnicy, którzy nie wpuszczą tu nikogo prócz samej bogini. A są to wyłącznie mężczyźni. - Nagle krzyknęła: - Ptahu, prędzej, ona próbuje się rozplynać!

Trwało to długą chwilę. Ineznia, walcząc dziko, próbowała sięgnąć palcami twarzy Holroyda, dopóki jej nie obezwładnił. Owinął potem jej wyprężone ciało zimnym, krępującym łańcuchem. Czuł mdłości, gdy L'onee przyniosła z paleniska rozgrzane metalowe ogniwo, on zaś przy użyciu młota połączył nim stalowe więzy, po czym oblał spoiwo zimną wodą, by je zahartować. Robota była dość toporna, ale nawet najsilniejsza ludzka ręka nie zdołałaby jej zniszczyć.

- Nie bój się, moja droga - powiedziała stojąca obok L'onee. - Pozostaniesz tu

uwięziona, dopóki Ptah nie stanie się dostatecznie silny, by zniszczyć twoją zdolność stawania się biegunem mocy. Wtedy, znowu śmiertelna, będziesz mogła spędzić resztę życia w spokoju i wygodzie. Czy możesz sobie wyobrazić, Ineznio, bardziej odpowiednią karę?

- Wyjdźmy stąd - mruknął Holroyd. - Nie czuję się dobrze. Lecz to właśnie on przystanął w drzwiach i popatrzył na skutą łańcuchem kobietę spoglądającą tępo przed siebie.

- Zapomniałaś o jednym, Ineznio - powiedział. - Im większe niebezpieczeństwo, tym rozpaczliwiej pogrążają się ludzie w swojej religii; im brutalniej twoi żołnierze próbowali nakłonić ich do oddania lasek modlitewnych, z tym większą determinacją je ukrywali. Musisz wiedzieć, że religia nie jest w swojej najgłębszej istocie wielbieniem boga czy bogini. Religia to strach. Religia to iskra, która rozpała się, gdy człowiek pomyśli nagle o śmierci czy niebezpieczeństwie. Wyrasta z ciemności i niepewności. A w czasie tej wielkiej katastrofy, którą tak bezmyślnie wywołałaś - cóż mogło być bardziej naturalne, niż kobiety modlące się za żołnierzy, za swoich synów i ukochanych? Nigdy nie będą tego żałować, zapewniam cię.

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz, gdzie już czekała na niego L'onee. Razem zamknęli i zapieczętowali drzwi lochu.

I razem wyszli z ciemności, i ruszyli ku światłu.